LITERAT W KRAINIE ZOMBI

Dehnel ogłasza się apostatą, a Masłoń ośmiesza jego książkę

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 24/326 10–16 CZERWCA 2019

To jest wojna kulturowa – Santiago Abascal, lider VOX, w mocnej rozmowie

LINDENBERG BIJE NA ALARM: EUROPA W OBLICZU INWAZJI 40 MLN AFRYKANÓW

Kto się kryje za Sokiem z Buraka

WOJCIECH CEJROWSKI W WYWIADZIE DLA „DO RZECZY":

PiS krytykuję ostro, ale jak brata, na którym mi zależy

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 78 tys. egzemplarzy

Na koncert

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

w Krakowie

zaprosita

PGE

Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl 0f336d80c7

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wujek dobra rada

Nadzieja umiera ostatnia – tak chyba można skwitować wysiłki zwolenników opozycji, którzy za wszelką cenę starają się odbudować mit Donalda Tuska, który wróci na białym koniu i pogromi zastępy PiS.

Im bardziej się starają, tym jednak lepiej widać, że – mówiąc kolokwialnie – para idzie w gwizdek. Ani Tusk bowiem nic istotnego nie jest w stanie powiedzieć, ani też nie widać w nim woli i chęci do walki politycznej. Rzeczywiście kilka jego ostatnich wystąpień to ciąg porażek. Wygląda na to, że pobyt w Brukseli całkiem odebrał mu słuch. Nie czuje już polskich spraw, nie rozumie nastrojów. Przywileje, apanaże i karesy brukselskich mędrców zrobiły swoje i doprowadziły do tego, że byłemu już premierowi do Polski, do polskiej polityki wracać się chyba nie chce. Dobrze pokazało to kilka ostatnich zdarzeń.

Być może pierwszym krokiem do powrotu miało być pamiętne majowe wystąpienie Donalda Tuska na Uniwersytecie Warszawskim. Otóż było ono pamiętne głównie ze względu na to, co mówił przed Tuskiem Leszek Jażdżewski. Gdyby nie oszalały atak na Kościół i porównanie katolików do świni tarzającej się w błocie, całe wydarzenie przeszłoby kompletnie bez echa. Nie bardzo wiadomo, na co liczył przewodniczący Rady Europejskiej, opowiadając o konieczności walki z ociepleniem klimatu i snując dość abstrakcyjne wizje Europy – nawet jego sympatycy mieli problem z wytłumaczeniem, dlaczego dość nudne wystąpienie jest znaczące.

Jeszcze gorzej było kilka dni później w Poznaniu, na tamtejszym uniwersytecie. Znowu jedynym stwierdzeniem, które przebiło się do opinii publicznej, była dziwaczna obrona przez Tuska pseudoartystki, specjalistki od domalowywania Matce Boskiej aureoli. Broniąc Elżbiety Podleśnej, Tusk mówił, że informacja o jej przesłuchaniu „nie mieści mu się w głowie". Powołał się na kompletnie chybiony przykład obrazu Memlinga i dodał, iż „konstytucja mówi, że każdemu zapewnia się wolność twórczości artystycznej, badań naukowych oraz ogłaszania ich wyników, wolność nauczania, a także wolność korzystania z dóbr kultury". Dawny Tusk miał więcej wyczucia politycznego i potrafił odróżnić barbarzyństwo oraz profanację od sztuki. Albo nawet jeśli nie potrafił, umiał tę ignorancję maskować.

Jeszcze bardziej bezradnie brzmiały słowa byłego premiera w Gdańsku 4 czerwca. Co miał na myśli Tusk, mówiąc, że „Polacy to dumny, europejski naród. Nawet jak nie zawsze mamy szczęście do władzy"? Słowa te pasowałyby może do czasów PRL, kiedy to „władza" była faktycznie narzucona, ale używanie takiej frazy w roku 2019 może być tylko znakiem słabości. Tak samo nietrafione było inne porównanie. „Proszę was, żebyście poszli śladem naszych bohaterów z samorządu terytorialnego, żebyście przekonali, że w wyborach do Senatu możemy im zrobić powtórkę z rozrywki z 1989 roku" – w ten sposób Tusk wezwał, jak można rozumieć, do wspólnego bloku całej opozycji w wyborach do Senatu. Jednak słowa o „powtórce z rozrywki z 1989 roku", którą to opozycja ma zrobić „im", czyli PiS, były niedorzeczne. To ciągłe retoryczne przyrównywanie PiS do PZPR w sytuacji, kiedy Koalicja Europejska wprowadziła do Parlamentu Europejskiego Włodzimierza Cimoszewicza, Leszka Millera czy Danutę Hübner, brzmi – dziwne, że Tusk tego nie dostrzega – groteskowo.

Jałowość i pustkę widać też było w innych zaleceniach, które padły z ust szefa Rady Europejskiej. Wystąpił on w klasycznej roli wujka dobrej rady. Jak bowiem na poważnie traktować jego wezwania, by „nie poddawać się, zawsze wierzyć w zwycięstwo i [...] pracować na to zwycięstwo" oraz „otwierać się, zapominać o podziałach i nie być antypisem"?

Cóż, opozycja będzie musiała sobie zapewne poszukać innego kandydata na wybawiciela. Ten, który chwilowo przebywa w Brukseli, dawną charyzmę utracił i coraz bardziej niemiłosiernie nudzi. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 0f336d80c7

TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM
ALBO TWARDA RĘKA, ALBO ISLAM
Rosja i Niemcy to nasi wrogowie

KRAJ

20 WOJCIECH WYBRANOWSKI
CZAS NA KONSTYTUCYJNE ZMIANY?
Jak PiS zmieniłby ustawę zasadniczą

24 KAMILA BARANOWSKA
AKSAMITNA REKONSTRUKCJA

26 PIOTR SEMKA
BIAŁY KOŃ MA WAKACJE

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NA PRAWO OD PIS

30 ŁUKASZ WARZECHA
SLD OSŁABIA EUROPEJSKĄ PARTIĘ LUDOWĄ

32 PIOTR GOCIEK
WŁADEK KONTRA WALDEK

34 MARCIN MAKOWSKI
KTO WYCISKA SOK Z BURAKA?

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
PRAWO DO JAZDY

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
SZMATEKSY NA SALONACH

KULTURA

40 KRZYSZTOF MASŁOŃ
DEHNEL W KRAINIE ZOMBI
„Ale z naszymi umarłymi"
Jacka Dehnela Apostaty

44 JOANNA BOJAŃCZYK
EKSPRESJA WŁÓKNA I KAMIENIA

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
SIŁA OFIAR
Na marginesie debaty o pedofilii

54 JAN PARYS
NATO DLA NAUKI

HISTORIA

58 ANDRZEJ NOWAK
EMOCJE HISTORII
Fragment książki „O historii nie dla idiotów"

62 PIOTR SEMKA
POGOŃ ZA BIAŁORUSIĄ

ŚWIAT

66 ROZMOWA Z DR. GRZEGORZEM LINDENBERGIEM
MUSIMY TWORZYĆ „TWIERDZĘ EUROPA"
Imigracja będzie rosnąć coraz bardziej

70 MAREK BUDZISZ
SCHEDA PO PUTINIE

72 ROZMOWA Z SANTIAGO ABASCALEM
TO JEST WOJNA KULTUROWA

EKONOMIA

76 JACEK PRZYBYLSKI
KOMU OPŁACAJĄ SIĘ PPK
Nowa reforma emerytalna

80 TOMASZ CUKIERNIK
NASZE DROGIE ŚMIECI

O ZDROWIU

88 KATARZYNA PINKOSZ
OBUDZONY DO ŻYCIA
Powrót ze śpiączki

90 ROZMOWA Z PROF. JADWIGĄ NESSLER
NIEWYDOLNOŚĆ SERCA JEST JAK CICHY NOWOTWÓR

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (7), KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (12), ZALEWSKI, WOLSKI (56), ZYCHOWICZ, KOPER (61), WARZECHA (69), GABRYEL, RYBIŃSKI (79), KOMUDA (92), SIEDLECKA (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 0f336d80c7

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Marek Budzisz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **W. Cejrowski Ltd.**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
FIRMA RODZINNA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 78 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

Dzisiaj w listach względna równowaga – trochę goryczy i trochę zadowolenia. Korespondencję prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Kuźnia lewaczek

Piszę, chcąc zwrócić uwagę na problem, który nurtuje mnie od dłuższego czasu. Statystyki powyborcze wyraźnie pokazały, że to większy procent kobiet popiera takie ugrupowania jak Wiosna czy KO. Zdecydowanie większy procent mężczyzn głosował na np. Konfederację.

Wina leży wg mnie na półkach w polskich sklepach, kioskach czy stacjach benzynowych, gdzie nie ma prawicowego czasopisma dla kobiet. Jest mnóstwo niemieckich kalk, które z miesiąca na miesiąc powtarzają te same, zazwyczaj błahe treści, ubrane w piękną formę, ozdobione pięknymi, kolorowymi zdjęciami.

Kobiety, chcąc poczytać coś przyjemnego, dowiedzieć się czegoś nowego o trendach w modzie, kosmetyce, gotowaniu, łykają lewackie, genderowe treści dotyczące stylu życia przemycane w wywiadach ze znanymi osobami czy wręcz narzucane w poradach psychologicznych.

Od dawna się zastanawiam, dlaczego na polskim rynku wydawniczym, gdzie pojawiły się silne prawicowe, konserwatywne tygodniki opiniotwórcze (które niestety czytają głównie mężczyźni), nikt nie pomyślał o zwykłych kobietach, które biorąc do ręki czasopisma bardziej praktyczne, lżejsze w treści i kolorowe, mogłyby także zapoznać się ze światem wartościowej polityki, życiorysami ludzi żyjących prawdą, sprawami społecznymi podanymi w przystępnej, atrakcyjnej formie. Także styl życia proponowany w nich powinien znacząco różnić się od tego wszechobecnego w serialach i współczesnej literaturze.

Tyle wspaniałych kobiet pracuje w prawicowych redakcjach, jestem pewna, że byłyby w stanie stworzyć wspaniały trendsetterski miesięcznik dla kobiet. Na pewno niezbędny byłby duży wkład finansowy, bo to nie może być byle co, żeby wygrać z konkurencją.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

„Gonienie bogatych", Łukasz Warzecha, „DRz" 22/2019

Uważam, że ma rację w ocenie polityki rządzących Pan Redaktor Łukasz Warzecha w artykule „Gonienie bogatych". Trudno nie odnieść wrażenia, że w poszukiwaniu pieniędzy na zrealizowanie kolejnych obietnic socjalnych rząd przyjął strategię zgodną ze starym polskim powiedzeniem „który koń ciągnie, to go jeszcze batem". [...]
Jest to po prostu niesprawiedliwe i demotywujące, i dodatkowo rzeczywiście, może to – jak słusznie przewiduje redaktor Warzecha – skłaniać tych, którym to grozi, do wyjazdu za granicę, gdzie pewnie będą docenieni. Co więcej, zaczną być wtedy docenieni i tu w kraju. Automatycznie wzrośnie ich wartość, zacznie się ich zapraszać z powrotem do kraju, a nawet zacznie się myśleć o jakichś zachętach podatkowych. [...]

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Głos z małej miejscowości

Szanowni Państwo, mocno spóźniona jest reakcja w PSL na wprowadzanie tej partii pod tęczowy sztandar koalicji antypisowskiej. [...] Ale prawda jest taka, że już od dawna partia ta znajduje się na równi pochyłej. I nie wiem, co by musiało się stać, by ludowcy zaczęli odzyskiwać poparcie. Mam wielką satysfakcję, że wśród moich znajomych (mieszkam w małej wiosce) praktycznie nikt nie głosuje już na PSL (zostali ci z zieloną legitymacją i ich rodziny). Myślę, że coraz mniej osób uważa PSL za „partię polskiej wsi". Szkoda, że otrzeźwienie przyszło tak późno. Bogu dzięki, że przyszło.

Paweł S., woj. łódzkie

Wyjaśnienie

W poprzednim wydaniu „Do Rzeczy" (23/2019) w felietonie „Nadmiar wiary w media" pomyliliśmy imię Leszka Jażdżewskiego. Za pomyłkę przepraszamy.

eprasa.pl 0f336d80c7

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Czego brakuje Teutonom?

Historia pewnego Niemca" – tak nazywa się niepozorna książka, która wpadła mi niedawno w ręce. Jej autor, Sebastian Haffner, był młodym prawnikiem, kiedy w 1938 r. wyemigrował z III Rzeszy w ślad za swoją żydowską narzeczoną. Jego książeczka w mistrzowski sposób wyjaśnia fenomen braku oporu Niemców w 1933 r. wobec zawłaszczania władzy i łamania zasad prawa przez Hitlera.

Haffner opisuje, jak ludzie przyzwyczajali się do barbarzyństwa. Przypomina mało znane fakty, jak np. to, że ustawy zawieszające wszelkie prawa obywatelskie po pożarze Reichstagu przyjęto głosami nie tylko deputowanych nazistów, prawicy i centrum, lecz także i licznego klubu SPD. Skąd ten paraliż? Haffner wskazuje: „Powodem najprostszym i nieomal wszędzie, jeśli drążyć, najgłębszym, był strach. Bić razem z innymi, by nie znaleźć się wśród bitych".

Czego zabrakło Niemcom w tej chwili, gdy gang politycznych bandziorów ruszył po władzę absolutną? Haffner odpowiada: „To zupełny brak tego, co – tak w przypadku narodu, jak i poszczególnego człowieka – zwie się »rasowością«". Nie, Haffnerowi nie chodzi o kwestie rasowe. Idzie raczej o to, co Polacy nazywają posiadaniem klasy. Chodzi o „twarde, odporne na zewnętrzne wstrząsy jądro, pewną szlachetną zaciętość, najgłębszą, mobilizowaną dopiero w godzinie próby, rezerwę dumy, przekonań, pewności siebie, godności. Tego Niemcom brakuje. Jako naród są oni miałcy, pozbawieni jądra. Dowiódł tego marzec 1933".

Odłożyłem książkę Haffnera i zadumałem się, mając przed oczyma udział kanclerz Angeli Merkel w uroczystościach D-Day, obok liderów państw, które w lądowaniu w Normandii brały zbrojny udział. Polskie media najwięcej uwagi zwróciły na słowa kanclerz Merkel, że ta operacja przyniosła Niemcom wyzwolenie od nazistów. Przyjazdy kanclerz Niemiec do Normandii w kolejne rocznice D-Day są w opinii wielu jej rodaków elementem edukacji Niemców, że na końcową fazę wojny i kapitulację w maju 1945 r. winni patrzeć nie jak na swoją klęskę, ale jak na wyzwolenie od nazizmu. To skopiowanie już wcześniej występującego dogmatu historycznego w dawnej NRD. Ale podobnie jak w państwie niemieckich komunistów takie ujęcie historii niesie ze sobą doskonale wyczuwane w Polsce zagrożenie – przekonanie, że wojnę wywołali naziści, a Niemcy byli jej ofiarami, podobnie jak inne narody Europy.

Wróćmy do tezy Haffnera o braku u Niemców pewności siebie, szlachetnej dumy i zaciętości. Badania pokazują, że tylko mniejszość Niemców gotowa jest bić się w razie naruszenia wschodnich granic NATO przez Rosję. Gdy pytam o to znajomych Niemców, dziwią się: „Jak to? Wy, Polacy, jesteście niezadowoleni z tego, że przestaliśmy być militarystami?". Odpowiadam: „Nie, jesteśmy tylko źli, że nie można na was, Niemców, w 100 proc. liczyć w sojuszu zbrojnym mającym bronić wolności".

I o tym powinna Angela Merkel rozmawiać z rodakami. I robić to z książką Haffnera w ręku. Jeśliby taka „praca domowa" została wykonana, lepiej znosiłbym widok kanclerzy Niemiec na kolejnych rocznicach D-Day. ©℗

PAPIEŻ ZMIENIŁ TEKST „OJCZE NASZ"

Po trwającej ponad dwa lata dyskusji papież Franciszek podjął decyzję o zmianie w tekście najstarszej i wyjątkowo ważnej dla chrześcijan modlitwy „Ojcze nasz". Chodzi o wezwanie „i nie wódź nas na pokuszenie". Fragment ten we włoskiej wersji został zmieniony na „i nie dopuść, abyśmy ulegli pokusie". Papież od 2017 r. tłumaczył, że był to błąd w tłumaczeniu, gdyż Bóg nie popycha ku pokusie, lecz to Szatan prowadzi na pokuszenie. Zmiana włoskiej wersji nie oznacza automatycznie, że również Polacy będą musieli uczyć się nowej wersji. Decyzja w tej sprawie należy do Kościołów lokalnych. ***(jap)*** ©℗

PIOTR SEMKA ODZNACZONY

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Podczas uroczystych obchodów 30. rocznicy wyborów 4 czerwca 1989 r. w warszawskim Teatrze Kamienica zasłużonym działaczom opozycji antykomunistycznej z lat 1956–1989 wręczono Krzyże Wolności i Solidarności. Wśród odznaczonych był publicysta tygodnika „Do Rzeczy" Piotr Semka, który od grudnia 1981 r. do wyborów 4 czerwca działał w opozycji antykomunistycznej. ©℗ ***(kga)***

eprasa.pl 0f336d80c7

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Krwawa cena „Wyborczej”

Witold Gadomski uchodził dotąd, na tle innych publicystów „Gazety Wyborczej”, za stosunkowo rozsądnego. Skupiał się na zagadnieniach ekonomicznych, a te zawsze były w gazecie Michnika traktowane, zgodnie z inteligencką manierą, jako drugorzędne, więc pozwalano ich autorom na rzetelność. Tylko od czasu do czasu zatrudniano go do szkoleń ideologicznych, by wykładami ortodoksyjnego balcerowiczyzmu równoważył coraz wyraźniej widoczny przechył tytułu ku „Krytyce Politycznej”.

Można pogratulować Gadomskiemu, że zdołał zabezpieczyć się przed losem Tochmana

Najwyraźniej jednak niepewna sytuacja w „Wyborczej”, pozbywającej się z dnia na dzień kolejnych autorów (nawet tak utytułowanych jak Wojciech Tochman), uruchomiła swoisty wyścig – każdy tam stara się obecnie napisać coś tak bardzo „po linii i na bazie”, by redukcje go ominęły. W tym wyścigu Gadomski wyszedł na czoło, publikując artykuł pod wszystko mówiącym tytułem: „Słona cena dobrej zmiany: kilkadziesiąt tysięcy ludzi umiera co roku, by PiS mógł rządzić”.

PiS oskarżano już w „Wyborczej” o wszelkie możliwe zbrodnie, ale o masowe morderstwa – jeszcze nie. W jakiż to sposób, zdaniem Gadomskiego, partia rządząca zabija rocznie kilkadziesiąt tysięcy Polaków? A w bardzo prosty: przeznaczając pieniądze z budżetu państwa na program „500+”. Bo gdyby przeznaczyła je na NFZ, mógłby on sfinansować kosztowne terapie i dzięki temu liczba zgonów na nowotwory byłaby o 30–60 tys. rocznie mniejsza.

Według tej logiki, gdyby George Soros, zamiast trwonić pieniądze na finansowanie światowej rewolucji, w tym na podtrzymywanie bytu „GW”, przekazał je był na budowę studni i systemów nawadniających w Afryce, uratowałby życie setkom tysięcy tamtejszych mieszkańców. Można więc – i trzeba – jasno powiedzieć, że kilkaset tysięcy Afrykańczyków umarło z pragnienia i głodu po to, by Witold Gadomski i inni podwładni Michnika mieli gdzie wypisywać swoje pełne nienawiści i jadu elaboraty.

Cytowany tytuł wyraźnie się w Agorze spodobał, bo przez cały dzień zajmował najbardziej eksponowane miejsce na jej stronach internetowych. Można pogratulować Gadomskiemu, że zdołał zabezpieczyć się przed losem Tochmana. I można „ze śmiechu pęc”, przypominając sobie, że „Wyborcza” uważała się zawsze za gazetę dla inteligencji. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Kryptonim Destrukcja

Gdyby na Kremlu miały strzelać korki od szampana za każdym razem, kiedy przedstawiciele opozycji totalnej zgłoszą projekt zagrażający bezpieczeństwu i trwałości państwa polskiego, to mniemam, że dziś Putin byłby alkoholikiem, niezależnie od mocnej rosyjskiej głowy.

Tym razem butelki z napojami wyskokowymi otwarto zapewne w niektórych domach po zachodniej stronie Odry. A wszystko dlatego, że grupa samorządowców, bliska największej partii opozycyjnej, przedstawiła właśnie „plan radykalnej decentralizacji”. Projekt o nazwie Samorządna Rzeczpospolita w populistycznym ujęciu może nieco przypominać „federalizację” Polski na wzór niemiecki, a w gruncie rzeczy – bo jak zawsze diabeł tkwi w szczegółach – prowadzi do destrukcji państwa polskiego.

A czego domagają się samorządowi baronowie PO? Między innymi zniesienia kadencyjności pełnienia przez nich władzy, prawa do wyłącznego niemal – z pominięciem władzy państwowej (likwidacja urzędu wojewody) – decydowania o losach ich małych ojczyzn. Pomysł, gdyby został zrealizowany, cofnąłby Polskę w czasy rozbicia dzielnicowego z bezkarnymi książętami na samorządowych tronach.

Oczywiście liberalno-lewicowa opozycja nie ma wystarczającej liczby mandatów, by projekt przepchnąć przez parlament, jednak nie ulega wątpliwości, że obok mobilizacji wielkomiejskiego elektoratu Platformy obudzi on uśpione szowinistyczne demony, dając asumpt do działania grupom regionalnych „autonomistów”, także tych otwartych na zlecenia i srebrniki płynące ze stolic państw sąsiednich.

Jak szybko obrońcy konstytucji zapomnieli o tym, że – jak zauważył Wiktor Świetlik – ustawa zasadnicza wyraźnie mówi, iż Rzeczpospolita jest państwem jednolitym, nie zaś federacją landów. ©℗

eprasa.pl 0f336d80c7

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O Tymonie Ateńskiej

Jeśli tytuł kojarzy się wam mgliście z „Tymonem Ateńczykiem" i Szekspirem, to macie rację. Sztukę wystawia Royal Shakespeare Company pod oryginalnym tytułem „Timon of Athens". Jednak reżyser Simon Godwin w głównej roli obsadził panią Kathryn Hunter. W historii teatru i kina bywało, że role męskie odgrywały kobiety i odwrotnie, nierzadko z ogromnym sukcesem. Trzy lata temu, w ramach obchodów 400-lecia śmierci Szekspira, Judi Dench na scenie w Stratfordzie z wielką brawurą wygłosiła monolog Hamleta.

Tutaj jednak Godwin poszedł dalej, wprowadzając odpowiednie zmiany w treści i tekście. Lorda Timona zastąpiła Lady Timon. Nieuchronnie pociągnęło to za sobą w wielu miejscach podyktowane względami gramatyki złamanie rytmu białego wiersza. W jednym miejscu zabrakło sylaby, a w innym trzeba było ją dodać. Skarżył się na to znakomity brytyjski reżyser Richard Eyre. Naturalnie nie takie rzeczy teatr widział, a w dzisiejszym świecie kultury obrazkowej wyczuleni na rytm słów są gatunkiem wymierającym.

Co jednak irytuje, Tymon Ateńczyk przeszedł w Royal Shakespeare Company operację zmiany płci nie w ramach eksperymentu artystycznego, nowej interpretacji sztuki czy pod wpływem reakcji na jakieś ważne wydarzenie społeczne, a wyłącznie w hołdzie i uległości genderowemu szaleństwu. Nieco podobnie sprawy się miały w ubiegłym roku, gdy londyński Globe Theatre wystawił Hamleta. Książę duński przemienił się w księżnę, a Ofelia w mężczyznę. Innym osobom dramatu też zmieniono płeć. Nie trzeba wielkiej bystrości, by dociec przyczyn tych zmian. Stoją za nimi modne genderowe teorie o płci biologicznej i społeczno-kulturowej. Czy naprawdę w imię tych rojeń warto kaleczyć literaturę?

A może by tak genderowcy zostawili klasykę w spokoju, przestali mieszać ludziom w głowach i wzięli się za pisanie i wystawianie swoich dramatów? Rozmarzam się i pozostając przy Szekspirze, „widzę oczyma duszy mojej" wszystkie 56 płci na scenie, ku uciesze publiki wielokrotnie zmienianych w czasie spektaklu. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

„Bo fantazja jest od tego"

Chociaż sporo wody w Wiśle upłynęło od ogłoszenia wyników wyborów, to niektórym ów czas upłynął na snuciu fantazji. Zanurzmy się w magiczny świat celebrytów opozycji. „Słyszę, że PiS po wyborach na jesieni zmieni konstytucję. Mam dla niektórych złą wiadomość: istnieje coś takiego jak niekonstytucyjna zmiana konstytucji. Jest nią np. zmiana poprzedzona niekonstytucyjnym przejęciem kontroli nad mediami i czterema latami kłamstw i propagandy" – napisał na przykład prof. Marcin Matczak.

Równocześnie fantazjowano na odcinku mediów. „Odejście Elizy Michalik z Superstacji to niezwykle ważny powód do refleksji nad stanem wolności mediów w Polsce. Red. Michalik sobie zawodowo poradzi. Nie mam co do tego wątpliwości. Ale czy nie kurczy nam się kolejny raz przestrzeń debaty publicznej?" – zastanawiał się Adam Bodnar. Niestety, na moje pytanie, czy zabiera głos na temat wszystkich dziennikarzy zmieniających pracę, czy tylko tych, którzy plagiatują teksty kolegów i koleżanek po fachu, nie odpowiedział.

„Dawno nie było tak ważnego znaku ograniczenia swobody prywatnych mediów w Polsce jak ostatnie posunięcia w należącej do Zygmunta Solorza SUPERSTACJI. To objaw »putinizacji« będącej przeciwieństwem niezależności mediów. Przewiduję, że latem bieg wypadków ulegnie przyśpieszeniu" – kontynuował wątek Tomasz Raczek. I tylko niepotrzebnie ze swobodnego biegu myśli na chwilę wyprowadziła go Kataryna. „Zazdroszczę ludziom żyjącym w świecie, w którym decyzja dziennikarki o odejściu z niszowej stacji jest najważniejszym od dawna znakiem ograniczenia swobody prywatnych mediów" – spuentowała moja redakcyjna koleżanka.

Nie wszędzie jednak wśród opozycji rozmijano się z rzeczywistością. „Niepodawanie ręki premierowi w czasie oficjalnej uroczystości uważam za zdziczenie obyczajów oraz wyraz arogancji, która skutecznie działa na rzecz przegranej naszej formacji" – stwierdził Bogusław Sonik. Szybko przywołała go do porządku krakowska rywalka na liście PO. „Oj, wstydź się Boguś, wstydź się. Rozumiem frustrację, ale tu posunąłeś się baaaaaardzo daleko. Za daleko. Szkoda. No, trudno..." – odparła rozżalona Róża Thun. Naprawdę myśleli państwo, że coś się tam zmieni? ©℗

eprasa.pl 0f336d80c7

Wolność w piosence

Podczas koncertu wystąpili: Renata Przemyk, Marek Piekarczyk, Aleksandra Gintrowska, Julia Gintrowska, Jakub Wocial, Łukasz Drapała, Adam Szerszeń, Rafał Bartmiński, Krzysztof Napiórkowski FOT. BARTEK MOLGA

Koncert „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie..." 4 czerwca w Krakowie był wspomnieniem walki o wolność

Kompozycje Gintrowskiego sprzed lat w nowych aranżacjach i wykonaniach idealnie wpasowały się w obchody 30. rocznicy częściowo wolnych wyborów. Koncert „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie..." przypomniał, że bard Solidarności przez całe życie śpiewał o wolności i nawet po 1989 r. jego pragnienie niezależności nie zdezaktualizowało się, tylko zostało inaczej ukierunkowane: nie na walkę z systemem, lecz na przypominanie o tej walce. – Człowiek, aby wiedział, dokąd idzie, musi wiedzieć, skąd pochodzi – wypowiedź muzyka zacytowała prezes Fundacji im. Przemysława Gintrowskiego Katarzyna Gintrowska.

W nowych aranżacjach Jana Stokłosy pieśni Gintrowskiego zyskały drugie, pełne oddechu życie. Okazało się, że nie są jednowymiarowe i doskonale bronią się bez konspiracyjnego kontekstu. Wykonawcy – m.in. Renata Przemyk, Marek Piekarczyk czy Krzysztof Napiórkowski – nie starali się naśladować chropowatego głosu Gintrowskiego, bo też głos ten jest przecież niepodrabialny. Zamiast imitacji zaproponowali swoją interpretację znanych nam wszystkim pieśni. Gdzie trzeba byli delikatni, tak jak Ola Gintrowska w „Modlitwie", gdzie trzeba – bezpardonowo ostrzy, tak jak Łukasz Drapała w utworze „Gdy tak siedzimy nad bimbrem". Najbardziej zaskoczyły „Mury". Nieformalny hymn Solidarności trudno wyobrazić sobie w innej niż ikoniczna interpretacji. Tymczasem tenor Rafał Bartmiński i baryton Adam Szerszeń rozpoczęli utwór po włosku, a zakończyli go po polsku, przez cały czas pozostając w tonacji operowej! Ta nietypowa forma utworu wywołała na widowni łzy wzruszenia. Na zakończenie reżyserka koncertu Gabriela Gusztyn-Popławska oddała pole samemu patronowi wydarzenia – gdy na scenie stanęło puste krzesło, z głośników popłynął głos Przemysława Gintrowskiego śpiewającego „Dokąd nas zaprowadzisz, Panie", do którego z każdym słowem dołączał kolejny, obecny tego wieczoru wykonawca.

Publiczność zgotowała artystom kilkuminutową owację na stojąco. Kolejny koncert „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie..." odbędzie się w Poznaniu. ©℗

niepodległa

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości oraz odbudowy polskiej państwowości

MECENAS KONCERTU: PGE

WSPÓŁORGANIZATORZY: nowohuckie centrum kultury, Kraków

PATRONI MEDIALNI: Do Rzeczy, wprost

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. PAWEŁ GROMADA

DWA SŁOWA ZA DUŻO

Wokalista i kompozytor Tymon Tymański postanowił porozmawiać sobie o relacjach damsko-męskich z tabloidem. Opowiedział „Faktowi", jak nowoczesny, otwarty i tolerancyjny związek tworzy ze swoją żoną Marią.

– Czasem zdarza mi się wylądować w nie swoim łóżku – wyznał. – Jestem w zasadzie poliamorystą. Moja obecna żona jest bardzo wyluzowana. Mamy cudowny, otwarty związek – dodał. O tym, jak bardzo otwarty jest ich związek, jego żona Maria dowiedziała się z „Faktu".

– Niestety o rzekomym życiu w otwartym związku dowiedziałam się dopiero z wywiadu udzielonego przez Tymona „Faktowi" – odpowiedziała za pośrednictwem (a jakże!) „Faktu". Tymon i Maria związkiem już nie są, za chwilę nie będą też małżeństwem. A podobno to kobiety mówią za dużo.

RYZYKO WSPÓLNEJ OKŁADKI

Nie dalej jak tydzień temu pisaliśmy, że były pogodynek i były Beaty Tadli w jednej osobie szuka pracy. Chodzi oczywiście o Jarosława Kreta, który poinformował świat, że właśnie wygrał walkę z depresją i chciałby wrócić do prezentowania pogody, bo w tym czuje się najlepiej. Ale że nie bardzo mu ten powrót do telewizji wychodzi, to postanowił zająć się także czymś innym. Podobno chce wydać własny poradnik na temat depresji. – Publikacja będzie dotyczyła depresji, o której Jarek tak dużo teraz wie – donosi znajoma Kreta w rozmowie z „Na żywo". Poradnik Kreta powstaje we współpracy z jego terapeutką. Niech ktoś ostrzeże panią terapeutkę, zanim będzie za późno. Występowanie razem z Kretem na jakiejkolwiek okładce kończy się źle. Jak nie wierzy, niech Tadlę zapyta!

MONIKA MÓWI, ZNOWU

Prezenterka Monika Richardson, teraz już Zamachowska, uwielbia opowiadać o swoim życiu prywatnym, problemach, związkach, małżeństwach w wywiadach z tabloidami i innymi plotkarskimi mediami. Wielokrotnie podejmowała postanowienia, że z tym skończy, ale – na szczęście – nigdy nie dotrzymała słowa. Teraz postanowiła się pochwalić w tabloidzie sukcesem męża. Jednak nie obecnego, tylko byłego. Malcolm Richardson po prostej operacji woreczka żółciowego zapadł na sepsę. Monika bardzo się o niego martwiła. Do tego stopnia, że o pomoc i wysłanie bioprądów prosiła zaprzyjaźnionego bioenergoterapeutę. O czym nie omieszkała poinformować tabloidów. Teraz Monika cieszy się, że Malcolm wrócił do zdrowia i do zawodu pilota. Cieszy się w „Fakcie" oczywiście.

– Jamie już lata! Zdał też niedawno egzamin na kapitana jumbo jeta. Ten awans należał mu się w momencie, gdy zachorował, więc czekał na niego trzy lata. To niespotykane, że wrócił do życia sprzed choroby i został kapitanem! To spektakularne! Nie może przekraczać określonej liczby godzin w powietrzu, ale bierze to na klatę. Nie jest pilotem specjalnej troski – mówi podekscytowana Monika. Na szczęście były mąż Moniki jest Anglikiem i nie ma zielonego pojęcia o tym, co jego była żona wygaduje w polskich mediach. Niech żyje bariera językowa!

PRZYPADKI CHODZĄ PO LUDZIACH

Piosenkarka Cleo postanowiła, że pokaże, jak bardzo jest inna od większości polskich piosenkarek i celebrytek i jak bardzo nie szanuje głupich zasad polskiego show-biznesu.

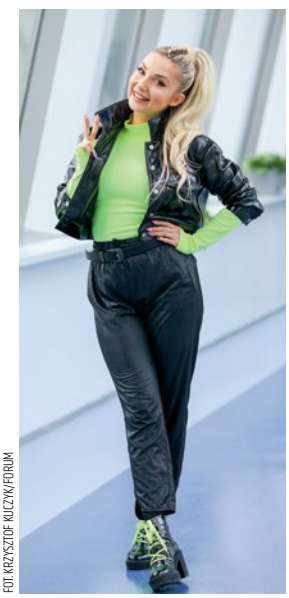

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

– Za dzieciaka miałam jedne buty i spodnie. Nie było mnie stać na ubrania – mówi, cytowana przez „Fakt" Cleo. – Głupia zasada show-biznesu: nie pokazywać się dwa razy w tym samym. Jakie musiałabym mieć kompleksy i być niedowartościowanym człowiekiem, żeby dookreślać się posiadaniem ciuchów? Niszczyć środowisko, materiał, wydawać pieniądze bez sensu. Totalna bzdura, idiotyczny konsumpcjonizm! – denerwuje się. Prawie jej uwierzyliśmy. A potem zaczęliśmy przeglądać jej zdjęcia w internetach. Na żadnym nie występuje w tym samym stroju. Ale to pewnie przypadek. ©℗

eprasa.pl 0f336d80c7

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak tam, leczycie jeszcze kaca po hucznym świeckowaniu wspólnie z naszymi autorytetami 30 lat wolności? xD

Jako iż wolność jest z tego samego pokolenia co my, możemy uznać, iż wolność jest trochę millennialsem, a trochę pokoleniem X. Dlatego tak dobrze ją rozumiemy i cieszymy się, iż mogliśmy jej doświadczyć.

Bo pewnie o tym dobrze wiecie, wszyscy przypominali, iż obecnie wolności w tym kraju nie ma. Bowiem nie może być wolności bez refundowanej antykoncepcji, prawa do wyboru i adopcji osobodzieci przez związki LGBTQWERTY. To podstawa.

Niestety, nawet ostatnie wybory pokazały nam, iż starsi, słabiej wykształceni i z podkarpackich ośrodków wiejskich nie potrafią z wolności korzystać – bo po prostu jej nie rozumieją. A wolność nie polega na wybieraniu sobie, kogo tam się chce, ale na odpowiedzialności. Podkarpacie nie wykazało się odpowiedzialnością i znów wybrało źle, nie tak, jak powinno, i nie tak, jak wolność by sugerowała. Dlatego mamy taką smutną refleksję, iż wolność się w tym kraju sprawdza jedynie na zachód od Wisły :(

Aż wstyd, iż nie wpadliśmy na to pierwsi i nie podnieśliśmy alarmu. Na szczęście zachodnioeuropejskie społeczeństwo czuwa i zauważyło, iż w serialu „Czarnobyl", o którym niedawno Wam pisaliśmy, brakuje osób pigmentalnie uposażonych, a całość sprawia wrażenie, jakby w Związku Sowieckim w latach katastrofy i zwalczania jej skutków we władzach zasiadali wyłącznie biali heteroseksualni mężczyźni.

Powiedzcie sami: Czy istnieje obecnie jakikolwiek powód, dla którego pierwszy sekretarz, wicepremier czy inne osoby z managementu ZSRS nie mogli być pigmentalnie uposażeni? Ci z was, którzy do końca jeszcze mentalnie nie wyszli z Krosna, pewnie mogą nieśmiało powołać się na historię. A czy naprawdę teraz coś stoi na przeszkodzie, iżby tę historię zredefiniować, zdekonstruować i napisać na nowo?

Wystarczyłaby odrobina empatii, zaangażowania i krytycznego spojrzenia ze strony producentów i scenarzystów. A tak mamy kolejny serial, który najchętniej przemilczałby istnienie wszystkich mniejszości i nie dopuszcza do przedstawienia różnorodności. Przykro :(©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

eprasa.pl 0f336d80c7

dwaj panowie g

No i po rekonstrukcji. Ale gdzież jej do dawnych rekonstrukcji, pełnych niespodzianek i barwnych osobowości! Po namyśle doszliśmy do wniosku, że nawet termin jest niewłaściwy. To nie była rekonstrukcja, tylko reasekuracja.

Premier Mateusz nazwał nowy skład rządu „drużyną marzeń". Wreszcie doczekaliśmy się rządu, który nie tylko jest skromny, lecz także marzenia ma skromne.

Inni w PiS, tak nam się przypomniało, jeszcze przed reasekuracją rządu zapowiadali, że to nie będzie „rekonstrukcja", lecz „lifting wizerunkowy". Wychodzi na to, że w paru miejscach skalpel się ześliznął.

Troszkę się pośmialiśmy, gdy okazało się, że nowym ministrem finansów będzie Marian Banaś. Nic przeciw niemu nie mamy, ale pamiętamy, jak trzy miesiące temu, gdy Teresa od Finansów rzuciła papierami i chciała odchodzić, rozpytywaliśmy w rządzie, kto przyjdzie za nią. Usłyszeliśmy wtedy: „Ktoś nawet zaproponował, żeby Banaś, ale to nie ten rozmiar kapelusza". Albo zmieniły się kapelusze, albo Banaś.

Apropos Teresek. Ohydna plotka wprost z serca Nowogrodzkiej. Podobno gdy podczas decydujących narad Kaczor Dyktator usłyszał, kto ma być szefem MSWiA w miejsce Achima, zakrzyknął: „Ela Witek? Ela Witek?". Potem zamyślił się i spokojnie już dodał: „No w sumie gorsza od Piotrowskiej nie będzie". Przypominamy: Piotrowska Teresa była szefem MSWiA u Ewki Kopacz z Szydłowca.

Tymczasem rekonstrukcji Rady Mediów Narodowych nie będzie, bo świeżo upieczona europosłanka Elżbieta Kruk ma ekspertyzy prawne, z których wynika, że może łączyć mandat z funkcją w RMN. Będzie więc łączyć. PiS łączy, nie dzieli.

Apropos tego, co robi PiS i jaki jest. Pogratulowaliśmy jednemu z nowych ministrów, dodając, że są to gratulacje konstytucyjne, gdyż został ministrem konstytucyjnym. Spłoszył się lekko i odparł: „A to nie wiecie panowie, że PiS jest z zasady niekonstytucyjny?".

Przy okazji zwracamy uwagę szanownych czytelników na Michała Wosia, który został nową Bełatą Kempą, czyli ministrem od pomocy humanitarnej. To pierwszy prawdziwy minister w dziejach Raciborza. Plasuje się tym samym na podium trójki raciborzan tysiąclecia. Numer jeden to władca Polski Mieszko Laskonogi. Numer dwa to Woś. A trzy? – zapytacie. No na trzecie miejsce spadł Marek Migalski, ornitolog politologiczny.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Co łączy raciborzanina Wosia i raciborzanina Migalskiego? Ujawniamy. Chodzili razem do liceum. Ale tylko do liceum, podkreślamy.

Do zrekonstruowania został fotel wicemarszałka Sejmu. Wszyscy już wiedzą, że zamiast Beaty Mazurek będzie Małgorzata Gosiewska. Ale kto będzie nową Beatą Mazurek w roli rzecznika klubu PiS? Odpowiadamy: Radek Fogiel. Na Nowogrodzkiej bardzo podobało się, jak prowadził konwencję PiS w Radomiu i różne inne jego osiągnięcia. A poza tym jest na co dzień o dwa pokoje od Kaczora Dyktatora, na tym samym piętrze Nowogrodzka Totalitarian Center.

Radek Fogiel ma pewną dodatkową zaletę. Ludzie, którzy niespecjalnie kojarzą, kto właściwie jak wygląda w PiS (czyli zdecydowana większość dziennikarzy), mogą go mylić z Piotrem Müllerem, nowym rzecznikiem rządu. Też chudy, wysoki, w okularach. I jak tu żyć? Tak umiera demokracja.

Tymczasem dementujemy, jakoby w PiS wszyscy byli głęboko wierzący i praktykujący. Na przykład bibka z opijaniem (i obżeraniem) wyniku eurowyborów została zorganizowana w miniony piątek, w zacisznej restauracji (adres znany redakcji). Byli ministrowie, eurodepy i bardzo mało katolickiego, postnego, piątkowego nastroju.

Apropos dobrego jedzenia. Uszczęśliwiony faktem, że jednak pozostaje w europarlamencie, Richard Henry Czarnecki próbował w ubiegłym tygodniu podczas tournée po mediach skorumpować dziennikarzy czekoladkami. Podsuwał je prowadzącym wywiad ze słowami: „Prawdziwe belgijskie". Z tego, co wiemy, obaj korumpowani dziennikarze, Robert M. oraz Piotr G., odmówili.

Apropos tournée, ale nie Richarda. Potwierdzamy. Pół miliona głosów, w eurowybo-

eprasa.pl 0f336d80c7

Richard Henry Czarnecki próbował w ubiegłym tygodniu podczas tournée po mediach skorumpować dziennikarzy czekoladkami

rach, wywiady, konferencje, nieoficjalne spotkania. Broszki brak! Halo, Houston, broszki brak! Wielka przemiana wizerunkowa premier Bełaty Szydło rozpoczęta w ubiegłym roku na Forum Ekonomicznym w Krynicy dobiegła pomyślnego końca. Będziemy tęsknić.

Wracając do głęboko wierzących. Wszyscy, którzy się modlili w PiS o objęcie rekonstrukcją, to znaczy tfuj, reasekuracją paru innych resortów, nie zostali wysłuchani. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Nowy resort, skupiający energetyczne spółki Skarbu Państwa, będzie powołany po jesiennych wyborach. Tak mówią wiewiórki.

Tymczasem w Eine Totalopposition. W ramach pilnego poszukiwania recepty na lepszą przyszłość sztabowcy PeŁo gorączkowo poszukują namiarów na brytyjskich spin doctorów, którzy pomagali prowadzić kampanię PiS. Ponieważ jesteśmy ciekawscy, postanowiliśmy sami poszukać. W odpowiedzi usłyszeliśmy od wpływowego PiS-owca zdziwione: „Ale dlaczego akurat brytyjskich?!".

Chyba wiemy, skąd to nieporozumienie. Po pierwsze, sztabowcy PeŁo nie są zbyt lotni, czego dowodem cztery ostatnie przerżnięte kampanie wyborcze. Po drugie, pewnie im się wszystko pomieszało w Cambridge Analytics.

Jeszcze o Eine Totalopposition. Wszystko przez PiS. A co? No wiecie, kiedyś było tak, że jak samorządowiec kandydował do Sejmu i został wybrany, to mógł sobie wybrać, czy idzie na Wiejską czy zostaje na swoim fotelu prezydenta miasta. Niestety, po zmianach wprowadzonych w kodeksie wyborczym przez złych akolitów Kaczora Dyktatora teraz taki delikwent automatycznie zostaje parlamentarzystą.

Powyższy fakt, skrzętnie pomijany przez komentatorów, wyjaśnia, dlaczego antypisowskie bohaterstwo radnych, burmistrzów i prezydentów miast ma swoje granice. Kiedy mówią, że dołączą do krucjaty anty-PiS, to dołączą. Kiedy mówią, że będą kandydować, to tylko mówią.

Rozliczenia w opozycji trwają. Ostatnio Jakub Wojewódzki, pseudonim operacyjny Kuba, usłyszał, że ma „wypi…ć" z warszawskiej restauracji Adama Gesslera. Odważny Jakub czmychnął, aż się kurzyło. I to nie byłby news, gdyby nie fakt, że przemocy werbalnej wobec Kuby Jakuba dopuścił się nie PiS-owski reżim, tylko kość z kości ROAD/UD. Tej najprawdziwszej. Nadto wyznał, że ma „dość chama". True story.

Smuteczek. Robik Biedroń, wielki wódz ugrupowania der Frühling (po polsku Wiosna), nie chce oddać mandatu europosła, choć zapowiadał. Myśmy i tak nie wierzyli. Jest i dobra wiadomość. Sylwia Spurek, nowa europosłanka, otworzyła oficjalnie sezon wakacyjny w polityce i pojechała odpocząć do Toskanii. Mamy nadzieję, że spotka tam Janka i Nelly Rokitów.

Jak wiadomo, nasza rubryka nie tylko śmieszy i tumani, lecz także przestrasza. Jak Orient-Men. Zatem straszymy: idzie kolejna czystka w dyplomacji. Minister Jacek Czapa-Czaputowicz nakazał sporządzić listę urzędników, którzy skończyli lat 65, czyli osiągnęli PiS-owski wiek emerytalny. Okazało się, że jest ich w MSZ tak wielu, że nie da się od razu wszystkich wysłać w stan spoczynku. Czystka będzie się więc odbywać partiami. Inna sprawa, że za dwa lata sam Czapa osiągnie wiek emerytalny. Tylko czy sam będzie wtedy jeszcze w dyplomacji?

Pół miliona głosów, w eurowyborach, wywiady, konferencje, nieoficjalne spotkania. Broszki brak!

Wiadomość ciut spóźniona, ale to przez natłok wieści wyborczo-rekonstrukcyjnych. Za to piękna. Jedne targi, a tyle wzruszeń! Mówimy o targach książki w Warszawie. Adama Michnika słuchało całe 20 osób. A Stowarzyszenie Sędziów Iustitia wykupiło jedno z największych stoisk, gdyż są to ludzie ubodzy i prześladowani przez reżim PiS. Pewnie biedaki musiały zastawić ostatnie mercedesy i maybachy. Niestety, nie odnotowano, by rozdawały autografy na egzemplarzach konstytucji. ©℗

eprasa.pl 0f336d80c7

Z Wojciechem Cejrowskim, komikiem, pisarzem i przedsiębiorcą mieszkającym w Arizonie
rozmawia Maciej Pieczyński

Albo twarda ręka, albo islam

MACIEJ PIECZYŃSKI: 45,61 proc. – tyle wyniosła frekwencja w wyborach do Parlamentu Europejskiego. To rekord. Wychodzi na to, że Polacy coraz bardziej interesują się Unią, coraz chętniej wysyłają do Brukseli swoich przedstawicieli. Martwi to pana, jako eurosceptyka?

WOJCIECH CEJROWSKI: Nie jestem eurosceptykiem, tylko wrogiem Unii. Chciałbym jej obalenia lub przynajmniej rozpadu. Obalenie jest lepsze, gdyż obala się z wyboru, i wolę świadome działanie od biernego oczekiwania na upadek.

Ta rekordowa frekwencja jest świadectwem wysokich emocji w sporze, który narasta w Polsce. Spór komuchów, lewaków z ludźmi prawymi, patriotami. Spór się zaognił, a te wybory były plebiscytem. Jedni drugim chcieli pokazać i dlatego poszli do wyborów.

„Kaja Godek gwarantuje mi walkę z aborcją. Korwin walkę z socjalizmem i biurokracją. Narodowcy walkę o niepodległość i mocną Polskę. Pan Jakubiak walkę o kapitalizm i przedsiębiorczość.

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. W. CEBROWSKI LTD.

A reszta partii i koalicji – WSZYSCY WON!" – tak motywował pan swoje poparcie dla Konfederacji. Ta jednak nie przekroczyła progu wyborczego. Czyżby Polakom nie zależało na wartościach, które – pańskim zdaniem – gwarantuje Konfederacja?

Tak wynika z tych wyborów. Polacy wolą inne rzeczy. Aborcją wolą się nie zajmować, bo temat kontrowersyjny, wolą socjalizm w formie „500+" od możliwości rozwoju, które dałby im kapitalizm, wolą być w Unii niż niepodlegli. Martwi mnie, że partia homoseksualistów zdobyła 6 proc. poparcia, a jedyna partia wartości nawet nie przeszła progu wyborczego. Martwi mnie to, ale nie dziwi. Demokracja prowadzi nieuchronnie do tego, że coraz większe tłumy głosujących wybierają coraz gorsze rzeczy, a nie coraz lepsze.

Powszechna jest opinia, że największym problemem kolejnych partii Janusza Korwin-Mikkego jest sam Janusz Korwin-Mikke, który przed wyborami zazwyczaj „odpala protokół 1 proc.", czyli robi coś kontrowersyjnego, przez co zraża do siebie wyborców. W tej kampanii wyręczyli go w tym jego ludzie i koalicjanci. Sławomir Mentzen ogłosił „piątkę Konfederacji", której jednym z punktów było „nie chcemy Żydów". Konrad Berkowicz założył publicznie jarmułkę na głowę kandydatce PiS. Grzegorz Braun mówił o „batożeniu homoseksualistów". Może ten niewybredny styl prowadzenia kampanii zaszkodził Konfederacji?

E tam. Konfederacją się interesowałem przed tymi wyborami, a o żadnej z rzeczy, które pan wymienił, nie słyszałem. Czyli zdarzyło się, ale nie miało na mnie wpływu, bo nic o tym nie wiedziałem. Zakładam, że pan mi podaje zdarzenia prawdziwe, które miały miejsce, a nie fejki.

Głosowałem na Bosaka i nie żałuję. Głosowałbym jeszcze na Kaję Godek, gdybym mógł, i żałuję, że nie mogłem.

Nie żałuję, że zagłosowałem na partię, która przegrała. Najczęściej głosuję na tych, którzy ostatecznie przegrywają. Mam poglądy radykalne, więc nic w tym dziwnego, że głosuję na ugrupowania, które są na marginesie, a nie w głównym nurcie. I to ja mam rację, a nie średnia populacyjna. Wierzę moim wyborom, bo potwierdzają się po latach. Gdy w „WC Kwadransie" mówiłem, że zboczeńcy będą się publicznie obnosić z dewiacjami, że będą zakładać partie i żądać uznawania sodomskich konkubinatów za związek równorzędny z małżeństwem, gdy to mówiłem w roku 1995, byłem na marginesie i wyśmiewany. A jednak to ja miałem rację. Proszę więc się śmiać do woli z tego, co mówię dzisiaj. Przegrana w wyborach nie jest dowodem na to, że się nie ma racji. To, że większość ma w demokracji władzę, nie oznacza, że ma rację.

Wiem, że panu generalnie nie przeszkadza taki radykalizm. Jednak po co zniechęcać co wrażliwszych wyborców? Przecież to samo można powiedzieć łagodniejszym językiem.

Mowa nasza ma być prosta: tak-tak, nie-nie. Ja wybierałem Trumpa między innymi dlatego, że był szczery i mówił wprost, co myśli. Nie lubię mowy śliskiej i wymijającej, nie lubię tego „łagodniejszego języka". Wolę, gdy facet, który nie lubi Żydów, mówi mi o tym wprost językiem dosadnym. To lepsza sytuacja, niż gdy on to ukryje, a wyjawi dopiero po wygranych wyborach. Pan naprawdę by wolał, żeby Braun zastosował łagodniejszy język teraz, a batożenie wprowadził dopiero po zwycięstwie wyborczym? Czy nie czułby się pan wtedy oszukany? Ja wolę takie rzeczy usłyszeć od razu w kampanii.

A może wyborców odstraszyły kontrowersje związane z prorosyjskością Konfederacji? Panu nie przeszkadzały te – zdaniem części mediów – niebezpieczne związki narodowców i korwinistów?

Jestem antyrosyjski, antysowiecki, mam rusofobię, nie lubię Ruskich i uważam, że Polska nie powinna z nimi handlować – słyszał pan te rzeczy ode mnie wiele razy w poprzednich rozmowach. Jestem przeczulony na Ruskich i ich współpracowników, popleczników, sojuszników – wszyscy oni WON! I pomimo tego przeczulenia naprawdę nie wiem, gdzie w Konfederacji ktoś zobaczył prorosyjskość. Gdybym ja ją zobaczył, a JESTEM PRZECZULONY, tobym ich wszystkich kopnął w tyłek i nie zagłosował na ruskie pachołki. Moim zdaniem prorosyjskość Konfederacji wymyślił Jarosław Kaczyński, bo nie miał argumentów programowych. Konfederacja w swoim programie zaproponowała realizację tego, co Jarosław Kaczyński obiecał, a czego nie wykonał. Na przykład obiecał zakaz aborcji, a nie wykonał tego. Wystawił nas w tej kwestii do wiatru. Oszukał, a dzieci są mordowane każdego dnia. Krew niewiniątek zamieciona pod dywan. Mokry i lepki od polskiej krwi. Jak to się ma do polityki prorodzinnej PiS?

„To, że jestem opcją prorosyjską, ja, to oczywiście tak" – przyznał Janusz Korwin-Mikke w rozmowie z telewizją wRealu24. Dalej popiera pan tego polityka?

Nie wiem, co z tego niegramatycznego zdania wynika. Jest niezrozumiałe. Czy Korwin-Mikke zastosował sarkazm wobec absurdalnych oskarżeń Jarosława? Jeżeli Korwin-Mikke rzeczywiście jest prorosyjski, o czym nie wiedziałem, to WON z mojego talerza. Na ruskiego pachoła nie zagłosuję. Zresztą nie

eprasa.pl 0f336d80c7

głosowałem nigdy na Korwin-Mikkego w żadnym z jego poprzednich wcieleń. Lubiłem go słuchać, bo wydawało mi się zawsze, że jest uczciwym antysocjalistą. Jeżeli to prawda, że teraz jest prorosyjski, to ja go skreślam z mojej listy raz na zawsze i przenoszę do tego samego wiadra, w którym pływa szambo Schetyny. Ruskie pachoły, tfu.

Dla niepodległości Polski zabójcze są wszelkie układy prorosyjskie oraz proniemieckie. Oba te państwa to wróg, wróg potężniejszy od nas. Sojuszy powinniśmy szukać gdzieś indziej i powinny być zawsze skierowane przeciw Rosji i Niemcom.

Powiem panu jeszcze, że mnie pan zaszokował tą informacją, a jednocześnie wyszło na to, że Jarosław Kaczyński źle prowadził propagandę wyborczą. Oskarżenia Konfederacji o prorosyjskość nie zawierały tego KONKRETU. Aż mi się wierzyć nie chce, że Korwin-Mikke to ruski pachoł. Mam nadzieję, że mnie pan nie wpuszcza w maliny. Jestem zaszokowany. Nie da się być antysocjalistą i jednocześnie reprezentować opcję prorosyjską. Czy Korwin-Mikke naprawdę powiedział to, co mi pan tu sugeruje?

„Ja zachęcam młodych ludzi do zapisywania się do wojska. W swoim czasie za kilka lat obejmą właściwe stanowiska. To powinno zrobić wojsko. Nie bojówki paramilitarne, bo wtedy zaczynają się bójki z wojskiem, co jest niedopuszczalne. To właśnie wojsko powinno zrobić porządek w Polsce" – zachęcał Janusz Korwin-Mikke podczas internetowego czatu ze swoimi zwolennikami. To brzmi jak nawoływanie do zamachu stanu. Czy kontrowersyjnym politykiem powinny się zająć odpowiednie służby?

A wolność słowa gdzie? Nie wolno nawoływać do zamachu stanu, gdy ktoś tak uważa? Jeżeli nie wolno, to należy zrobić zamach stanu i obalić takie przepisy, które zabraniają ludziom wyrażania ich opinii, nawet tych najgłupszych. Wolność słowa nie po to jest, by chronić wypowiedzi miłe dla ucha, ale po to, by nikogo nie prześladowano za wypowiedzi, które nam się nie podobają

Nie wiem, co tam Korwin-Mikke miał na myśli, natomiast w historii świata mamy okresy demokracji przeplatane okresami władzy autorytarnej. Była demokracja grecka, potem była demokracja rzymska, a w pewnym momencie demokracja się ludziom przestaje podobać i ją obalają, i wynoszą na tron dyktatora, który jest przez czas jakiś bardziej skuteczny od demokracji. Niemcy w demokratycznych wyborach wybrali Hitlera, gdy uznali, że demokratyczny system nie daje im chleba... I tak dalej.

Teraz obserwujemy upadek systemu demokratycznego w Europie i albo władzę przejmie dyktatura islamu, albo islam zostanie z Europy przegnany, gdy narody europejskie posadzą na swoich tronach kolejnych dyktatorów. To normalny proces historyczny. Sinusoida dziejów. To samo obserwuję nawet u dzikich plemion. Jakiś czas rządzi wódz Twarda Ręka. Potem go obalają i przychodzi inny wódz, który do każdej decyzji zwołuje Radę Starszych i szuka konsensusu. Potem to znowu przestaje działać i dzikie plemię wybiera wodza Twardą Rękę II. Ma się szczęście, gdy tym wodzem jest ktoś pokroju Pinocheta lub Margaret Thatcher. Ma się mniej szczęścia, gdy wodzem zostaje Putin, Stalin lub Lenin. I chciałbym podkreślić, że nikogo nie obrażam, a jedynie robię wywody politologiczne i historyczne.

Czy uważa pan, że Kukiz, który również nie przekroczył progu wyborczego, powinien dołączyć do Konfederacji przed jesiennymi wyborami do krajowego parlamentu? Wtedy do wspomnianego wyżej katalogu wartości dołączyłaby „gwarancja walki o jednomandatowe okręgi wyborcze".

A co ma jedno do drugiego? Wybory do Parlamentu Europejskiego są kompletnie bez znaczenia dla Polski, wybory do Sejmu mają znaczenie kluczowe. Cieszyłbym się, gdyby do pakietu wartości Konfederacji dołączyć JOW-y, tak. A cieszyłbym się jeszcze bardziej, gdyby PiS przyjął ten katalog wartości, bo Konfederacja i Kukiz mają wartości, a PiS ma władzę. Połączenie tych zasobów byłoby dobre dla Polski.

Dzięki Grzegorzowi Schetynie do Parlamentu Europejskiego dostali się m.in. Leszek Miller i Włodzimierz Cimoszewicz. I to z bardzo dobrymi wynikami. Jak tak dalej pójdzie, być może postkomuniści wrócą również do polskiego Sejmu jesienią. Platforma dała się ograć „czerwonym" czy może Platforma jest „czerwona" i to naturalne dla niej towarzystwo?

Komuchy, synowie komuchów, wnuki komuchów, tajni współpracownicy komuchów, jedno komunistyczne szambo. Nie analizuję, kto tam konkretnie w tym szambie pływa i kto się do kogo bardziej klei, bo szambo to szambo i warto je odpompować, a nie analizować.

A przy okazji cieszę się, że Miller z Cimoszewiczem wyjadą z Polski. Zawsze to dwóch komuchów mniej.

Według Leszka Millera PiS składa się z trzech elementów: „Kościół, kiełbasa i propaganda". Jak odpowiedziałby pan byłemu premierowi?

Z komuchami nie rozmawiam.

Dość już o przegranych. Porozmawiajmy o zwycięzcach. PiS zmiażdżył rywali. O 7 pkt. proc. wyprzedził Koalicję Europejską, a przecież to właśnie euroentuzjaści zazwyczaj wygrywali wyścig o miejsca w Brukseli. Jak pan myśli, w czym tkwi sukces Kaczyńskiego?

W kiełbasie i propagandzie (śmiech).

Czego oczekuje pan od PiS w Parlamencie Europejskim?

Od Parlamentu Europejskiego nie oczekuję niczego. To instytucja kompletnie bez znaczenia praktycznego, więc nie ma czego oczekiwać od ludzi, którzy jadą po nic do instytucji nic nieznaczącej. Decyzji w Unii nie podejmuje Parlament, lecz grupa urzędasów, których nikt nie wybiera w wyborach. Posłowie w Brukseli są do pobierania pensji. Innych funkcji nie sprawują. Ten Parlament to gra pozorów, teatr bez znaczenia praktycznego.

Dzień po wyborach jacyś „przedstawiciele państw członkowskich" dokonywali „wyboru kandydatów na najwyższe i najważniejsze urzędy w Unii" – tyle dowiedziałem się z „Wiadomości" TVP. Tam się ktoś zbiera, jakiś Komitet Centralny bez nazwisk, i MIANUJE urzędników. Nie my ich wybieramy, ale oni decydują o wszystkim, a nie unijny Parlament. To system sowiecki, bolszewicki, a nie demokracja. Dawniej to się nazywało nomenklaturą.

Pod koniec kampanii PiS zaczął twardo stawiać, wcześniej przemilczaną, sprawę tzw. Ustawy

Nie głosowałem nigdy na Korwin-Mikkego. Lubiłem go słuchać, bo wydawało mi się, że jest uczciwym antysocjalistą. Jeśli to prawda, że jest teraz prorosyjski, to skreślam go z mojej listy raz na zawsze

eprasa.pl 0f336d80c7

447. Czy wierzy pan Jarosławowi Kaczyńskiemu, że nie wypłaci organizacjom żydowskim ani grosza?

Nie wierzę. „Wcześniej przemilczaną" jest kluczowe. Zaczęli gadać o 447 dopiero z okazji wyborów. Podobne obietnice pan Kaczyński składał w kwestii likwidacji aborcji – z okazji wyborów składał, a teraz są przemilczane. Podobne składał w sprawie sądów, a jednak ugiął się przed Unią. Jest miękki. Polskie lasy żre kornik, bo Jarosław Kaczyński ugina się pod naporem Unii. Opowiada dyrdymały o twardym stawianiu sprawy polskiej, a potem jest miękki. Stale i wszędzie. Las żrą korniki, a wrak samolotu żre rdza w Rosji. Nawet wraku nie umiał odebrać. Da się ograć Żydom do gołka i puści Polskę bez portek.

Nie jest pan zbyt surowy? PiS spełnił wiele ze swoich kampanijnych obietnic. Może nie wszystkie, ale jak na standardy polskiej polityki to i tak dużo. Może więc jednak będzie umiał się postawić organizacjom żydowskim. Szczególnie że wypłata roszczeń oznaczałaby dla PiS totalną kompromitację...

Proszę wymienić te spełnione obietnice. Po kolei i z nazwy. Obniżyli podatki? Nie. Zakazali aborcji? Nie. Zreformowali sądy? Nie. Zatrzymali falę emigrantów? Też nie – za rządów PiS imigrantów przybyło ponad 300 tys. i to są oficjalne statystyki rządowe. To gdzie te spełnione obietnice? Które konkretnie? Pytam z wielką troską! Bo gdy ja zawieram z kimś kontrakt, to nie tłumaczę się potem, że wprawdzie obiecywałem zapłacić milion dolarów, ale zapłacę nie wszystko, lecz „wiele z tej mojej obietnicy". PiS powinien w kampanii obiecać tylko tyle, ile jest w stanie zrealizować. Ja tak robię w biznesie i tego oczekuję od władzy, której płacę za robotę.

Organizacje żydowskie lobbują ponoć u Trumpa, by postawił Polakom warunek: „Albo wypłacicie roszczenia bezspadkowe, albo stała baza amerykańska nad Wisłą nie powstanie". Myśli pan, że Biały Dom mógłby takim naciskom ulec?

Bezsprzecznie ulegnie, jeśli się pojawią. Ameryka uważa Izrael za swojego NAJWAŻNIEJSZEGO sojusznika na całym świecie, czy nam się to podoba czy nie. W sprawie 447 należy się odwoływać do przepisów prawa amerykańskiego i izraelskiego. W obu tych krajach mienie bezspadkowe przechodzi na skarb państwa.

Gdybyśmy dostali ze strony USA takie ultimatum, jak powinien zachować się polski rząd?

Z Trumpem należy rozmawiać jak z przedsiębiorcą. Propozycja „baza w zamian za roszczenia" jest dla Polski nieopłacalna finansowo – bezspadkowe roszczenia kosztowałyby Polskę wielokrotnie drożej niż koszt bazy nad Wisłą, czyli taniej by nam wyszło wybudować bazę samodzielnie i wynająć amerykańskie wojsko na lat 50, niż zapłacić roszczenia.

Nazwał pan kiedyś PiS „miękkimi parówkami". Dalej pan tak uważa?

Co do „miękkich parówek", to od czasu, gdy zastosowałem to porównanie, PiS uległ rozgotowaniu na szarą breję. Nie udźwigną negocjacji z Trumpem, bo nie oczyścili MSZ ze starej kadry nauczonej reprezentować interesy rosyjskie. Nie widzę w PiS mocy. Bardzo żałuję, bo mają władzę, więc wolałbym, by byli ideowi, mocni, twardzi, skuteczni. Nie są. W żadnej sprawie nie są. Chyba że pan mi taką sprawę wskaże, to się ucieszę i odszczekam.

Wskażę kilka takich spraw. Po pierwsze: polityka prorodzinna. Pan nazywa „500+" socjalem, ale jednak z założenia był to projekt demograficzny. I początkowo rzeczywiście zanotowano wzrost urodzeń.

Początkowo zanotowano, a teraz już nie ma. Czyli były to POZORY, a nie skuteczna polityka prorodzinna. Odbieranie ludziom pieniędzy po to, by tym samym ludziom dać pieniądze. To raczej propaganda. Polityką prorodzinną byłoby obniżenie rodzinom podatków, czyli zostawienie pieniędzy, a nie rozdawanie pieniędzy. Wtedy też jednocześnie wspiera się uczciwych, którzy płacą podatki.

Dalej: może PiS nie wprowadził całkowitego zakazu aborcji, ale też nie pozwolił na jej liberalizację. Nie ugiął się pod presją czarnych protestów.

PiS nie obiecywał w kampanii wyborczej, że się nie będzie uginał pod protestami, lecz obiecał wprowadzenie zakazu. Jeździli z tym do Radia Maryja. A teraz blokują obywatelskie projekty, głosują przeciw.

Ideowość PiS widać w polityce zagranicznej. Konsekwentnie wskazują na zagrożenie ze strony Rosji. Stworzyli Wojska Obrony Terytorialnej, które mają nas bronić przed „zielonymi ludzikami".

Wskazywanie na zagrożenia to nie jest ideowość, lecz opowiadanie o tym, co widać. Czy za ideowość uznaje pan ustępowanie przed zagranicznymi trybunałami w WEWNĘTRZNYCH sprawach Polski? Ja pana pytam nie o to, co PiS mówi, ale o to, co ZROBIŁ, czego KONKRETNEGO dokonał? Bo władzę się ma nie po to, by opowiadać o ideach, lecz po to, by je wcielać w życie.

Pomimo protestów rząd PiS podjął decyzję o przekopie Mierzei Wiślanej.

Obiecywali przekop, a nie decyzję o przekopie. Gdy zawieram z podwykonawcą umowę na budowę, nie zadowala mnie informacja o tym, że podjął decyzję i zebrał papiery. Przekop powinien być dawno zakończony, bo kończy się kadencja, na którą obiecywali nam wykonanie tej inwestycji. Płacimy tej władzy bardzo wysokie podatki. Mamy prawo wymagać, by zrealizowali WSZYSTKIE obietnice wyborcze. Każdą po kolei. W dodatku szybko i w umówionym terminie czterech lat.

Próbują uniezależnić Polskę – szerzej – Europę Środkową od rosyjskiej energii, budując sojusz państw Trójmorza, oparty na współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. Robią, co mogą, by wzmocnić obecność amerykańską nad Wisłą, zwiększając tym samym bezpieczeństwo kraju.

W kampanii wyborczej obiecywali, że zrobią, i zapewniali, że wiedzą, jak tego dokonać, a nie że będą „podejmowali próby". „Robią, co mogą" – to jest żałosne usprawiedliwienie. Trzeba było nie brać władzy, jeżeli stać cię jedynie na podejmowanie prób.

A tak poza tym to potrafią też postawić się Unii. W sprawie reformy sądownictwa długo byli nieugięci.

Ha, ha, ha. Długo byli, ale potem się ugięli. I to ma być co? Sukces? W pierwszym zdaniu mówi pan, że się „potrafią postawić", a zaraz potem pan mówi, że się ugięli. Wykonawca ma być skuteczny w działaniu, a nie pełen żałosnych usprawiedliwień, że się starał, ale mu nie wyszło.

Dobre wyniki w wyborach do PE zanotowali prawicowi sojusznicy Kaczyńskiego z innych krajów. We Włoszech wygrała Liga Matteo Salviniego, na Węgrzech – Fidesz Orbána w koalicji z Chrześcijańsko-Demokratyczną Partią Ludową. Może więc rzeczywiście PiS powalczy w Brukseli o wartości chrześcijańskie, o „Europę Ojczyzn"?

Parlament Europejski nie podejmuje żadnych decyzji. Jak więc mają powalczyć? Popyskują na mównicy, ale tego i tak nikt poza nimi samymi słuchał nie będzie. Ja jestem kapitalista i praktyk. Parlament Europejski nie ma żadnego

eprasa.pl 0f336d80c7

znaczenia praktycznego ani żadnego wpływu na nic. Pan uważa inaczej? To proszę o jakiś przykład z życia.

Z drugiej strony Andrzej Duda zaproponował podczas uroczystości 3 Maja, by wpisać do polskiej konstytucji zapis dotyczący obecności Polski w Unii Europejskiej. Niech zgadnę: Skomentowałby to pan lapidarnym „Duda WON"?

Taki zapis już był – za komuny do konstytucji PRL wpisano wieczny sojusz ze Związkiem Sowieckim.

Jednak sojusz ze Związkiem Sowieckim został narzucony siłą, natomiast do Unii Europejskiej weszliśmy dobrowolnie, głosując w referendum. To chyba jest różnica?

Pamięta pan plebiscyt „3 x tak"? W sprawie sojuszu ze Związkiem Sowieckim też były przeróżne plebiscyty i naród popierał partię w kolejnych wyborach, do których szło 99 proc. Polaków. Wiele osób wtedy głosowało szczerze i bez przymusu.

Za rok wybory prezydenckie. Rozumiem, że Andrzej Duda nie może liczyć na głos Wojciecha Cejrowskiego?

W poprzednich wyborach też nie dostał mojego głosu – ja nie głosowałem na Dudę, lecz PRZECIWKO Komoruskiemu. Zasadnicza różnica, choć na kartce wyborczej obie te rzeczy wyglądają tak samo.

Wyobraźmy sobie, że w drugiej turze wyborów prezydenckich spotykają się Andrzej Duda i Donald Tusk. Zagłosowałby pan wówczas na „mniejsze zło"? Bo chyba nie wrzuciłby pan obu polityków do jednego worka?

Zagłosowałbym być może znowu przeciw – tym razem przeciw Tuskowi, ale... być może pojawi się w narodzie taka siła, która spowoduje, że bardziej znaczące będą bojkot wyborów lub oddawanie głosów nieważnych z dopisanym odręcznie jakimś hasłem sprzeciwu. Robiliśmy tak za komuny. Wtedy władza widzi skalę oporu społecznego wobec siebie i zaczyna się bać.

Schetyna przegrał wybory do europarlamentu, a teraz zapewne jeszcze dotkliwszą klęskę poniesie w starciu o Sejm. Myśli pan, że Tusk wróci „na białym koniu" i przejmie „totalną opozycję" czy może – jako pragmatyk, który nie lubi się narażać – machnie na to ręką i nie będzie ryzykował porażki z Kaczyńskim?

To zależy od tego, czy Unia chce Tuska w Polsce, czy nie chce. Jeżeli nie chce, to zaproponują mu jakiś płatny stołek w Unii i tam go zostawią.

FOT. W. CEJROWSKI LTD.

Według Bronisława Komorowskiego na PiS zagłosowali ci, którzy nie płacą podatków. Krystyna Janda udostępniła na swoim profilu facebookowym obrazek, z którego wynika, że zwycięzcy zwyczajnie przekupili wyborców. Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej" idzie dalej i sugeruje, że PiS i jego zwolennicy powinni odpowiadać karnie za „handel głosami". Skąd ta pogarda w rzekomo „światłym", „tolerancyjnym", „otwartym" i „radosnym" środowisku szeroko rozumianego antypisu?

Szkoda czasu na analizowanie. Słyszy pan z balkonu, że jakieś typy obgadują pana pod klatką. No i trudno – niech obgadują, a pan ma swoją robotę, więc szkoda słuchać i analizować ich złość. Bo to tylko złość, frustracja z przegranej, która w nich rodzi agresję. Na Jandę chyba bym machnął ręką, bo nie wiadomo, co robić. Maciej Stuhr jest bardzo inteligentny i dowcipny, więc... może kiedyś, gdyby ochłonął ze złości, która nim trzepie, byłaby jakaś szansa podejść i zapytać, co proponuje.

Mamy takich Polaków, jakich mamy, są pośród Polaków mohery i trzeba z tym żyć. Zamiast na nich warczeć, może lepiej byłoby poszukać jakiejś jednej wspólnej sprawy, a inne chwilowo zmilczeć. To tak jak na imieninach babci, gdy spotykamy kuzyna z opozycji. I żaden z nas nie chce jej obrażać kłótniami. Babcia to Polska, obaj ją kochamy i albo z powodu tej miłości chcemy babcię uszanować, albo jest dla nas ważniejsze nawyzywać kuzyna z opozycji. Ja czekam, bo może ten kuzyn się kiedyś uspokoi i da się jakoś pogadać. Jestem moher, on się moherami brzydzi, ale obaj kochamy babcię. Janda w tej bajce to stara ciotka, którą po prostu omijamy z pobłażliwością. I pobłażliwość dla wybryków starszej pani nie jest pogardą!

Wyniki wyborów pokazały, że poza PiS i Platformą (sprzymierzoną z Nowoczesną, SLD, PSL) właściwie nie ma miejsca na polskiej scenie politycznej. Czy może w takim razie zmierzamy w stronę amerykańskiego systemu dwupartyjnego? Czy PiS staje się powoli polską partią republikańską, a Platforma – polską partią demokratyczną?

Platforma przypomina radykalne skrzydło dzisiejszych demokratów, czyli takie okropne postacie jak Bernie Sanders i Obama – obaj komuchy. W tej chwili w Polsce nikt nie przypomina republikanów. PiS to socjaliści, więc też przypominają Partię Demokratyczną, jej centrum.

Socjaliści, ale prorodzinni i deklarują obronę tradycyjnych wartości. Czy te cechy nie upodabniają ich do amerykańskich republikanów?

Nie. Prezydent Trump powiedział w ostatnim orędziu do narodu, że „Ameryka NIGDY nie będzie państwem socjalistycznym". Nie da się pogodzić socjalizmu z tradycyjnymi wartościami. Albo – albo. Socjalizm jest grabieżą, odbieraniem wolności osobistych na rzecz zarządzania obywatelami przez państwo. Socjalizm to dzielenie, a wartości tradycyjne to mnożenie. Socjalizm to władza, która zarządza obywatelem, a tradycyjne wartości to władza, którą powołują i zarządzają obywatele. Ma pan poczucie, że PiS wykonuje pańskie polecenia?

PiS, wygrywając miażdżąco w wyborach do PE, obalił dwa mity. Po pierwsze, że w walce o Brukselę zazwyczaj osiąga słabe wyniki. Po drugie, że osiąga słabe wyniki przy wysokiej

eprasa.pl 0f336d80c7

frekwencji. Wiele wskazuje więc na to, że jesienią partia Kaczyńskiego nie tylko zdobędzie władzę, lecz także powiększy swój stan posiadania. Co to oznacza dla Polski? Jaka będzie Polska po dwóch kadencjach PiS?

Zadłużona finansowo, a ludzie odbierający kolejne „500+" będą niechętni do pracy.

Jednak może będzie bardziej niepodległa? PiS mimo wszystko jest w polityce zagranicznej bardziej asertywny niż Platforma.

Bardziej asertywny nie oznacza skuteczny. Tak jak mniej zimny nie oznacza gorący. Mnie obchodzą dokonania, a nie próby dokonań. A w dyplomacji PiS pozostawił stare ruskie kadry.

Zraził się pan do PiS. Z kolei Konfederacja – wiele na to wskazuje – nie odegra już żadnej roli na polskiej scenie politycznej. Jaką zatem widzi pan alternatywę? Kogo teraz będzie popierał Wojciech Cejrowski?

Ja nie popieram, lecz WYBIERAM, a pan to ciągle myli. Rozmawia pan ze mną jak z działaczem lub członkiem sekty, a ja jestem wyborcą, patriotą. Do partii politycznych podchodzę jak do wynajmu samochodów. Żaden na tym parkingu mi się nie podoba, ale któryś wybrać potrzebuję, więc wybieram. Nie obrażam się na samochody i nie obrażam się na PiS, że coś w nim nie działa. Z tej oferty, którą mamy, nadal PiS może być dla mnie najlepszy. Bo Konfederacja wprawdzie ma różne ustawienia, które lubię, ale nie ma benzyny. Samochodem w kolorach satanistycznej tęczy nie będę jeździł, ruską limuzyną Schetyny też nie, w Kukizie coś tam nie działa... Taki mam wybór na tym parkingu.

Uważam, że każdy Polak patriota dokonywałby lepszych wyborów, gdyby podchodził do tego tak jak ja. Wynajem samochodu, którym pojeździmy przez jakiś czas, a potem wymienimy go na inny lub przedłużymy wynajem.

PiS krytykuję ostro, ale jak brata, na którym mi zależy. Bez krytyki z prawej strony nie będą wiedzieli, co robią źle. Bo kto im powie? Schetyny ani Jandy, ani „Wyborczej" słuchać nie powinni, bo krytyka z tamtej strony to seanse nienawiści, a nie pretensje merytoryczne. Ja z kolei chcę, żeby się POPRAWILI, a nie żeby się rozwalili. Chciałbym bardzo, by moi rodacy z PiS, skoro już mają władzę, zmieniali Polskę na lepszą, i dlatego złości mnie, że tego nie robią. Ruską limuzyną KE gardzę i nie warto w nią inwestować. Auto PiS uważam za mocno popsute i bardzo słabe, ale jedyne na chodzie. I dlatego chciałbym wymusić na właścicielu poprawki. PiS mógłby przełożyć do siebie kilka części z Kukiza, gdyby chciał. Mógłby poprosić inżynierów od Konfederacji o poprawienie kilku własnych ustawień. Mnie zależy na lepszej jeździe, a PiS chce być najlepszym pojazdem poprzez wykluczenie z parkingu innych marek. Jeżeli PiS wykluczy Kukiza i Konfederację, to, owszem, zostanie najlepszym dostępnym autem, ale będzie to jednocześnie auto kiepskie i coraz gorsze.

PiS krytykuję ostro, ale jak brata, na którym mi zależy. Bez krytyki z prawej strony nie będą wiedzieli, co robią źle. Bo kto im powie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 0f336d80c7

Wojciech Wybranowski

Czas na konstytucyjne zmiany?

PiS od lat głośno mówi o konieczności wprowadzenia zmian w ustawie zasadniczej. Niewykluczone, że już po jesiennych wyborach ugrupowanie będzie miało większość konstytucyjną. Sprawdziliśmy, czy i w jakim zakresie partia Kaczyńskiego jest gotowa do istotnych zmian w konstytucji

Wysokie zwycięstwo Prawa i Sprawiedliwości nad Koalicją Europejską w niedawnych wyborach do Parlamentu Europejskiego oraz najnowsze sondaże przed jesiennymi krajowymi wyborami do Sejmu i Senatu, wskazujące na wysokie zwycięstwo partii Jarosława Kaczyńskiego, znów wywołały spekulacje, czy PiS podejmie próbę zmiany konstytucji i jeżeli tak, to jak wyglądałyby projekty zmian w ustawie zasadniczej. Opozycja i związani z nią eksperci już straszą, że to będzie „zamach".

„Słyszę, że PiS po wyborach jesienią zmieni konstytucję. Mam dla niektórych złą wiadomość: istnieje coś takiego jak niekonstytucyjna zmiana konstytucji. Jest nią np. zmiana poprzedzona niekonstytucyjnym przejęciem kontroli nad mediami i czterema latami kłamstw i propagandy" – burzył się w twitterowym wpisie bliski opozycji prof. Marcin Matczak z Wydziału Prawa i Administracji UW, związany także z Fundacją Batorego.

Czy Prawo i Sprawiedliwość po wyborach, w przypadku uzyskania większości konstytucyjnej, podejmie próbę zmiany często dziś krytykowanej „konstytucji Kwaśniewskiego"?

GÓRA MILCZY, DÓŁ SPEKULUJE

O konieczności zmian w konstytucji PiS mówi od lat, mocno akcentując to także po wygranych wyborach z 2015 r. Taką wolę deklarował też prezydent RP Andrzej Duda, ale jego projekt referendum konstytucyjnego nie zyskał akceptacji Senatu, a pytania referendalne, które przedstawiła Kancelaria Prezydenta, zostały skrytykowane przez wielu

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. JAN BIELECKI/FAST NEWS

ekspertów. W ostatnim czasie projekt zmian konstytucyjnych i ewentualna możliwość ich przeprowadzenia są w PiS, ze względu na nadchodzącą kampanię wyborczą, wyciszane, czołowi politycy PiS – przynajmniej oficjalnie – mówią o nich niechętnie, bagatelizując sprawę.

– Rozważania na ten temat są zdecydowanie przedwczesne. Informacje, jakoby PiS chciał po wyborach zmieniać konstytucję, to jedynie spekulacje. Obecnie pracujemy intensywnie nad kampanią wyborczą – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" marszałek Senatu Stanisław Karczewski (PiS).

Wśród polityków PiS mówi się, że dyskusja o zmianie konstytucji w trakcie kolejnej kampanii wyborczej może im zaszkodzić. Że opozycja i sprzyjające jej media znów zaczną straszyć zamachem na państwo, więc lepiej takiej dyskusji uniknąć. – Nie będziemy przekazywać przed najważniejszymi dla nas wyborami komunikatów, że będziemy zmieniać konstytucję, niech pan nie oczekuje, że będziemy się teraz na ten temat wypowiadać. Bo za chwilę opozycja zacznie straszyć Polaków, że będziemy zmieniać ustrój na jakiś nie wiem... totalitarny. Brzmi to absurdalnie, ale przecież nasi przeciwnicy cały czas tym straszą – mówi nam jeden z polityków PiS, współpracownik Kaczyńskiego ze ścisłego kierownictwa partii.

Jednak w strukturach PiS i posłów tej partii z nieco dalszych rzędów słychać głosy, że wyborcy zmian konstytucyjnych oczekują. Wreszcie, że jeżeli Prawo i Sprawiedliwość zdobędzie większość wystarczającą do zmiany konstytucji, trzeba będzie się z tym problemem zmierzyć. – Wtedy, moim zdaniem, będzie można myśleć o powołaniu specjalnego zespołu, który dostosuje Konstytucję RP do realiów życia w Polsce i wyzwań na arenie międzynarodowej – mówi nam poseł Iwona Arent (PiS), członek sejmowej Komisji Ustawodawczej. Nie chce określać jednak, w którym kierunku powinny iść zmiany.

SĄDY I USTRÓJ

Jeden z naszych informatorów z kręgów kierownictwa Prawa i Sprawiedliwości mówi nam, że jeżeli partia zdecyduje się na podjęcie działań w kierunku zmiany konstytucji, to wyznacznikiem do prac nad finalnym projektem prawdopodobnie będą przygotowany w latach 1993–1994 przez ekspertów związanych z NSZZ „Solidarność" projekt ustawy zasadniczej, projekt Konstytucji RP ogłoszony przez Prawo i Sprawiedliwość w 2010 r. oraz wyniki „ankiety konstytucyjnej" ogłoszonej przez PiS wczesną wiosną 2018 r. Partia zapytała wówczas 14 ekspertów o to, w którym kierunku powinny iść zmiany w ustawie zasadniczej. Ankieta zawierała pytania m.in. o zasady ustrojowe, system rządów, strukturę parlamentu, utrzymanie podziału sądownictwa na powszechne, wojskowe i administracyjne, a także o sposób powoływania sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

– Część tych zmian, które można było wprowadzić, nie zmieniając konstytucji, już została przez nas przeprowadzona. Jak będzie wyglądał ostateczny projekt nowej konstytucji, o ile taki powstanie, wie prezes i jakiś jego doradca, i nie sądzę, by był ktokolwiek z naszego grona, kto mógłby taki projekt dziś znać. Mogę tylko gdybać, w którym kierunku mogą iść zmiany na podstawie opinii ekspertów współpracujących z nami – mówi nam jeden z członków Komitetu Politycznego PiS.

I wspomina o konieczności m.in. likwidacji wojskowego sądownictwa. Miałyby pojawić się zapisy dotyczące zwiększenia niezależności prokuratury, usunięte zostałyby z kolei wszystkie te fragmenty obecnej konstytucji, które były wynikiem kompromisu ze środowiskami postkomunistycznymi, za to nastąpiłaby „próba konstytucyjnego umocowania zmian dotyczących sądownictwa, które PiS przeprowadził w ostatnich latach, tak by uniemożliwić próby ewentualnego odkręcenia reformy wymiaru sprawiedliwości". Chodzi np. o zapis w konstytucji nowego wieku emerytalnego sędziów Sądu Najwyższego oraz zasad ich wyboru, a także zmieniony niedawno przez PiS sposób powoływania Krajowej Rady Sądownictwa.

– Wymaga przemyślenia kwestia ustroju państwa i podziału kompetencji w zakresie trzech władz, w tym poszerzenia lub ograniczenia władzy prezydenta. Zdecydowania, czy wprowadzić ustrój gabinetowo-parlamentarny czy prezydencki. Trzeba wyciągnąć wnioski z obecnego układu władzy – zauważa z kolei w rozmowie z „Do Rzeczy" poseł Arkadiusz Mularczyk (PiS), członek sejmowej Komisji Ustawodawczej.

W kwietniu 2018 r. PiS przedstawił wyniki ankiety konstytucyjnej przeprowadzonej wśród kilkunastu ekspertów. W liczącym ok. 260 stron dokumencie zaznaczono m.in., że celem ewentualnych zmian w konstytucji powinno być wzmocnienie ośrodka władzy wykonawczej. Większość ekspertów ankietowanych przez PiS wskazała wówczas, że lepszym rozwiązaniem byłby wzorzec kanclerski – silny prezes Rady Ministrów i jednocześnie znacząca marginalizacja wpływów prezydenta, któremu pozostawałyby w gestii nadzór nad armią i wpływ na politykę zagraniczną. Tylko jeden z ekspertów wskazał wówczas jako korzystny dla Polski system prezydencki.

– Ankiety ankietami, ale we wszystkich naszych wewnętrznych dyskusjach z udziałem analityków w mojej ocenie dominowała tendencja, by pójść w kierunku systemu półprezydenckiego. Na pewno należy zmienić obecny system, który jest niefunkcjonalny i konfliktowy. Bo mamy system parlamentarno-gabinetowy, a największą legitymację demokratyczną ma wybiera-

eprasa.pl 0f336d80c7

ny w wyborach powszechnych prezydent – mówi nam jeden ze znanych posłów PiS, prawnik, zaangażowany we wcześniejsze prace nad projektami konstytucyjnymi.

Zgodnie jednak z projektem konstytucji NSZZ „Solidarność" z 1994 r. lepszym rozwiązaniem byłby system parlamentarno-gabinetowy z niewielkimi wpływami prezydenta. Z kolei projekt konstytucji PiS z 2010 r. daje olbrzymie uprawnienia właśnie prezydentowi RP, który mógłby w zasadzie bez większych problemów zarządzić skrócenie kadencji Sejmu. Prezydent miałby także – w przypadku ustaw, które uznałby za szczególnie ważne dla wolności i praw obywateli lub budżetu państwa – przeprowadzać referenda ogólnokrajowe. Wreszcie miałby uznaniowo prawo do odmówienia powołania kandydata na fotel premiera, gdyby uznał, że istnieje ryzyko naruszania przez niego obowiązującego prawa lub bezpieczeństwa państwa. Według projektu PiS z 2010 r. prezydent miałby też prawo „usuwania osób skompromitowanych z wymiaru sprawiedliwości".

RODZINA, ŻYCIE, SOCJAL

Gdyby przyjąć, że to projekt ustawy konstytucji przedstawiony przez PiS w 2010 r. byłby podstawą do stworzenia nowej ustawy zasadniczej, to bez wątpienia znalazłyby się w niej zapisy chroniące rodzinę jako związek wyłącznie kobiety i mężczyzny, zapobiegające ewentualnej homoadopcji czy legalizacji związków partnerskich osób tej samej płci. Utrudniałaby także prowadzenie homopropagandy.

We wspomnianym projekcie znalazł się bowiem zapis mówiący: „Do najważniejszych zadań polityki wewnętrznej, realizowanej przez ustawodawstwo i wszechstronny wysiłek władz publicznych, należą […] otaczanie ochroną i opieką małżeństwa, będącego wyłącznie związkiem kobiety i mężczyzny, oraz macierzyństwa i rodzicielstwa, troska o pomyślność rodzin oraz ochrona dzieci i młodzieży przed odrzuceniem i demoralizacją". W innym z punktów projektu sprzed dziewięciu lat czytamy m.in.: „Władze publiczne nie regulują spraw par niemałżeńskich ani nie prowadzą ich ewidencji".

Część posłów PiS liczy też na to, że w nowym projekcie konstytucji znalazłby się zapis mówiący o ochronie życia od momentu narodzin do naturalnej śmierci, który utrudniałby ewentualne plany liberalizacji – w przyszłości – ustawy aborcyjnej czy legalizacji eutanazji.

Wiceszef klubu PiS Jacek Żalek mówi nam, że ewentualne zmiany w konstytucji nie mogą mieć wyniku doraźnego, realizować interesów jakiejkolwiek grupy społecznej czy środowiska, bo taka sytuacja sprawiłaby, że nowa ustawa zasadnicza nie byłaby akceptowana przez część społeczeństwa. I jedyną, jego zdaniem, drogą do przeprowadzenia zmian byłoby uzyskanie szerszej akceptacji społecznej w trakcie dyskusji publicznej. – Niewykluczone, że takim mandatem byłaby kwestia ochrony rodziny, praw dzieci nienarodzonych. Gdyby były to poprawki do konstytucji chroniące fundamentalne prawa, to w mojej ocenie mogłyby one zyskać poparcie społeczne – mówi nam poseł Jacek Żalek.

W projekcie PiS z 2010 r. mowa jest też o szczególnej ochronie weteranów walk o niepodległość Polski i ochronie miejsc pamięci. Nasi rozmówcy mówią, że takie kwestie również mogłyby się znaleźć w ewentualnym nowym projekcie konstytucji PiS, ale podkreślają, że w ich ocenie w sposób szczególny odwoływałyby się one do dziedzictwa Solidarności. Podobnie jak preambuła, która w nowej wersji jednoznacznie odwoływałaby się do wartości chrześcijańskich. W projekcie PiS z 2010 r. znalazł się jeszcze zapis uniemożliwiający w praktyce usunięcie nauczania religii ze szkół: „Władze publiczne umożliwiają nauczanie w szkołach publicznych religii Kościoła katolickiego oraz innych prawnie uznanych Kościołów i związków wyznaniowych pod ich nadzorem". Mowa była też o szczególnej pomocy państwa polskiego m.in. kobietom ciężarnym, sierotom, dzieciom wychowywanym w rodzinach zastępczych i takim rodzinom oraz osobom niepełnosprawnym.

– Zdobycie konstytucyjnej większości jest ambitnym celem politycznym, ale możliwym do zrealizowania, gdyby udało się stworzyć szersze porozumienie między różnymi środowiskami niepodległościowymi. Jeżeli taka większość by istniała, to zmiana nie ograniczałaby się do korekty wybranych postanowień konstytucji, ale naszym celem byłoby stworzenie nowej ustawy zasadniczej, wyraźnie odrzucającej tradycje postkomunistyczne – przekonuje nas poseł Bartłomiej Wróblewski (PiS), prawnik i członek sejmowej Komisji Ustawodawczej.

EUROPEJSKOŚĆ CZY SUWERENNOŚĆ

Kilkanaście dni przed wyborami do europarlamentu czołowi politycy związani z obozem PiS zaczęli deklarować wolę wpisania do konstytucji zapisu mówiącego o nierozerwalnym związku Polski z Unią Europejską. 3 maja taki pomysł zgłosił prezydent Andrzej Duda, mówiąc, że chciałby, by do konstytucji wpisano członkostwo Polski w Unii Europejskiej.

– Potrzebny jest silniejszy Parlament Europejski i silniejsza Rada Europejska – podkreślał prezydent. Z podobnym postulatem Duda wystąpił też w 2016 r., przedstawiając swoje pytania do referendum konstytucyjnego. Krótko po prezydencie pomysł podchwycił wicepremier Jarosław Gowin. „Rzeczpospolita Polska jest członkiem Unii Europejskiej, która szanuje suwerenność i tożsamość narodową państw członkowskich. Członkostwo Rzeczypospolitej Polskiej w Unii Europejskiej służy celom konstytucji i nie narusza zasad, o których mowa w jej preambule i rozdziale I, konstytucyjnych wolności, praw i obowiązków człowieka i obywatela oraz konstytucyjnych zasad finansów publicznych" – napisał w przedstawionym przez siebie projekcie.

– Deklaracja wywołała sporo kontrowersji, niektórzy sympatycy partii Kaczyńskiego wytykali wręcz, że to pomysł rodem z PRL, gdy do konstytucji państwa wpisano sojusz ze Związkiem Radzieckim. Jak wynika z naszych ustaleń, niezwykle krytycznie do takich pomysłów odnieśli się również najbliżsi współpracownicy Jarosława Kaczyńskiego. – Absurdalnie głupi pomysł, okazał się on wodą na młyn dla sympatyków Konfederacji. Nie ma i nie będzie takiego rozwiązania – powiedział nam jeden z wpływowych członków Komitetu Politycznego.

Z kolei w ubiegłorocznych „ankietach konstytucyjnych PiS" znalazły się pomysły uregulowania członkostwa Polski w UE poprzez wyraźne zaznaczenie nadrzędności polskiej konstytucji nad regulacjami unijnymi i ustalenia, na jakich zasadach polskie władze są zobligowane do implementacji prawa unijnego.

Na ten problem już dwa lata temu także zwracał uwagę prezydent Andrzej Duda, który przy okazji dyskusji nad swoim projektem referendum konstytucyjnego wytknął, iż Trybunał Konstytucyjny do tej pory nie stwierdził, choć powinien, nadrzędności Konstytucji RP nad prawem unijnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

Po której jesteś stronie?

Musimy dziś mieć świadomość, że żyjemy w czasach wielkiego kryzysu Kościoła. Co możemy zrobić, by go powstrzymać? – pyta w nowej książce ks. Piotr Glas, uznany rekolekcjonista i były egzorcysta.

Generał Towarzystwa Jezusowego oznajmia, że nie wiadomo, czy Jezus bronił nierozerwalności małżeństwa, bo przecież w dawnych czasach nie było dyktafonów i nikt Jezusa nie nagrywał. Całe diecezje i lokalne Kościoły odrzucają biblijne nauczanie o ocenie moralnej homoseksualizmu. W innych miejscach proponuje się Komunię Świętą protestantom, a także odrzuca adorację Najświętszego Sakramentu i cześć oddawaną Matce Bożej.

Jeśli do tego dodać wielkie skandale seksualne w Kościele, zbrodnie pedofilii czy molestowania seksualnego nie tylko dzieci i młodzieży, trudno nie zapytać: dlaczego Kościół w XX i XXI wieku przechodzi tak potężną próbę?

Stulecie Szatana

Odpowiedź znajdujemy w wizji mistycznej, jakiej 13 października 1884 roku doświadczył papież Leon XIII. Ojciec święty po Mszy Świętej wpadł w ekstazę. Usłyszał wtedy rozmowę Jezusa z Szatanem. Ten ostatni krzyczał: „Mogę zniszczyć Twój Kościół!". Jezus odpowiedział łagodnie: „Potrafisz? Więc próbuj". „Ale do tego potrzeba mi więcej czasu i władzy!" – oznajmił Szatan. Jezus zadał wówczas pytanie: „Ile czasu i władzy potrzebujesz?". „Od siedemdziesięciu pięciu do stu lat i większej władzy nad tymi, którzy mi służą" – odrzekł demon. „Będziesz miał ten czas i władzę. Które stulecie wybierasz?" – zapytał Jezus. A diabeł odpowiedział: „To nadchodzące [XX w.]". To skłoniło Leona XIII do ułożenia modlitwy do św. Michała Archanioła.

Musimy dziś mieć świadomość, że żyjemy w czasach wielkiego kryzysu Kościoła. W takiej sytuacji trzeba szukać Arki, która pozwoli nam przetrwać ten gigantyczny potop. Uda się to tylko wtedy, gdy przylgniemy do Niepokalanego Serca Maryi. Ten wybór, biorąc pod uwagę obecną sytuację, nie jest już opcją, nie jest jedną z wielu możliwości. To jest nasz ratunek.

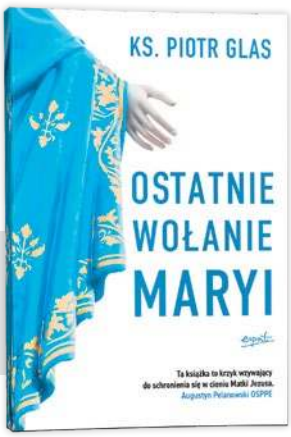

Więcej przeczytasz w nowej książce ks. Glasa *Ostatnie wołanie Maryi*

[280 STRON]

Nie wolno się przestraszyć

W licznych objawieniach na przestrzeni ostatnich dekad Matka Boża przestrzega: „Nie pozwólcie, by ogarnął was lęk. Nadszedł czas waszego złożenia siebie w ofierze. Będziecie prześladowani. Więcej jeszcze, ci, którzy się wam przeciwstawią, przeklną was, wzgardzą wami, odsuną was na margines. Wasi prześladowcy będą sądzić, że to, co czynią, miłe jest Ojcu Niebieskiemu, a nawet Mnie, waszej Niepokalanej Mamie".

Ta wizja nie powinna nas jednak przerażać. Nie wyznacza ona bowiem końca historii. Po okresie apostazji, prześladowań, odchodzenia od Kościoła nadejdzie czas zwycięstwa Niepokalanej.

Poznaj też inne książki ks. Piotra Glasa:

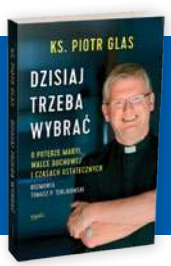

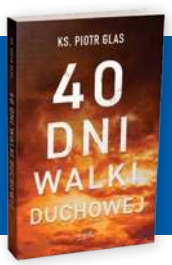

Zamów książki na www.esprit.com.pl lub telefonicznie: 12 267 05 69. Przy zamówieniach powyżej 70 zł darmowa dostawa.

eprasa.pl 0f336d80c7

Kamila Baranowska

Aksamitna

Zmiany w rządzie są obliczone na stabilizację sytuacji przed kluczowymi wyborami i na wykreowanie nowych polityków, którzy mogliby wzmocnić listy wyborcze PiS jesienią

Ci, którzy przy okazji zmian w rządzie spodziewali się politycznej bomby albo wielkiego wow, mogli się poczuć nieco rozczarowani. Sam Mateusz Morawiecki rekonstrukcję określił jako „aksamitną", zapewniając, że nowi ministrowie „nie będą marnować ani chwili, tylko z zapałem przystąpią po tej aksamitnej rekonstrukcji do ciężkiej pracy, która w dużym stopniu będzie oznaczała kontynuację tego wielkiego dzieła ich poprzedników i zbudowanie czegoś nowego".

Zmiany w rządzie to przede wszystkim efekt wyborów do Parlamentu Europejskiego, w których liderami list zostało wielu członków rządu – ministrów i wiceministrów. Co do większości – wiadomo było, że mandaty zdobędą, więc od razu trzeba było szukać im następców. Podobno ich nazwiska Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki ustalili już w kwietniu. – Stabilizacja i docenienie różnych regionów Polski: takie były główne przesłanki tej rekonstrukcji – mówi nam osoba z otoczenia rządu.

Cel był jeden – nie wywoływać rewolucji na ostatniej prostej przed wyborami do parlamentu. Politycy PiS i ludzie z otoczenia Morawieckiego zgodnie przyznają, że rozhuśtane emocje społeczne służą bardziej opozycji niż PiS, więc w interesie obecnie rządzących jest łagodzenie nastrojów. Nowe twarze poza tym, że mają nie budzić niezdrowych emocji, zostały dobrane w taki sposób, by za kilka miesięcy wzmocnić listy wyborcze PiS w poszczególnych regionach. Wiadomo, że praca w rządzie daje popularność oraz rozpoznawalność i na to liczy kierownictwo partii, które ma świadomość, iż do Brukseli wysłało wielu polityków najbardziej lubianych przez swój elektorat.

Rekonstrukcja rządu de facto rozpoczyna kampanię wyborczą obozu PiS. – Trzeba zakasać rękawy, ruszać w Polskę. To dla mnie największe zobowiązanie. Oczywiście chcę dalej przekonywać Polaków. Będziemy mieli propozycje programowe, konwencję programową. Jesteśmy poważną partią, która chce zaproponować Polakom program na kolejne cztery lata, co zrobimy we wszystkich dziedzinach – mówił w dniu rekonstrukcji rządu w Polsat News premier Morawiecki. W Polskę ma ruszyć zarówno on sam, jak i prezes Kaczyński. Do pomocy w kampanii zostali zobowiązani także byli ministrowie, a obecni europosłowie, zwłaszcza ci najbardziej popularni wśród wyborców PiS, tacy jak Beata Szydło, Elżbieta Rafalska czy Joachim Brudziński.

Przypominanie o sukcesach rządu i spełnionych obietnicach oraz prezentacja nowego obszernego programu podczas trwającej kilka dni konwencji programowej – tak wstępnie rysuje się kampania PiS. Podczas konwencji mają się pojawić nowe atrakcyjne obietnice społeczne, ale już nie tak kosztowne jak „piątka Kaczyńskiego". W kampanii PiS liczy także na nowych ministrów. Przynajmniej z częścią z nich kierownictwo partii wiąże bowiem długofalowe nadzieje.

– Nieprzypadkowo wzięto polityków już dziś dość rozpoznawalnych i popularnych w swoich regionach. Teraz będzie czas, aby pomóc ich jeszcze bardziej wypromować, aby w wyborach byli już w miarę silnymi markami – mówi nam osoba z otoczenia rządu.

SASIN I NOWA RAFALSKA

W rekonstrukcji rządu najważniejsza zmiana to wzmocnienie pozycji Jacka Sasina, dotąd szefa Komitetu Stałego Rady Ministrów, a dziś wicepremiera. Otoczenie premiera podkreśla wagę jego dotychczasowej pracy w Komitecie Stałym, trudno jednak nie pozbyć się wrażenia, że Jarosław Kaczyński zadbał, by u boku Mateusza Morawieckiego był ktoś, kto będzie patrzył mu na ręce. Kimś takim była Beata Szydło, kimś takim będzie teraz Sasin.

Dla równowagi doceniony został także zaufany współpracownik premiera, szef jego kancelarii Michał Dworczyk, który otrzymał nominację na ministra. Dworczyk w krótkim czasie z szerzej nieznanego wiceministra obrony i eksperta do spraw wschodnich staje się jedną z twarzy obozu rządzącego, teraz zapewne będzie jeszcze bardziej eksponowany.

Nowym rzecznikiem rządu, który zastąpi na tym stanowisku Joannę Kopcińską, został młody polityk (rocznik 1989) Piotr Mueller, dotychczasowy wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego, odpowiedzialny m.in. za reformę szkolnictwa wyższego (Konstytucja dla Nauki). Mueller obejmuje trudne stanowisko w jeszcze trudniejszym czasie, czyli w okresie kampanii wyborczej,

eprasa.pl 0f336d80c7

4 czerwca prezydent Andrzej Duda wręczył nominacje nowym członkom rządu FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

rekonstrukcja

toteż bardziej doświadczeni politycy mówią krótko: albo politycznie zatonie, jeśli się nie sprawdzi, albo szybko awansuje, jeśli da sobie radę. Obstawiają raczej to drugie.

Największą trudność kierownictwo PiS i premier Morawiecki mieli ze znalezieniem następcy Elżbiety Rafalskiej, której odejście z rządu zaskoczyło wszystkich, nie wyłączając jej samej. Rafalska jako kandydatka do europarlamentu miała jedynie wzmocnić listę w okręgu obejmującym województwa zachodniopomorskie i lubuskie, tymczasem okazało się, że przy tak wysokim zwycięstwie PiS uzyskał w tym okręgu dodatkowy mandat, który przypadł właśnie Rafalskiej. Rozpoczęło się więc szybkie poszukiwanie kogoś, kto mógłby nie tylko administrować Ministerstwem Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej do wyborów, lecz także kogoś, kto mógłby się stać nową społeczną twarzą partii po tym, jak rząd opuszczą Rafalska i Szydło.

Wybór padł na Barbarę Borys-Szopę, posłankę ze Śląska, przewodniczącą sejmowej komisji polityki społecznej, a wcześniej także sekretarz stanu u prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Od lat zajmuje się tematyką społeczną i prawem pracy. Nawet politycy opozycji wypowiadają się o niej dość pozytywnie. – Starała się prowadzić posiedzenia tak, by przypominały prawdziwe debaty. Za to ją szanuję – powiedziała „Gazecie Wyborczej" posłanka PO Magdalena Kochan, dodając jednak, że to „wierny żołnierz PiS".

Na najbardziej ryzykowną nominację wygląda objęcie przez Elżbietę Witek zwolnionego przez Joachima Brudzińskiego stanowiska ministra spraw wewnętrznych i administracji. Wewnątrz partii ta informacja nie wzbudziła entuzjazmu. Wszyscy zdają sobie sprawę, że nie da się uniknąć porównań nowej minister, z zawodu nauczycielki, do byłej minister z czasów Platformy Teresy Piotrowskiej, której wytykano to, że jest katechetką. Wypowiedzi, takie jak ta z dnia nominacji, na pewno nie będą jej pomagać. – To resort dla mnie nowy, też niespodzianka, dlatego przede wszystkim będę się na początku bardzo intensywnie tego resortu uczyć. Jest mało czasu, ale ja się szybko uczę – stwierdziła tuż po nominacji.

Witek była rzecznikiem rządu Beaty Szydło, później szefową jej gabinetu. Z rządu odeszła, gdy premierem został Mateusz Morawiecki. Jej nominacja została odczytana jako ukłon w stronę byłej premier. A także Dolnego Śląska, skąd wywodzi się nowa szefowa MSWiA. Dotąd Dolny Śląsk w rządzie reprezentowały Anna Zalewska i Beata Kempa.

POSPRZĄTAĆ W EDUKACJI

Nominacja nowego ministra edukacji to z kolei ukłon w stronę Podlasia. Następca Anny Zalewskiej – Dariusz Piontkowski – to były radny i marszałek województwa, a od paru miesięcy także szef podlaskich struktur PiS (przejął tę funkcję po Krzysztofie Jurgielu). Obejmuje resort w trudnym momencie, bo będzie musiał mierzyć się zarówno z dalszymi rozmowami z nauczycielami o podwyżkach, jak i z konsekwencjami reformy edukacji. Rząd liczy na jego koncyliacyjny charakter, spokój i opanowanie, czyli to wszystko, czego brakowało jego poprzedniczce.

Z kolei Michał Woś, były wiceminister sprawiedliwości, a od roku wicemarszałek województwa śląskiego, wchodzi do rządu na miejsce Beaty Kempy, która odpowiadała za kwestie dotyczące pomocy humanitarnej. Woś (rocznik 1991) to zaufany współpracownik Ziobry, a jego obecność w rządzie to realizacja umowy koalicyjnej. Zarówno Porozumienie Jarosława Gowina, jak i Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry mają przewidziane dwa stanowiska ministerialne.

SERCE DO POLITYKI

Przy okazji rekonstrukcji wymuszonej wyborami do europarlamentu dokonano jeszcze jednej istotnej zmiany, o której spekulowano od dawna. Minister finansów Teresę Czerwińską zastąpił dotychczasowy wiceminister i szef Krajowej Administracji Skarbowej Marian Banaś. To wybór samego Morawieckiego, który do Banasia ma duże zaufanie i bardzo go ceni. Największe wyzwania nowego ministra to ułożenie budżetu na 2020 r. oraz umiejętne prowadzenie rozmów politycznych. Tej ostatniej zdolności miało zabraknąć Czerwińskiej, o której dymisji spekulowano od dawna. Media pisały, że po raz pierwszy Czerwińska chciała już odejść tuż po ogłoszeniu tzw. piątki Kaczyńskiego, czyli kolejnych, kosztownych programów społecznych rządu.

Współpracownicy Morawieckiego zaprzeczają jednak tym informacjom, choć można usłyszeć, że rzeczywiście Czerwińska straciła serce do tej pracy, a polityka ją zmęczyła. Z resortu przeszła do zarządu Narodowego Banku Polskiego.

Świeżo powołani ministrowie polityką zmęczyć się raczej nie zdążą. Do wyborów zostały zaledwie cztery miesiące, a to, jak będzie wyglądał skład rządu po nich i kto będzie go tworzył, pozostaje sprawą otwartą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

Piotr Semka

FOT. DANIEL FRYMARK/FORUM

Biały koń ma wakacje

Trzydziesta rocznica w połowie wolnych wyborów miała być punktem zwrotnym w walce opozycji z PiS. W praktyce pokazała opozycję skłóconą, rozbitą i żyjącą we własnej bańce ideologicznej

Do paru tysięcy ludzi, zgromadzonych 4 czerwca na gdańskim Długim Targu, brutalna prawda dotarła już po kwadransie przemowy Donalda Tuska. „Król Europy" nie zamierza skracać swej kadencji w Brukseli i nie stanie na czele walki jesienią. Wcześniejsze marzenia o Ruchu 4 Czerwca czy Liście Tuska do Senatu na razie nie przybrały konkretnej formy. Zamiast oczekiwanych deklaracji – szef Rady Europejskiej szorstkim głosem i bez uśmiechu obsztorcował tłum za poklęskową apatię, udzielił paru niespecjalnie odkrywczych rad i na koniec przypomniał, „że jest do dyspozycji".

MISTRZ POPLĄTAŁ PARTYTURY

„Za czasów Ostachowicza to by nie było możliwe" – tak jeden ze speców od PR skomentował wiec Tuska pod gdańską Zieloną Bramą. Każdy gdańszczanin wie, że późnym popołudniem na Długim Targu zachodzące słońce świeci dokładnie w twarz i osoba skierowana na scenie twarzą ku zachodowi musi marszczyć brwi i mrużyć oczy. W przypadku szefa Rady Europejskiej, który i tak ma z wiekiem coraz ostrzejsze rysy – to mrużenie sprawiało wrażenie irytacji i gniewu. A przecież mowa Tuska miała wzywać do uśmiechu i wspólnoty.

Co się stało z politykiem, który niegdyś był znany z tego, że rzadko popełnia błędy?

Donald Tusk stał się ofiarą swej „polityki aluzji". Taktyki wypuszczania nieformalnych komunikatów do mediów poprzez swoich współpracowników w rodzaju Pawła Grasia. Od połowy maja wysłano z otoczenia Tuska tyle sugestii, co się zdarzy 4 czerwca w Gdańsku, że w końcu urósł balon oczekiwań. Jak się zdaje, Ruch 4 Czerwca miał powstać w Gdańsku i być polityczną emanacją samorządów, ale w świetle porażki 26 maja ambitne plany wzięły w łeb.

Tusk, jak się okazuje, nie miał żadnego planu B i odreagował własną konsternację – pełną irytacji przemową pod hasłem „Weźcie się w garść!". Ta obrona przez atak była o tyle osobliwa, że to Tusk – stawiając na Leszka Jażdżewskiego i dając mu 3 maja okazję do jego antykatolickiej filipiki – pośrednio wpłynął na mobilizację wsi i w efekcie wygraną PiS. To był jednak wiec fanów gościa z Brukseli, więc o żadnych pretensjach nie mogło być mowy. Tusk udzielił cennych rad i wrócił samolocikiem do Brukseli. Opozycja została ze swymi problemami sama.

Niewiele lepiej poszło związanym z PO samorządowcom, którzy 4 czerwca mieli mieć swoje efektowne entrée na polityczną scenę. Zorganizowane z hojnym rozmachem przez prezydent Gdańska Aleksandrę Dulkiewicz obchody potwierdziły wiele zarzutów o oderwanie się od rzeczywistości. Próbowano pogodzić sprzeczne cele. Zaproszono m.in. lewicę społeczną, ale gdy ci ośmielili się krytykować Balcerowicza, na widowni wybuchały oburzone protesty antykaczystów ze starszego pokolenia. Z jednej strony podkreślano zwycięstwo nad komunistami trzy dekady temu, z drugiej nie obyło się bez zaproszenia Aleksandra Kwaśniewskiego.

Politycy uczestniczący w rozmowach Okrągłego Stołu oburzali się na przypominanie ówczesnej fraternizacji z komunistami, ale Władysław Frasyniuk uwiarygadniał tamte zarzuty, obściskując się z Kwaśniewskim pod hasłem „We free people!". Słynne 21 postulatów samorządowców wyglądało na jakiś draft niespełnionego Ruchu 4 Czerwca i wywołało kpiny ruchów miejskich. A do wygłoszenia deklaracji wybrano Krystynę Jandę, która niedawno zjadliwie kpiła z elektoratu „500+".

Sami prezydenci metropolii przybyli na wiec u boku Tuska bez sprecyzowanej wizji swego udziału w jesiennej kampanii wyborczej. Tylko prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski jasno ogłosił: „Włączy-

eprasa.pl 0f336d80c7

my się w najbliższe wybory i staniemy po jedynej słusznej stronie!".

W wystąpieniach innych prezydentów: Hanny Zdanowskiej z Łodzi, Jacka Sutryka z Wrocławia i Jacka Jaśkowiaka z Poznania nie było już tak jasnych deklaracji. „Chcemy wszystkich mieszkańców łączyć", „Polska to wspólna sprawa, szczególnie w czasie wyborów", „musimy zawalczyć, by następne wybory nie były stypą" – takie zdania nie brzmiały jak deklaracje osobistego startu w wyborach. Podobnie niejasne były słowa prezydenta Sopotu Jacka Karnowskiego w TVN: „Część z nas stanie przed dramatyczną decyzją, czy nie pójść na tę listę wyborczą".

Efektowne, ale nic nieznaczące. Trudno przypuszczać, by włodarze wielotysięcznych miast chcieli opuścić swe prezydenckie fotele, gdzie mają zagwarantowane jeszcze cztery lata rządów nad sporym majątkiem i piramidą wpływów.

Gdy prezydenci zawiedli, zaczęto z zakłopotaniem wyrażać nadzieje, że na listy Zjednoczonej Opozycji trafią „znani samorządowcy". Ale kto w masach wyborców zna ich nazwiska? Owszem, listy pociągnęłyby nazwiska Zdanowskiej czy Sutryka, ale już nie szefów rad miejskich. Jeden Rafał Dutkiewicz, były włodarz Wrocławia, jest w tej grupie „samorządowców" jakąś rozpoznawalną twarzą. Sławomir Sierakowski już lansuje Aleksandrę Dulkiewicz na polską Zuzanę Čaputovą – chodzi o liberalną polityk ze Słowacji, która wygrała w tym roku prezydenturę. Ale o tym, jak wymagające może być przejście z roli prezydent miasta-celebrytki do statusu aktywnego polityka, pani prezydent Dulkiewicz przekonała się niedawno na własnej skórze. Tuż po evencie 4 czerwca zaprosiła lokalnych dziennikarzy na fundowane śniadanie, aby móc pochwalić się domniemanym sukcesem. Gdy dziennikarze TVP, ale i TVN zapytali, czy wystartuje do Sejmu – zmieszana pani prezydent uciekła z sali, oskarżając „pseudopubliczne media" o agresję. Jak długo przy tak cienkiej skórze pani prezydent Gdańska wytrzymałaby brutalne realia polskiej kampanii wyborczej?

SCHETYNA UMIE CZEKAĆ

Jeśli wierzyć tygodnikowi „Wprost", Donald Tusk – planując swój polityczny show w Gdańsku – nakazał prezydent Dulkiewicz, by na wiecu nie dawano głosu Grzegorzowi Schetynie. W rezultacie lidera PO nie było przed Zieloną Bramą. Każdy, kto zna wrocławskiego polityka, wie, że takie upokorzenia ze strony Tuska dobrze sobie zapamiętuje. A pomysły z listą pod patronatem samorządowców będzie traktował jako zagrożenia dla swojej pozycji szefa nowej koalicji wyborczej.

Ale i sam Schetyna nie jest w łatwej sytuacji. Owszem, Nowoczesna zostanie lada chwila połknięta przez Platformę, ale to niewielkie wzmocnienie. PSL już ogłosiło wyjście z koalicji. Wiosna wyraźnie chce nadal prowadzić kampanię osobno.

Nie mając specjalnego wyboru, lider PO trzyma się koncepcji jednej listy. „Dla mnie wynik KE to sygnał, że opozycję trzeba jeszcze intensywniej zintegrować" – opowiada w wywiadzie dla „Polityki".

Pośrednio wykpił pomysł wciągania prezydentów wielkich miast na listy, wskazując, że tylko w poprzednich wyborach „bezpośrednie głosowanie na prezydentów aktywizowało, ponieważ mieszkańcy bronili swoich przed PiS". Teraz są zupełnie inne wybory – daje do zrozumienia Schetyna.

Powraca hasło połączenia się lewicy w jeden blok. Gorąco zachęca do tego bloger Galopujący Major, zachwalający wspólną listę SLD, Wiosny i Lewicy razem. Tyle że gdy dochodzi do praktyki, animozje liderów biorą górę. Przykład? Oto Włodzimierz Czarzasty z Sojuszu, pytany o rozmowy z Robertem Biedroniem, kąśliwie odpowiada: „Niełatwo rozmawia się z Bogiem".

Istotnie, coraz więcej publicystów sympatyzujących z lewicą zaczyna przyznawać, że Biedroń stworzył nie partię, lecz rodzaj sekty. A guru sekty nie może dać się zdegradować do roli współlidera w szerokiej koalicji, bo straci cały czar.

Idei lewicowej koalicji nie pomoże też to, że SLD w koalicji Schetyny jest po prostu dobrze. Dzięki KE do Brukseli wyjechało pięciu tuzów ze starej-nowej epoki – a teraz, w ten sam sposób, do Sejmu chcą dostać się Czarzasty i jego koledzy. A wiecznie nadąsany Adrian Zandberg nikomu nie jest już potrzebny do szczęścia.

Schetyna liczy więc, że Kosiniak-Kamysz napuszy się nieco przy próbach tworzenia własnej koalicji, a potem, koniec końców, wróci do wspólnej kooperatywy. Tym bardziej że partnerzy sondażowych rozmów PSL nie są zbyt imponujący – bezpartyjni samorządowcy czy Unia Europejskich Demokratów – ratunkowa szalupa Misia Kamińskiego i Jacka Protasiewicza. Tacy partnerzy ludowców specjalnie nie wzmocnią. A na start w pojedynkę trzeba mieć cojones. Czy ma je lider ludowców, który dziś pozuje na katolika, a miesiąc temu klaskał Jażdżewskiemu u boku Tuska?

FATALIZM W LETNIM SŁOŃCU

Schetyna czeka więc na powrót PSL do stołu. Głowi się, jak załagodzić konflikt między zwolennikami wychyłu na lewo w kwestiach obyczajowych z tymi, którzy chcą kursu na centrum. Ale nawet mistrz politycznych gierek z Wrocławia nie może zamykać oczu na to, że po 26 maja do polskiej polityki wszedł nowy, zabójczy dla opozycji czynnik. Mowa o narastającym przekonaniu, że przedłużenie kadencji PiS jest już czymś przesądzonym.

Nawet Donald Tusk, wzywając w Gdańsku jedynie do stworzenia zaporowej listy do Senatu, pośrednio przyznał, że zdobycie większości w Sejmie jest poza możliwościami opozycji. „Tak czy inaczej, główna siła opozycyjna przegrała wybory" – pisze smętnie w „Polityce" duet Mariusz Janicki i Wiesław Władyka. „Jej rozpad, zresztą bardzo prawdopodobny, spowoduje, że PiS ma już raczej zagwarantowaną bezwzględną większość w przyszłej kadencji, a dotąd zawsze zwycięzca sejmowy miał większość także w Senacie". Zastanawiają się, czy zamiast łatać nową koalicję wszystkich ze wszystkimi nie lepiej skupić się na tworzeniu nowej lewicy i nowego centrum z myślą o sukcesie w 2023, a może w 2027 r. W „Rzeczpospolitej" niegdysiejszy coach Wiosny, Jakub Bierzyński, idzie jeszcze dalej. Wzywa, by opozycja nie brała na razie władzy i poczekała spokojnie, aż rząd pisowski zawali się pod ciężarem świadczeń społecznych.

Ten klimat pesymizmu może być chwilowy, ale nie bierze się znikąd. Opozycja nie ma innego lidera niż Grzegorz Schetyna, a ten tłumów nie porwie. Ale inni są jeszcze gorsi. Rozchwiany Kosiniak-Kamysz, cwaniacki Czarzasty i egotyczny Biedroń – tu nie ma w kim specjalnie wybierać. Nic dziwnego, że w tej sytuacji w obozie opozycji wybuchają i gasną kadrowe pomysły. „Zróbmy liderem Bartosza Arłukowicza, bo był pracowity w zachodniopomorskim. Postawmy na Elżbietę Łukacijewską, bo zdobyła dla KE podkarpacką gminę Cisna".

Tyle że na żaden taki szybki awans nie pozwoli Schetyna. Jest zbyt silny, by coś w Platformie bez niego zmienić, i za słaby na PiS. Pytanie, ile czasu potrwa psychiczna rozsypka opozycji. I czy PiS zrobi w najbliższych miesiącach jakiś błąd, który da opozycji się pozbierać. Na razie wszyscy jadą na wytęsknione urlopy. Biały koń Donalda Tuska ma wakacje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

Rafał A. Ziemkiewicz

Na prawo od PiS

Ponad milion wyborców konserwatywnych mogłoby nie zagłosować na PiS. Nie da się jednak ułożyć opozycji na prawo od partii rządzącej

Zsumowany wynik wyborczy list Konfederacji i Kukiza to 1 124 752 głosy. Jeśli dodać jeszcze 74 013 głosów oddanych na listę Roberta Gwiazdowskiego, to mamy prawie 1,2 mln wyborców – przy prawdopodobnej frekwencji jesiennych wyborów parlamentarnych na poziomie 50–60 proc. daje to między 6,5 a 7,5 proc. głosów. Teoretycznie więc szansa pojawienia się w przyszłym Sejmie partii „na prawo od PiS" istnieje.

Jednak tylko teoretycznie. W praktyce polityczne zagospodarowanie tego ponad miliona wyborców, którzy chcieli swym głosem zamanifestować sprzeciw wobec PiS z pozycji odmiennych niż reprezentowane przez „opozycję totalną" i Biedronia, wydaje się dziś dalsze niż kiedykolwiek.

PROBLEM PRZYWÓDCY

Hipotetyczne ugrupowanie „na prawo od PiS" ma dwa zasadnicze problemy. Pierwszym jest to, że brak mu przywódcy. Drugim, paradoksalnie, że ma za dużo przywódców – tylko albo zgranych, albo za mało znanych, albo mających urobiony wizerunek mocno negatywny. I wszyscy oni niezdolni są ani się porozumieć, ani ustąpić jeden drugiemu, ani zrezygnować na rzecz kogoś nowego – na którego wyłonienie też już zresztą za późno.

Najbardziej z nich wyrazisty i najmocniej zakorzeniony na politycznym rynku Korwin-Mikke już ogłosił swoją analizę wyborczego wyniku. Konfederacja nie wygrała, ponieważ nie eksponowała go należycie, gorzej nawet – zachowywała się wręcz, jakby się go wstydziła (znając Korwin-Mikkego można być pewnym, że wystawienie w debacie telewizyjnej Krzysztofa Bosaka uznać musiał za osobisty afront). W istocie w kampanii Korwin-Mikke pojawiał się rzadko, do tego stopnia, że przeciwnicy zmuszeni byli przypominać jego dawne wypowiedzi. Wystarczył jednak tydzień po wyborach, żeby wrócił z przytupem. Reaktywował dawny szyld partii KORWiN (kilka lat temu, wskutek buntu młodszych działaczy, zamieniony na Wolność) i ogłosił, że Kaczyński oraz Tusk nie różnią się niczym od Hitlera, Polska powinna prowadzić politykę prorosyjską, bo naszym głównym wrogiem jest Ukraina, a PiS wygrał, bo w „d...kracji" decydują ludzie zbyt głupi, by rozumieć, że Kaczyński przekupuje ich pieniędzmi, które im samym zabrał.

Równie niewzruszony w raz przyjętej linii okazał się Paweł Kukiz. Jego reakcja na zanurkowanie pod wyborczą kreskę jest analogiczna: więcej tego samego. Nie zmieni się, będzie niezłomnie zwalczał „partyjniactwo", a jako wyjście z impasu proponuje nową nazwę swego ruchu: Kukiz – Demokracja Bezpośrednia.

W kraju, w którym frekwencja wyborcza dopiero niedawno zaczęła przekraczać połowę i gdzie żadne z urządzanych referendów nie osiągnęło progu ważności (poza akcesyjnym, rozciągniętym do dwóch dni i wmuszanym przez wszystkie możliwe stronnictwa i media, a i tu ledwie-ledwie), „demokracja bezpośrednia", nie jest hasłem, które porwie wyborców. Kukiz jednak przywołuje na to historię Jarosława Kaczyńskiego, którego w pierwszej kadencji opuściła połowa posłów, w drugiej jego partia nie przekroczyła progu, a przecież, jak wiemy…

Kukiz w powyborczym tygodniu „zameldował" też swoim zwolennikom, że prowadzi „poważne rozmowy" o koalicji sił, które nie zgadzają się na duopol PiS-PO. Z kim może je prowadzić? Na pewno nie z Korwin-Mikkem, gdyż wszelkie porozumienie obaj odrzucają od dawna. Na pewno też nie z Liroyem-Marcem, Jakubiakiem ani narodowcami, którzy z Kukizem pożegnali się w ostatnich latach w bardzo złej atmosferze. Jeszcze bardziej nieprzyjemne, delikatnie mówiąc, zaszłości uniemożliwiają mu porozumienie z Bezpartyjnymi Samorządowcami, nie wiadomo zresztą, czy jeszcze w ogóle chętnymi działać.

PSL NA WYDANIU

Bardzo możliwe, że Kukiz miał na myśli PSL, które mniej więcej w tym samym czasie ogłosiło zamiar budowania „koalicji ludowo-konserwatywnej". Trudno jednak sobie wyobrazić związek antysystemow-

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. MACIEJ KUCZNIEWSKI/REPORTER

ca, którego przekaz od pewnego czasu ogranicza się tylko do krytyki „partyjniactwa", z ugrupowaniem będącym w oczach przeciętnego wyborcy tegoż partyjniactwa kwintesencją. A gdyby nawet taki karkołomny sojusz powstał – wątpliwe, by został przez „antysystemowych" wyborców zaakceptowany.

Gotowość zawarcia koalicji z PSL deklarował też wielokrotnie Korwin-Mikke, acz z charakterystycznym dla siebie uzasadnieniem: ideowo nie łączy nas nic, ale oni mają wyborców tylko na wsi, a my tylko w mieście, więc takie zsumowanie elektoratów jest logiczne. Weteran polskiego liberalizmu wielokrotnie już jednak miał okazję przekonać się, że w „d...kracji" nie decyduje logika, ale emocje, które zupełnie nie są jego domeną.

Do emocji właśnie próbowali się odwołać pomniejsi liderzy, skupieni w komitecie Konfederacji, starający się i Korwin-Mikkego, i Kukiza wypchnąć na polityczną emeryturę. Szczególna sytuacja, w której powstał ten bardzo eklektyczny sojusz, dawała szansę, że mimo wszystkich swych niespójności uda mu się przekroczyć wyborczy próg, co dawałoby możliwość (choć tylko możliwość, bez gwarancji sukcesu) zmiany politycznej mapy. Niestety, konfederatom wyraźnie zabrakło refleksji, jakimi emocjami kogo mogą pozyskać, a kogo odepchnąć.

ZANIECHANIA I NIEKONSEKWENCJE

Szansą Konfederacji były zaniedbania partii rządzącej. Skupiona – zgodnie z „doktryną Parucha", jak żartobliwie nazwali to dziennikarze – na walce o centrum i budowaniu wizerunku partii zdroworozsądkowej (co zresztą przyniosło jej sukces), dopuściła do rozczarowania części swego żelaznego elektoratu – do tego stopnia, że gotów on był PiS za odstępstwo od twardej linii ukarać. Dotyczyło to zwłaszcza miękkiego stosunku do Ukrainy, bagatelizowania żydowskich roszczeń i chowania głowy w piasek w sprawie podpisanego przez 900 tys. Polaków projektu zakazu aborcji eugenicznej – a także przeciągającej się nieskuteczności w starciu z eurokratami i wymiarem sprawiedliwości. Akurat wybory europejskie, w których najsłabiej działa groza „zmarnowania głosu" i „powrotu starego układu", zwłaszcza wobec widocznej niemrawości i zagubienia „totalnych", dawały ku temu niepowtarzalną szansę. I widać to było w sondażach, w których Konfederacja zyskiwała dzięki podejmowaniu tych tematów nawet dwucyfrowe wyniki.

Jej przywódcom te sondaże najwyraźniej zawróciły trochę w głowie, zapomnieli, że to tylko deklaracje, wyraz emocji, których utrwalenie wymaga przemyślanej strategii. Szansą Konfederacji było stać się w oczach „twardych" patriotów i katolików bardziej PiS-em niż sam PiS, pozycjonować się jako siła, która chce PiS poprawić, ściągnąć na powrót ku jego dawnej, pierwotnej wyrazistości.

Tymczasem w ostatnich tygodniach kampanii Konfederacja robiła coś dokładnie przeciwnego – atakowała PiS frontalnie i bardzo ostro, wmawiając wyborcom, że „PiS, PO, jedno zło". W sytuacji, gdy emocje postkolonialnej, kulturowej wojny między partiami obsługującymi emocje polskich „tubylców" i „kreoli" rozgrzane są do czerwoności i wciąż narastają, promowanie takiej optyki jest pewnym sposobem marginalizacji.

PiS w porę zareagował na sondażowe tąpnięcie, starając się wieloma mglistymi, ale stanowczymi deklaracjami przekonać wahających się wyborców, że problem „447" zauważa i traktuje odpowiednio poważnie. Jednocześnie Konfederacja „przegrzała" ten niosący ją temat, idąc w retorykę i happeningi nazbyt kojarzące się z antysemityzmem. A antysemityzm, wbrew pomówieniom lewicowo-liberalnych salonów i mediów izraelskich, przeciętnego Polaka nie tylko nie przyciąga, lecz wręcz odpycha. Gdyby zresztą było inaczej, nie wkładałyby one tyle wysiłku w przyklejanie tej etykiety wrogom.

Zaskakująca i dotycząca tylko Konfederacji rozbieżność między exit poll a ostatecznym wynikiem daje się wytłumaczyć tym, że jakaś grupa wyborców do ostatniej chwili wahała się, czy jednak nie ukarać PiS głosowaniem na Konfederację – ale ostatecznie, już przy urnach, zdecydowała się mu wybaczyć. Chociaż na tyle nie do końca pewna, czy słusznie, że ankieterom przed punktami wyborczymi deklarowała pierwotny zamiar.

Tak czy owak, szansa na zaistnienie powyżej progu tworu tak egzotycznego, jak koalicja Grzegorza Brauna, godnego następcy Korwin-Mikkego w dziwactwach radykalizmu, pro-liferów Kai Godek, marihuanowych libertarian Liroya-Marca, liberałów gospodarczych Jakubiaka aż do liberałów obyczajowych w typie Jacka Bartyzela stracona została i nie wróci. Podobnie jak swoją szansę zmarnował przez zaniechania i niekonsekwencje kilku ostatnich lat Kukiz.

W jesiennych wyborach PiS walczyć będzie o większość konstytucyjną, będzie szermować argumentem: każdy głos może zaważyć, czy wreszcie wyrwiemy się z niemożności i przełamiemy weto uprzywilejowanych „kast", takich jak prawnicy blokujący naprawę Polski. Teoretycznie więcej do ugrania byłoby po przeciwnej stronie, wśród rozczarowanych ciamajdanowatością „totalnej opozycji" i jej skrętem ku LGBT umiarkowanie zachowawczych niegdysiejszych wyborców „ciepłej wody w kranie". Jednak nie z medialną gębą, jaką mają tam urobioną narodowcy i korwiniści, nie mówiąc o Braunie i Godek. To już więcej szans – choć też niewiele – dać może PSL dobudowanie sobie miejsko-konserwatywnej odnogi z polityków w typie Marka Biernackiego.

Liczba 1,2 mln wyborców „na prawo od PiS" może więc robić na pierwszy rzut oka wrażenia, ale – by użyć słów mistrza Młynarskiego – „tego nie da się ułożyć". Szczególnie że zostało na to tylko kilka wakacyjnych miesięcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

Łukasz Warzecha

Ile punktów postkomuniści mogliby odebrać Platformie, gdyby startowali samodzielnie? A ile KE straciła przez to, że wzięła na listy postkomunistów?

FOT. WITOLD RÓŻBICKI/REPORTER

SLD osłabia Europejską Partię Ludową

Leszek Miller jest człowiekiem szczerym. A przynajmniej takim się stał, gdy odszedł z czynnej polityki. Teraz do niej częściowo wrócił, zdobywając mandat w wyborach do Parlamentu Europejskiego, ale szczerości się całkiem nie wyzbył. Dlatego w programie „Rzecz o polityce" na portalu „Rzeczpospolitej" na pytanie o plan na pokonanie PiS dla Koalicji Europejskiej odpowiedział: „[…] ja już swój pomysł znalazłem i go zrealizowałem. Wystartowałem do PE, zdobyłem mandat, dla mnie ten etap jest zakończony". W dalszym ciągu rozmowy Miller całkiem trzeźwo opisał przyczyny sukcesu PiS, w zasadzie nie pozostawiając złudzeń, że istnieje jakiś sposób, aby rządzącą partię w najbliższym czasie pokonać.

Tyle że były premier martwić się tym przez kolejne pięć lat nie musi. On wjechał do PE na plecach Grzegorza Schetyny (z listy w Wielkopolsce), podobnie jak czterech jego pozostałych kolegów: Marek Balt, Włodzimierz Cimoszewicz, Marek Belka i Bogusław Liberadzki. Jeśli od zdobytych przez Koalicję Europejską 22 mandatów odjąć te pięć, zostaje jedynie 17, co oznacza, że liczba mandatów, które PO przyprowadza w tym roku Europejskiej Partii Ludowej, spadła o dwa w porównaniu z 2014 r. Wiadomo już bowiem, że kandydaci SLD, mimo wcześniejszych zapowiedzi przewodniczącego PO, nie wejdą nawet na chwilę do EPP, ale od razu zasilą frakcję socjaldemokratów. Nie zmieni to wprawdzie ogólnego rachunku sił, bo EPP z socjaldemokratami od dawna decydują o najważniejszych kwestiach w Parlamencie Europejskim (po tych wyborach być może trzeba będzie to przymierze wzmocnić o liberałów, a nawet o zielonych). Znaczy to jednak, że Schetyna przez swój krajowy sojusz z SLD faktycznie osłabia EPP, a tym samym swoją w niej pozycję. Żeby zaś było śmieszniej, sam SLD wychodzi na zero, bo w 2014 r. wprowadziło do PE również pięcioro posłów.

Gdyby zastosować kryterium ideowe czy też życiorysowe, sprawa będzie jeszcze ciekawsza, bo do pięciu nowych eurodeputowanych z SLD należałoby dorzucić kolejnych dwoje: Danutę Hübner, przez 17 lat w PZPR, i Bartosza Arłukowicza, przez lata polityka różnych lewicowych ugrupowań, przejętego swego czasu przez Tuska na stworzone specjalnie dla niego, w gruncie rzeczy fikcyjne, stanowisko pełnomocnika do spraw wykluczenia społecznego. Z tym że Hübner i Arłukowicz w EPP się znajdą.

Jeśli szukać w tych wyborach wygranego – poza PiS – to z pewnością jest to SLD i Włodzimierz Czarzasty. Gdy w 2015 r. Sojusz otarł się o próg wyborczy, zdobywając 7,55 proc. (czyli o 0,45 punktu procentowego za mało, żeby przeskoczyć ośmioprocentowy próg dla koalicji), wydawało się, że Czarzasty, który na początku 2016 r. zastąpił Millera, będzie tylko likwidatorem masy upadłościowej. Co prawda SLD posiadał wspomnianych pięcioro europosłów oraz załapał się na subwencje, ale nieobecność w Sejmie przez cztery lata w zestawieniu z mającym wtedy status gwiazdy, a dziś dogorywającym Razem, wydawała się ostatecznym wyrokiem.

W styczniu 2016 r. robiłem wywiad z Leszkiem Millerem dla tygodnika „Sieci". Bardzo ciekawie dzisiaj się go czyta. Na pytanie, czy przyszłość należy do Czarzastego, czy do Zandberga, Miller odpowiedział: „Nie zdziwi pana, jeśli odpowiem, że do Włodzimierza Czarzastego – to moja rodzina polityczna. Adrian Zandberg jest raczej efemerydą. Gdyby nie nieszczęsna debata tuż przed wyborami Razem dostałoby 1–2 proc. głosów, a my bylibyśmy w Sejmie". A pamiętać trzeba, że rozmowa toczyła się w momencie, gdy Zandberg był gwiaz-

eprasa.pl 0f336d80c7

dą, fetowaną nieustannie na łamach „Gazety Wyborczej". Ba, swego czasu jako alternatywę dla postkomunistów z SLD zachwalał go nawet Piotr Lisiewicz z „Gazety Polskiej".

Dzisiaj widać, że były lider SLD się nie pomylił. Doświadczeni w politycznych kombinacjach postkomuniści przetrzymali smutę i znaleźli nosiciela (nieprzypadkowo używam terminu, który stosuje się w przypadku infekcji). Partia Razem zapewne wkrótce się skończy. Ugrupowanie Zandberga w 2015 r. dostało 3,62 proc. głosów, czyli opowiedziało się za nim ponad 550 tys. wyborców. W ostatnich wyborach – sprzyjających przecież teoretycznie mniejszym ugrupowaniom, choć w mniejszym stopniu przy wyższej frekwencji – Razem poniosło klęskę: idąc wspólnie z Unią Pracy, dostało 1,64 proc., czyli zaledwie 168 tys. głosów. Niemal pewne jest, że startując samodzielnie jesienią, Razem nie przekroczy nawet subwencyjnego progu 3 proc., a to będzie oznaczało, że zmieni się w coś w rodzaju kanapowego think tanku, żyjącego z grantów. I powoli, po cichu, zakończy żywot.

Postkomuniści tymczasem okazują się nadzwyczaj witalni.

Sięgnijmy jeszcze do wspomnianego wywiadu z Millerem z 2016 r. Miller mówił, że być może błędem było sprzymierzenie się z Palikotem (którego już w polityce nie ma), bo dla w gruncie rzeczy konserwatywnych wyborców SLD było to zbyt ekstrawaganckie obyczajowo. Tłumaczył jednak, że chodziło mu o to, żeby zapobiec rozproszeniu głosów na lewicy.

Dalej Miller mówił tak: „Głównym wyzwaniem dla Czarzastego będzie decyzja o tym, w jakiej formule SLD ma iść do kolejnych wyborów – czy tworzyć nową zjednoczoną lewicę, już pewnie z innymi partnerami, czy iść samemu. Profesor Rafał Chwedoruk, którego wiele przewidywań się sprawdziło, ma w tej sprawie jasne zdanie: SLD powinno iść pod własnym szyldem, dopóki to jeszcze możliwe; w przeciwnym wypadku znów powstanie zamieszanie, a nasz elektorat będzie zdezorientowany".

Jak się okazuje, życie zaskoczyło nawet tak doświadczonego polityka, jakim jest Miller. Czarzasty zdał sobie sprawę, że lewa strona sceny politycznej jest maksymalnie obsadzona. Prócz wspomnianego już dogorywającego Razem jest tam jeszcze Biedroń, Platforma, starająca się docisnąć Wiosnę dryfem w lewo, a także PiS, który przecież pod względem społecznym i socjalnym realizuje stricte lewicowy program. Gdzie tu jeszcze miejsce na SLD, który przez ostatnie blisko cztery lata nie mógł nawet wyraźnie zaznaczać swojego istnienia? Tradycyjny postkomunistyczny elektorat, o którym wspominał prof. Chwedoruk, wymiera, a rolę obrońcy jego praw i tak bierze na siebie, w ramach skrajnej polaryzacji poglądów, PO Grzegorza Schetyny. Czarzasty musiał więc zrobić to, co zrobił: zachować się jak pasożyt i znaleźć sobie nosiciela, przy pomocy którego uda się wjechać do Parlamentu Europejskiego, a jesienią być może także do Sejmu.

Owszem, to abdykacja z ambitniejszej wizji samodzielnego istnienia, której stara się dzisiaj wciąż trzymać PSL. Tyle że PSL ma jeszcze względnie mocne oparcie w samorządach – SLD już nie. Czarzasty okazał się wielkim realistą. Mając do wyboru próbę samodzielnego przetrwania lub rolę przystawki przy PO, wybrał tę drugą, kupując w ten sposób czas dla swojej formacji – i oczywiście pieniądze.

Rzecz w tym, że w takim układzie jest tylko jeden wygrany. Na ogół tak jest – wygrywa pasożyt, nosiciel nic z tego nie ma. Spójrzmy na sytuację w Warszawie, gdzie Koalicja Europejska umieściła na pierwszym miejscu Włodzimierza Cimoszewicza. Cimoszewicza od dawna w życiu politycznym nie było, jeśli w poprzednich wyborach kandydował, to na swoim Podlasiu, a dodatkowo tuż przed wyborami skompromitował go wypadek samochodowy. Cimoszewicz nie wysilił się choćby na śladową kampanię. Prawdę mówiąc, nie widziałem ani jednego jego plakatu czy banneru. Nie słyszałem o żadnych spotkaniach czy rozdawaniu ulotek. Jeśli zestawić jego działania z kampanijnymi tytanami pracy, takimi jak choćby Bartosz Arłukowicz – Cimoszewicz praktycznie nie istniał. I dlatego zapewne w skrajnie niechętnej PiS Warszawie dostał jedynie niespełna 220 tys. głosów, podczas gdy w mniej oczywistym okręgu zachodniopomorskim wspomniany Arłukowicz wyorał sobie prawie 20 tys. głosów więcej. A mimo to Cimoszewicz do PE wjechał.

W angielskim jest zgrabny termin „fellow traveller", czyli dosłownie „towarzysz podróży", oznaczający jednak również kogoś, kto zdobywa korzyści czyimś kosztem. Nie tylko Cimoszewicz w Warszawie, lecz także cały SLD stał się dla PO takim „fellow traveller". Oto jak się nie narobić i zarobić – zero wysiłku, dobre wyniki. W Łodzi Marek Belka, a w okręgu gorzowskim Bogusław Liberadzki mieli pierwsze miejsca na liście KE, Marek Balt był w Katowicach na miejscu drugim, tak samo Miller w Wielkopolsce. Trzy pierwsze miejsca, dwa drugie. Pytanie brzmi, co Schetyna zyskał, robiąc Czarzastemu taki prezent. Ogólniej patrząc, można by także spytać: co w ogóle zyskał Schetyna, stawiając na sojusz ze zbieraniną wszystkich chętnych organizacji, którym nie pasują rządy PiS. Skupiając się jednak na SLD: czy Platformie w jakikolwiek sposób zagroziłaby partia Czarzastego, gdyby jej kandydaci dostali na listach gorsze miejsca i gdyby to skłoniło nawet ostatecznie SLD do odłączenia się od KE? Ile punktów postkomuniści mogliby odebrać Platformie, gdyby startowali samodzielnie? A ile KE straciła przez to, że wzięła na listy postkomunistów?

Możliwe, że takie analizy ktoś w PO robi – choć słuchając powyborczych wypowiedzi jej przedstawicieli, trudno uznać, że w ogóle ktokolwiek cokolwiek tam analizuje. Tyle że zrzucić z pleców Czarzastego byłoby Schetynie teraz bardzo trudno. SLD ma nosiciela, który zapewnia przetrwanie, i ma już także miejsca w PE, które dają większą niż dotąd możliwość zabierania głosu oraz lepszą pozycję przetargową (może zresztą Czarzasty będzie jeszcze próbował grać sprawą członkostwa jego ludzi w EPP, gdyby negocjacje ze Schetyną źle szły).

Szczególnie ciężko byłoby myśleć o pożegnaniu z SLD, gdyby miało się okazać, że PSL z koalicji jednak wychodzi – jak wstępnie zadeklarowało – i Schetyna zostałby już tylko z Czarzastym jako jedynym rozpoznawalnym partnerem. To byłaby dla PO sytuacja szczególnie trudna: odpadłby względnie konserwatywny filar koalicji, zostałby ten lewicowy, który w ostatnich wyborach chyba jednak KE zaszkodził. Z drugiej strony, jeżeli postawiło się już na narrację „wszyscy przeciwko PiS", to jak wytłumaczyć, że zrywa się koalicję i idzie samemu? Co poszło nie tak? Gdzie zjednoczeniowy sukces Schetyny? I tak źle, i tak niedobrze.

W ubiegłym tygodniu Czarzasty oznajmił, że będzie rekomendował zarządowi SLD pozostanie w Koalicji Europejskiej. Czy ktoś jest zdziwiony? Wszak to polityczna realizacja powiedzenia: „Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy". Przy czym w tym wypadku mówimy raczej o kilkuset tysiącach złotych subwencji rocznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Władek kontra Waldek

Piotr Gociek

Budowa Koalicji Polskiej przez PSL to rozpaczliwa próba ucieczki do przodu. Wyjątkowo ryzykowna próba

Ludowcy lubią swoje spory rozstrzygać po cichu. Do tej pory nawet gdy w partii szykował się przewrót, rywalizację poszczególnych grup udawało się trzymać w tajemnicy aż do ostatecznych rozstrzygnięć. Tak było choćby wtedy, gdy prezesem partii niespodziewanie (dla opinii publicznej) został Janusz Piechociński.

Ostatnie miesiące przyniosły publiczne pranie brudów ludowców, a teraz ekipa byłego premiera Waldemara Pawlaka już otwarcie rzuciła wyzwanie Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi. Najpierw Marek Sawicki publicznie kontestował strategię przyjętą przez PSL na wybory europejskie. Po wyborach i po ostatniej Radzie Naczelnej PSL Pawlak opublikował w mediach społecznościowych zapis swego wystąpienia, mocno krytycznego wobec ostatnich posunięć Kosiniaka-Kamysza.

Efekt? Chociaż nieco ponad trzy miesiące temu 86 członków Rady Naczelnej głosowało za wejściem PSL do Koalicji Europejskiej (przeciw było zaledwie ośmiu), to teraz wygrała opcja przeciwna. Ludowcy mają budować Koalicję Polską, blok konserwatywny, ludowy, centroprawicowy, z PSL jako filarem i otwarty na współpracę ze wszystkimi, którzy nie chcą firmować lewicowych i lewackich pomysłów spod znaku PO, SLD, Nowoczesnej i „Kultury Liberalnej". PSL walczy nie tylko o nowe otwarcie – walczy także o przetrwanie. Podobnie sam Władysław Kosiniak-Kamysz.

SEN O PREMIEROSTWIE

A miało być tak pięknie. Jeszcze w październiku 2018 r. portal Wirtualna Polska informował: „Po dobrym wyniku wyborczym Koalicji Obywatelskiej w wyborach samorządowych szef Rady Europejskiej Donald Tusk jest coraz bliższy podjęcia decyzji o starcie w wyborach prezydenckich w 2020 r. Jak przekazał swoim współpracownikom, warunkiem ma być fotel szefa rządu dla lidera PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza".

Potem posypały się dementi z różnych stron, ale temat wrócił w styczniu 2019 r., kiedy to z kolei Onet.pl donosił: „Lider PO Grzegorz Schetyna sondował, czy prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz byłby gotowy zostać wspólnym kandydatem PO i PSL na prezydenta". Dlaczego? „Chodzi nie tylko o dowartościowanie lidera PSL. Chodzi przede wszystkim o usunięcie konkurenta do premierostwa i poróżnienie Kosiniaka z Tuskiem, który też może mieć ochotę na prezydenturę" – wyjaśniał Onet.

Wynik wyborów samorządowych nie był dla opozycji korzystny, a próba generalna przed wielkim powrotem Donalda Tuska (seria wystąpień w maju tego roku) nieudana. Po klęsce w wyborach europejskich Kosiniak-Kamysz odgryzał się dawnemu liderowi PO. „Wydaje mi się, że zmobilizował elektorat. Tyle że nie do końca chyba nasz, tylko bardziej PiS-u" – mówił w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej".

Jednak sen o premierostwie pozostał. Wzmacniają go nieoficjalne sygnały od Tuska oraz oficjalne wyniki rozmaitych sondaży. Kosiniak-Kamysz cieszy się w nich dużo większą sympatią od przywódcy PO Grzegorza Schetyny. W badaniu dla OKO.press tuż przed wyborami europejskimi zadano pytanie: „Kto byłby najlepszym kandydatem na premiera, gdyby obecna opozycja wygrała jesienne wybory?". 19 proc. wskazało Kosiniaka-Kamysza, tylko 9 proc. – Schetynę. Wśród wyborców Koalicji Europejskiej rozkład głosów był równie ciekawy: prezes PSL – 39 proc., przewodniczący PO – 22 proc.

eprasa.pl 0f336d80c7

Mało kto zauważa, że nie tylko Tusk i Schetyna postanowili zagrać Kosiniakiem-Kamyszem. Ostrożne, ale znaczące sformułowania płyną z wewnątrz PiS. Kosiniak-Kamysz nie jest już wymieniany jednym tchem, gdy Nowogrodzka sięga po zdanie „Przez osiem lat PO i PSL… (tu proszę wpisać: grabili, niszczyli etc.)", tylko określany jest mianem polityka głęboko wierzącego, wrażliwego na sprawy społeczne. Na razie nieoficjalnie. Jednak każda droga zaczyna się od jednego kroku.

Po wyborach samorządowych ludowcy otrzymali od PiS bardzo konkretną i hojną ofertę: koalicja we wszystkich samorządach. W zamian PiS miał się powstrzymać od rewolucji personalnej w województwach, w których przejął władzę kosztem ludowców. Kosiniak-Kamysz odrzucił tę ofertę, rzucając tym samym na szalę los posad tysięcy rozgoryczonych działaczy i ich rodzin.

Do tanga trzeba dwojga. Od jednego z wpływowych ludowców usłyszałem z kolei kilka dni po eurowyborach, że wszystko w rękach Jarosława Kaczyńskiego. „Gdyby zdecydował się jesienią cofnąć o krok, tak jak wycofał się w 2015 r., wskazując na premiera Beatę Szydło", argumentował działacz, „gdyby zgodził się na Kosiniaka-Kamysza jako premiera…".

MGLISTE PERSPEKTYWY

Ferment w PSL narastał od przegranych wyborów samorządowych. Lokalni baronowie narzekali, że zainwestowali bardzo dużo w kampanię, ale nie przełożyło się to na stanowiska. Do centrali partii płynęły sygnały, że nikt w związku z tym nie zamierza wypruwać sobie żył w kampanii do europarlamentu. Był to zresztą jeden z powodów wejścia PSL do Koalicji Europejskiej. No i jeszcze kwestia pieniędzy: ludowcy dopiero dziś kończą wydobywanie się z tarapatów finansowych, w które wtrąciła ich utrata części subwencji. Optymiści w PSL uważają, że jesienią przyjdzie odbicie, że znów to ludowcy będą języczkiem u wagi w polskiej polityce. A co, jeśli nie?

Wynik wyborów samorządowych w 2018 r. był dla PSL mocno niepokojący – zdobyli mniej głosów niż w roku 2014, utracili województwa uważane za zielone bastiony, w wielu gminach utracili władzę na rzecz PiS. Wynik wyborów europejskich sprawił, że zapalić się musiała czerwona lampka ostrzegawcza. Gdyby ludowcy startowali w nich osobno, to nie wprowadziliby do Parlamentu Europejskiego żadnego posła. „Bezpośrednio przełożone głosy na PSL w wyborach do PE to 4,5 proc." – wyliczał dr Jarosław Flis w wywiadzie dla portalu DoRzeczy.pl. Dzięki startowi w ramach Koalicji Europejskiej mają co prawda trzech eurodeputowanych, ale liczba zdobytych głosów jest niepokojąca. Jesienią w walce o Sejm nie przyniosłaby przekroczenia progu wyborczego. Jest jeszcze gorzej: w październiku można się spodziewać frekwencji wyższej niż w eurowyborach. Kto wie, może nawet i milion głosów nie będzie gwarantował wejścia do Sejmu. W roku 2015 PSL zdobył ich 780 tys.

I tak źle, i tak niedobrze. Wpływowi ludowcy w nieoficjalnych rozmowach mówią wprost: wejście do Koalicji Europejskiej oznaczało, że połowa naszego elektoratu nie poszła do wyborów albo głosowała na PiS. Zatem skórka niewarta była wyprawki. Jednocześnie inni ludowcy pokazują dziennikarzom wyliczenia, z których wynika, że odpływ głosów zaczął się dla ich ugrupowania już w latach 2011–2015. Wybory samorządowe w 2018 r. i europejskie w 2019 r. tylko tę tendencję nasiliły. Czyli samodzielny start także jest ryzykiem. Pomysł na powołanie własnego bloku – Koalicji Polskiej – to rozpaczliwa ucieczka do przodu, a zarazem element rozliczeń wewnątrzpartyjnych. Nie wszystkim ludowcom podobała się Koalicja Europejska, a wielu z nich dużo wcześniej (najgłośniej Marek Sawicki) gardłowało za budową osobnej listy. Mówiło się zarówno o sojuszu z SLD, jak i o bliżej nieokreślonym „bloku ludowo-konserwatywnym".

Ten ostatni wciąż pozostaje bardzo nieokreślony. Kto miałby do niego wejść? Aby budować blok, potrzebne są cegły. W tej chwili PSL może dołożyć do własnej koalicji najwyżej Unię Europejskich Demokratów, czyli rachityczny twór istniejący jedynie w studiu TVN24. Czy naprawdę Stefan Niesiołowski czy Michał Kamiński mieliby stanowić wzmocnienie i wiarygodną ofertę dla wyborców centroprawicy? Ludowcy marzą o transferze Kazimierza Michała Ujazdowskiego, a od jednego z nich usłyszałem, że nawet Aleksandra Halla. I co dalej? Chyba że owe marzenia obejmują sojusz z Kukizem'15 albo tym, co z ruchu pozostanie. Może z częścią Konfederacji? PSL-owskie doły czasem są bardziej narodowe od narodowców.

Mimo dobrych chęci rezygnacja z szyldu PSL na rzecz Koalicji Polskiej może się okazać spektakularnym samobójstwem. Kto zmienia trzy miesiące przed wyborami znaną markę na szyld, o którym wyborcy usłyszeli pierwszy raz tydzień temu? Z kolei socjalne propozycje programowe mogą zostać bez trudu przechwycone przez PiS, który ma tę przewagę, że nie tylko obiecuje wsparcie, lecz także naprawdę je daje. Będzie więc w oczach wyborców wiarygodniejszy. Zresztą: na wsi już jest dużo wiarygodniejszy od słabnącego PSL.

TAJNY PLAN PAWLAKA?

Paradoksalnie w tej chwili interesy Władysława Kosiniaka-Kamysza i Waldemara Pawlaka są zbieżne. PSL musi odbudować swoją pozycję. Pytanie tylko: Do czego jej użyć? Można zakładać, że obecny szef PSL chciałby wzmocnić pozycję przetargową partii przed układaniem list wielkiej opozycyjnej koalicji. Były prezes PSL ma z kolei doświadczenie w negocjowaniu po wyborach – przy tworzeniu rządu zawsze był w stanie wyszarpać dla ludowców od większego partnera tyle, ile nikomu innemu się nie udało. Tak czy inaczej, najpierw do Sejmu trzeba wejść.

Czy poważnie można traktować plotki o tym, że „Pawlak ma tajny plan sojuszu z PiS"? Pytanie powinno brzmieć inaczej: Czy PiS byłby gotowy do sojuszu z Pawlakiem, współtwórcą przewrotu sejmowego, który obalił rząd Jana Olszewskiego, i bliskim współpracownikiem Donalda Tuska? Z człowiekiem, którego wielu w PiS widziałoby przed Trybunałem Stanu (za podpisanie niekorzystnego dla Polski traktatu gazowego z Rosją). Kosiniak-Kamysz byłby sojusznikiem łatwiejszym do strawienia. W końcu skoro jest dziś w rządzie Zjednoczonej Prawicy były minister ekipy Tuska – Jarosław Gowin – to i dla Kosiniaka-Kamysza miejsce by się znalazło.

Dla PSL najbliższe tygodnie i miesiące będą wyjątkowo burzliwe. A stawka jest dużo większa niż teka premiera dla Kosiniaka-Kamysza czy też ponowny wybór Pawlaka na prezesa zielonych. Klęska PSL jesienią – czy to w ramach koalicji ze Schetyną, czy w walce na własną rękę – może oznaczać, że po wyborach zmienią się także koalicje w tych sejmikach wojewódzkich, w których dziś PSL rządzi wraz z PO. Wielu działaczy ludowców już teraz ma ochotę na zmianę frontu. Dla PiS byłby to scenariusz wymarzony, dla PSL – początek końca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

Marcin Makowski

Patryk Jaki zapowiedział wojnę z nielegalnym finansowaniem kampanii na Twitterze i Facebooku. Czy uda mu się ją wygrać?

Kto wyciska Sok

Seryjnie produkowane fake newsy i agresywna propaganda polityczna. Ponad 780 tys. fanów. Wśród nich Lech Wałęsa, Hanna Lis, Grzegorz Schetyna, Roman Giertych, Joanna Scheuring-Wielgus, Jerzy Buzek czy Donald Tusk. Mimo licznych zapowiedzi likwidacji, procesów i interwencji, facebookowy profil Sok z Buraka działa i zarabia w najlepsze. Wszystkie poszlaki wskazują na to, że stanowi narzędzie w rękach partii politycznej, która w ten sposób może pośrednio – i nielegalnie – finansować kampanie wyborcze.

Patryk Jaki, jako odchodzący wiceminister sprawiedliwości, a obecnie europoseł, zapowiedział, że czas tej bezkarności się skończył, a bliźniaczo podobne profile, które masowo powielają materiały opozycji, zostaną prześwietlone przez prokuraturę. Na razie nad nimi jest rozpięty parasol ochronny Facebooka, który nie podlega polskiemu prawu i nie chce ujawnić źródeł finansowania m.in. Soku z Buraka, w którego rozwój od 2015 r. wpompowano setki tysięcy złotych. Wyborcy mają prawo wiedzieć, czy te pieniądze zostały wyjęte również z ich portfeli.

INTERNETOWA FORPOCZTA OPOZYCJI

Działalność Soku z Buraka śledziłem od 2015 r. i jako pierwszemu udało mi się ustalić polityczno-finansowe powiązania fanpage'a. Chociaż profil istnieje na Facebooku od 1 kwietnia 2013 r., to wystarczy prześledzić jego statystyki, aby stało się jasne, kiedy zyskał znaczenie, i że czas ten nie jest przypadkowy. Właściwie do maja 2015 r. Sok z Buraka był stroną marginalną, prawie przez dwa lata działania zdobył popularność raptem kilku tysięcy fanów. Posty dodawane przez ten czas cechowały niechlujność, brak regularności i strategii komunikacyjnej. Ot, strona z memami o polityce, jakich wiele, „urozmaicana" od czasu do czasu wulgarnymi i seksistowskimi żartami.

Interesujące rzeczy zaczęły się dziać dopiero od początku lata 2015 r., czyli w momencie kampanii prezydenckiej, a następnie w okolicach września i października – czyli kampanii parlamentarnej. Sok z Buraka z niszowej platformy memowej zaczął się wówczas zamieniać w quasi-profesjonalne narzędzie walki politycznej. Posty pojawiały się regularnie, dotyczyły aktualnych tematów, wpisując się w strategię komunikacyjną „antypisu". Część z nich była dla zwiększenia zasięgu sponsorowana, co cztery lata temu było na (rzekomo) prywatnych i niekomercyjnych profilach czynnością niepraktykowaną. Niemal z dnia na dzień wpisy zyskały profesjonalną i spójną po dziś oprawę wizualną – połączenie komunikatów pisanych kapitalikami na różowo-czarnym albo czerwono-żółtym tle. Dzięki intensywności publikacji liczba osób śledzących ten profil wzrosła od maja do listopada 2015 r. o kilka tysięcy procent.

Pierwsze sygnały świadczące o tym, że przedsięwzięcie prowadzone na podobną skalę mogło mieć podłoże partyjne, dotarły do mnie już po porażce Platformy Obywatelskiej jesienią 2015 r. Informator, który doradzał w think tanku owej partii – Instytucie Obywatelskim – skontaktował się ze mną telefonicznie, podając szczegóły współpracy, którą okazjonalnie jako doradca ekonomiczny wykonywał od września do listopada tamtego roku. W budynku Instytutu niejednokrotnie miał widzieć działaczy młodzieżowych partii zalogowanych jako administratorzy Soku z Buraka, którego komunikację miała wspierać firma marketingowa zaangażowana wcześniej w projekty Platformy.

Podobną wersję potwierdził również informator pracujący jako redaktor w internetowym wydaniu „Gazety Wyborczej", która po nawiązaniu współpracy z Sokiem w czerwcu 2016 r. zerwała ją po cichu niespełna miesiąc od jej zainicjowania. – Ludzie, którzy nad tym pracowali, mówili, że nikogo i niczego się nie boją. Skąd ten profil posiadał cały swój kontent? Dlaczego podkradając grafiki i tematy z największych mediów, nie ścigano ich za łamanie praw autorskich? – zastanawiał się mężczyzna, dodając, że jego zdaniem ktoś na górze stwierdził, iż współpraca będzie długofalowo niekorzystna ze względu na wcześniejsze powiązania profilu, które po porażce wyborczej miały zostać jednak zerwane.

„Gazeta Wyborcza" oficjalnie dementuje podobną wersję wydarzeń. „Wedle mojej wiedzy żaden z pracowników

eprasa.pl 0f336d80c7

Instytutu Obywatelskiego nie był i nie jest zaangażowany w jakikolwiek sposób w działanie wymienionego przez pana profilu na portalu Facebook" – odpisał na moje pytanie w 2016 r. Konrad Niklewicz, zastępca dyrektora Instytutu Obywatelskiego.

PIĘĆ TYSIĘCY ZA MEM

Od tego momentu wiele spraw zaczyna się rozmywać, a wszystko wskazuje na to, że przez kilka lat „porzucony" partyjnie profil musiał sobie radzić na wolnym rynku, rozwijając współpracę z opozycją pozaparlamentarną (oficjalnie z Komitetem Obrony Demokracji oraz tygodnikiem „Nie"). Ze względu na ogromne pieniądze zainwestowane w projekt w idealnym dla niego momencie raz rozpędzonej maszyny nie dało się już zatrzymać. Trzeba było mieć jednak za co „dosypywać do pieca".

Chociaż twórca Soku z Buraka, zaangażowany marketingowiec i przedsiębiorca, przedstawia siebie jako samotnego mściciela z jednym pomocnikiem niekomercyjnie zawiadującego przedsięwzięciem, ponad 1,2 tys. memów miesięcznie, to zadanie dla zespołu przynajmniej kilku osób oraz budżetu liczonego według specjalistów z branży social media na kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie. Mimo że w wywiadzie dla naTemat.pl z października 2016 r. rzekomy twórca Soku powiedział, iż nie chce być „medium reklamowym", a wykorzystywanie cudzych grafik skomentował w sposób następujący: „Nie ma naruszenia prawa, jeśli ma się niekomercyjną działalności i weźmie się zdjęcie, do którego dołoży się komentarz".

Tymczasem w sierpniu 2016 r. Sok z Buraka wysyłał do agencji reklamowych prezentację multimedialną. Ujawniamy fragment tego e-maila: „SokzBuraka to najbardziej angażujący fanpage w Polsce, który osiąga wyniki oscylujące pomiędzy 17–20 mln interakcji miesięcznie. [...] Rozpoczęliśmy działalność reklamową, oferując Klientom publikację serii dedykowanych memów promujących firmę, markę, produkt czy usługę. Kreację przygotowuje nasz dział kreatywny we współpracy z Klientem lub jego Agencją. [...] Chcę zaproponować tego typu działania reklamowe Państwa klientom. Służę dalszymi informacjami w trakcie rozmowy telefonicznej lub spotkania" – informował podpisany z imienia i nazwiska marketingowiec Dariusz Szymańczyk.

Za „mem z ofertą klienta" na profilu życzył sobie od 1,2 do 5 tys. zł netto, natomiast kampania miesięczna została wyceniona na kwotę 18 tys. zł miesięcznie. Pomimo nagminnego łamania praw autorskich przez administratorów profili, ukrywania źródeł grafik, kradzieży zdjęć z innych mediów i fake newsów – żadna kara ze strony Facebooka nie dotknęła profilu, który prowadzi działalność.

z Buraka?

ŚLEDZTWO DO RZECZY

Chociaż Dariusz Szymańczyk podpisuje się pod wszelkimi dokumentami marketingowymi Soku z Buraka oraz widnieje w 24. numerze „Biuletynu Urzędu Patentowego" (str. 63) jako osoba zastrzegająca znak towarowy Sok z Buraka, w rozmowie telefonicznej zaznaczył, że jest jedynie „pośrednikiem", który pomaga bezpłatnie w prowadzeniu fanpage'a. Oficjalnie do jego założenia na łamach mediów przyznał się niejaki Andrzej Szumliński z zarejestrowanego w Wielkiej Brytanii Wolnego Radia Opornik. Również z tego powodu, jak dowiaduję się ze źródeł bliskich prokuraturze, ściganie naruszenia dóbr osobistych jest niezwykle trudne, ponieważ Sok przedstawia się obecnie jako platforma działająca poza granicami Rzeczypospolitej.

NIEPOKOJĄCE PODOBIEŃSTWA

Sok z Buraka jest nadal aktywną częścią konglomeratu kilkunastu podobnych „antypisowskich" stron, które łącznie śledzi ponad 2,5 mln odbiorców. „Większość publikowanych na nich postów jest identyczna lub łudząco podobna. [...] Oficjalnie nie są ze sobą powiązane i nie współpracują z partią polityczną. Wystarczy jednak porównać je ze sobą, by zobaczyć, że działają bardzo podobnie – tak jakby były wspólnie koordynowane" – napisał w maju 2019 r. Bolesław Breczko w Wirtualnej Polsce, podając wiele przykładów na przenikanie się memów, komunikatów i wyraźne wsparcie dla konkretnych polityków Koalicji Europejskiej, szczególnie Andrzeja Halickiego. Oto pismo, które po 63 dniach od pytania na temat źródeł finansowania kampanii internetowych Platformy trafiło do redakcji WP: „W odpowiedzi na Pana wniosek o udzieleniu dostępu do informacji publicznej z dnia 19 marca 2019 r. uprzejmie informujemy, że wydatki poniesione na media społecznościowe w okresie od 01.05.2018 r. do 31.05.2019 r. wyniosły 484 821,61 zł. Wszystkie zawarte umowy dotyczące wyżej wymienionej kwoty mają charakter umów zawartych z osobami fizycznymi nieprowadzącymi działalności gospodarczej i tym samym nie możemy ich Panu udostępnić".

Warto przypomnieć, że w niedawnej kampanii samorządowej działał facebookowy i twitterowy profil „Jaki Jest Jaki?". Zajmował się wyłącznie atakowaniem kontrkandydata Rafała Trzaskowskiego, prezentując styl graficzny i retoryczny wprost zaczerpnięty z memów Soku z Buraka, który z resztą aktywnie promował całe przedsięwzięcie, błyskawicznie napędzając mu nowych fanów. Pierwszym obserwującym ten profil był Instytut Obywatelski, a wśród kolejnych byli działacze młodzieżówki PO.

– W tej chwili prowadzone jest postępowanie karne w sprawie nielegalnego finansowania kampanii wyborczej w mediach społecznościowych. W tym czasie każda złotówka musi być rejestrowana, a profile, takie jak „Jaki Jest Jaki?", działały poza nadzorem. Pomiędzy tą stroną a Sokiem z Buraka istnieje wiele niepokojących podobieństw – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Patryk Jaki. – Gdyby uznać, że to normalne, można byłoby zakładać anonimowe profile polityczne i podczas wyborów wypychać na nie miliony złotych na agitację. To łamie ustawę o funkcjonowaniu i finansowaniu partii politycznych. Podejmiemy bardzo stanowcze działania, aby ten proceder przerwać. Każdy internauta ma prawo do rzetelnej wiedzy, a przez takie profile ciężko odróżnić kłamstwo od prawdy – zapowiada.

W najbliższych miesiącach kampanii parlamentarnej ten problem tylko się nasili. W końcu sam Donald Tusk stwierdził podczas gdańskich obchodów rocznicy 4 czerwca 1989 r.: „Ich telewizja, nasz Internet".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. ADOBE STOCK

Prawo do jazdy

Łukasz Zboralski

Manewry z kamerą cofania albo czujnikami, egzaminator mający jedynie osiem egzaminów dziennie – resort infrastruktury zmienia prawo, by kursanci łatwiej zdobywali uprawnienia do kierowania

To jeden z polskich paradoksów drogowych – mamy jeden z najwyższych wskaźników wypadków drogowych w Unii Europejskiej (ok. 3 tys. ofiar wypadków drogowych rocznie) i zarazem jeden z najtrudniejszych egzaminów dla przyszłych kierowców. Powinno być przecież odwrotnie. Jeśli zakładamy gęste sito i wybieramy tylko niewielką grupę, która od razu zdaje pozytywnie egzamin, to i na drogach polscy kierowcy powinni sobie radzić lepiej niż inni.

A sito na egzaminach jest naprawdę gęste. Z ogólnopolskich danych wynika, że za pierwszym podejściem egzamin praktyczny na prawo jazdy kategorii B (samochody osobowe) zdaje ok. 30 proc. kursantów. W innych krajach odsetek ten jest znacznie wyższy. Na przykład w Wielkiej Brytanii zdaje prawie połowa, a nie zaledwie co trzeci. Z kolei w Niemczech zdawalność sięga blisko 70 proc.

Obiegowa opinia polskich kierowców (i niedoszłych kierowców) jest taka: egzaminatorzy celowo oblewają kursantów, bo im więcej przeprowadzonych egzaminów, tym więcej zarabiają wojewódzkie ośrodki ruchu drogowego. Trudno jednak taką tezę udowodnić. Zwłaszcza teraz, gdy od dawna w samochodach egzaminacyjnych są urządzenia rejestrujące przebieg testu.

Wydaje się, że w Ministerstwie Infrastruktury podzielano jednak taki pogląd. Na przeszkodzie do zmian stała decentralizacja – egzamin jest państwowy i to państwo powinno też dbać o bezpieczeństwo drogowe, ale certyfikowaniem przyszłych kierowców zajmują się ośrodki podlegające marszałkom województw. Stąd pierwszym pomysłem nowego rządu PiS była zmiana prawa podporządkowująca cały system egzaminowania kierowców wojewodom. To okazało się chyba zbyt trudne. Resort znalazł więc inną drogę.

SZTYWNA LICZBA EGZAMINÓW

Ministerstwo przygotowało nowelizację rozporządzenia (w sprawie egzaminowania osób ubiegających się o uprawnienia do kierowania pojazdami, szkoleń, egzaminowania i uzyskiwania uprawnień przez egzaminatorów oraz wzorów dokumentów stosowanych w tych sprawach).

Tam zastosowano zabieg, który ma spowodować, że celowe oblewanie kursantów podczas egzaminu nie będzie przynosiło wojewódzkim ośrodkom ruchu drogowego więcej dochodów niż egzaminy zaliczone pozytywnie.

Ograniczono egzaminatorom zakres ich pracy. Po zamianach egzaminator będzie mógł przeprowadzić maksymalnie osiem egzaminów na prawo jazdy kategorii B w ciągu jednego dnia. Przy

eprasa.pl 0f336d80c7

tym w ciągu 50 minut będzie mógł przeprowadzić tylko jedną część praktyczną egzaminu. Części praktyczne egzaminów na inne kategorie (B+E, C1, C1+E, C, C+E, D1, D1+E, D, D+E i T) będzie mógł przeprowadzać nie częściej niż jedną na półtorej godziny.

W uzasadnieniu zmian resort zapisał wprost, że liczba przeprowadzonych egzaminów jest istotna dla WORD-ów, bo obecnie finansują się same. I dodał, że: „Obserwowane są od dłuższego czasu negatywne zachowania WORD-ów, które związane są z dążeniem do maksymalizowania zysków finansowych z przeprowadzonych egzaminów. W pracy zatrudnionych egzaminatorów często obserwuje się wywieranie na egzaminatorach różnego rodzaju presji w kierunku osiągnięcia wyższej zdawalności i określonej wysokiej wydajności (np. przeprowadzenie 14 egzaminów praktycznych w ciągu ośmiu godzin). Działania takie są wysoce nieakceptowalne społecznie ze względu na brak transparentności procesu egzaminowania".

Dzięki temu ministerstwo chce upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Z jednej strony zwalczyć patologie systemu, które powodowały, iż niektóre mniejsze ośrodki egzaminowania taśmowo „produkowały" kierowców i robiły świetny biznes – tajemnicą poliszynela jest to, gdzie można w Polsce zdać egzamin łatwiej. Z drugiej strony minister infrastruktury utnie to, o co podejrzewano WORD-y, czyli sprawi, że większa liczba oblanych kursantów nie przełoży się na wpływy z ich kolejnych egzaminów. Przy sztywnej dziennej liczbie egzaminów przypadających na jednego egzaminatora ośrodki egzaminowania zarabiać będą miesięcznie stałą kwotę bez względu na wyniki egzaminów.

Wiadomo, że taka zmiana wymusi na WORD-ach zwiększenie zatrudnienia egzaminatorów. Średnio przybyć powinny po trzy etaty w ośrodku. W sumie w Polsce będą wakaty dla 150 egzaminatorów.

Dzięki temu niebawem przekonamy się, czy podejrzenia celowego oblewania kursantów w Polsce były prawdziwe. Okaże się, czy po zmianach statystyka zdawalności istotnie różnić się będzie od obecnych ok. 30 proc. pozytywnie zaliczanych podejść.

CZUJNIKI I KAMERA DOZWOLONE

Zmiany w egzaminowaniu zakładają też wiele ułatwień dla kursantów. Ustalenie czasu, jaki egzaminator musi poświecić na jeden egzamin, spowoduje, że kursant będzie mógł przybyć na określoną godzinę. Ludzie nie będą musieli, jak to jest dziś, godzinami oczekiwać na placach na swoją kolej.

Dopuszczalne będzie też niewielkie spóźnienie na egzamin. Kursant nie poniesie konsekwencji finansowych, jeśli pojawi się na egzaminie do 15 minut później niż zaplanowana godzina rozpoczęcia. W dodatku będzie można w końcu poinformować o nieprzybyciu na egzamin za pomocą e-maila. Warunkiem będzie uprzedzenie ośrodka z dwudniowym wyprzedzeniem.

Nowe rozporządzenie rozwiąże też narastający od lat problem coraz bardziej nowoczesnych samochodów, których nie można było używać podczas egzaminów. Chodzi m.in. o systemy wspomagające kierowców, takie jak czujniki parkowania, kamera cofania, lusterka automatycznie opuszczające się podczas cofania czy asystenta ruszania na wzniesieniu.

Do tej pory zdanie egzaminu tak wyposażonym samochodem nie było możliwe. Prawo takiej sytuacji nie dopuszczało. Chociaż więc kursanci mogli zdawać egzaminy w samochodzie należącym do szkoły nauki jazdy, w której się uczyli, to nie zawsze to się udawało – w części samochodów nie da się dezaktywować czujników cofania czy asystenta ruszania na wzniesieniu. Egzamin zdany na takim pojeździe byłby więc nieważny.

Teraz ministerstwo dopuści te technologiczne nowinki. I kursant na egzaminie zaparkuje w zatoce z użyciem kamery cofania. To z pewnością ułatwi manewr.

WCIĄŻ ZA INNYMI

Nie wszystkie zapowiadane zmiany zostały jednak ujęte w rozporządzeniu. Rok temu minister Andrzej Adamczyk mówił, że oprócz przekazania egzaminów na prawo jazdy wojewodom resort chce też umożliwić kursantom ćwiczenie jazdy pod nadzorem osób bliskich, które posiadają prawo jazdy. Po przejściu części kursu w szkole jazdy przyszły kierowca mógłby dopracowywać swoją technikę i wiedzę, jeżdżąc prywatnym samochodem, np. z ojcem czy matką. Warunek miał być jeden – opiekun musiałby posiadać prawo jazdy co najmniej od pięciu lat. Takich zmian prawa nie przygotowano.

Pomysł z rodzicielską nauką budził sprzeciw m.in. instruktorów nauki jazdy. W Polsce mnożono też teoretyczne problemy z odpowiedzialnością prawną. W Wielkiej Brytanii taki system jednak działa. 17-latkowie mogą tam uzyskać tymczasową licencję, która pozwala im uczyć się w trybie rodzinnym i zdobyć prawo jazdy. Szkolący 17-latka w prywatnym samochodzie musi mieć co najmniej 21 lat i prawo jazdy od minimum trzech lat. Trzeba jedynie wykupić dodatkową polisę ubezpieczeniową.

Warto też zauważyć, że – mimo dopuszczenia do zdawania egzaminów na samochodach wyposażonych w systemy wspomagające kierowcę – polski system wciąż nie nadąża za nowymi wyzwaniami. Brytyjczycy już dawno temu zmienili swoje egzaminy i dołożyli do nich element samodzielnej jazdy kursanta. Nie dostaje wskazówek, gdzie skręcić, od egzaminatora, ale musi sam dotrzeć do punktu, korzystając z nawigacji samochodowej.

Polski system wciąż premiuje też raczej technikę jazdy oraz surową znajomość wszystkich zagadnień prawnych. To nie pomaga w poprawie bezpieczeństwa kierowców i innych uczestników ruchu drogowego. Przykładem znów może być brytyjski system, w którym jednym z głównych elementów egzaminu jest zdanie testu percepcji ryzyka (hazard perception test). Podczas niego kursanci oglądają film z przejazdu drogami i muszą naciskać przycisk, gdy zauważają ryzykowną sytuację. Jaką? Na przykład dzieci jadące rowerem po chodniku. Bo wprawdzie nie wolno im nagle zjechać na jezdnię, ale to jednak dzieci i warto wzmóc uwagę. Przycisk należy nacisnąć w odpowiednim momencie – przyciskanie za wcześnie lub za późno zmniejsza liczbę punktów za każde zadanie.

Obowiązkowe trenowanie uwagi na drogach w prosty sposób doprowadzi do wypuszczania na trasy bardziej świadomych zagrożeń kierowców. Dlaczego przy okazji ułatwień w egzaminach nie sprawić, by ludzie je zdający mieli więcej szans na uniknięcie wypadków?

Nowe rozporządzenie Ministerstwa Infrastruktury jest w trakcie konsultacji. Część zapisów obowiązywać ma już od 1 lipca. Inne – np. wymagające dostosowania WORD-ów do nowej pracy – wejdą w życie od stycznia przyszłego roku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

Szmateksy na salonach

FOT. ŁUKASZ SOLSKI/EAST NEWS

Agnieszka Niewińska

Lumpeks, ciucholand? Dzisiaj sklepy z używaną odzieżą częściej określa się mianem „vintage". Otwierane są w atrakcyjnych punktach miast i w centrach handlowych

Wieszaki jeden przy drugim. W jednym rzędzie ubranka dziecięce, w drugim dżinsy, w następnych spódnice, sukienki, bluzki, polary, kurtki. Na półkach parami poustawiane są buty – trampki, szpilki, czółenka, koturny – w zieleni, błękicie, szarości, we wszystkich odcieniach czerwieni. Przy każdym wieszaku lustro, na ścianach duże zdjęcia modeli w różnych kreacjach. Powierzchnia sklepu to na oko jakieś 1 tys. mkw. Ceny? Przystępne, zależą też od dnia tygodnia. Spodnie można upolować za mniej niż 10 zł. Karminowa damska bluzka ze strefy premium, w której znajdziemy znane marki – 15 zł, chociaż w tej sekcji są też suknie, marynarki czy płaszcze w cenie sporo powyżej 100 zł, ale to już casus naprawdę luksusowych marek.

Chociaż to przedpołudnie w środku tygodnia, to pustek nie ma. Kilkanaścioro klientów przeszukuje wieszaki – zarówno fantazyjnie ubrana grupka młodych dziewczyn, mama oczekująca dziecka, jak i para w starszym wieku. Tak wygląda sklep z używaną odzieżą sieci VIVE Profit. Nie ukrywa się w żadnym zaułku czy w nadgryzionej zębem czasu kamienicy – jak stereotypowo myślimy o second-handach – ale znajduje się w kompleksie warszawskiego centrum handlowego Łopuszańska 22.

Sklepy z używaną odzieżą VIVE Profit są obecne zresztą nie tylko w warszawskim centrum handlowym, lecz także w Galerii MM w centrum Poznania, lubelskiej Galerii Gala czy Galerii Załęże w Katowicach. – Centra i parki handlowe, mniejsze galerie w dużych miastach chcą nas u siebie mieć. Nie chodzi jeszcze o te najbardziej eleganckie placówki kategorii A, takie jak na przykład warszawska Arkadia, ale centra kategorii B w dużych miastach już tak. Zabiegają o to, by wśród sklepów znalazł się second-hand, bo przyciąga on do galerii handlowych bardzo dużo klientów. W dniu wymiany towaru na nowy przed naszymi sklepami ustawiają się długie kolejki – mówi Anna Maciejewska, dyrektor sieci VIVE Profit.

Dodaje, że firma rezygnuje z otwierania nowych sklepów poza większymi

eprasa.pl 0f336d80c7

obiektami handlowymi. – Szukamy miejsc, w których są market spożywczy czy parking dla klientów, bo to pozwala im na wygodne zakupy.

MAX MARA W KONTENERZE

Sklepy z odzieżą z drugiej ręki – ciucholandy, szmateksy czy lumpeksy, jak zwykliśmy je nazywać – chętnie przyjmują dziś miano sklepów „vintage" (styl polegający na noszeniu rzeczy z innej epoki albo stylizowanych na inną epokę). Coraz częściej pojawiają się w atrakcyjnych lokalizacjach, zmienił się też ich wygląd. Zamiast ubrań w koszach rzeczy wiszą na wieszakach indywidualnie wycenione. Właściciele zaczęli też dbać o wystrój lokali. Niektóre second-handy zaczynają przypominać te, w których sprzedają odzieżowe sieciówki, inne sprawiają wrażenie elegantszych butików.

Warszawska Wzorcownia Vintage & Fashion Second Hand obecna od dobrych kilku lat w ekskluzywnych lokalizacjach w centrum Warszawy przyciąga ciekawą wystawą, na której wyeksponowano oryginalne sukienki, błyszczące buty czy szale. W środku jest kolorowo, na ścianach wiszą obrazki z modowymi inspiracjami. Ubrania są solidnie odprasowane, dzięki czemu lepiej prezentują się na wieszaku. Znajdziemy tu i rzeczy z sieciówek, i odzież ekskluzywnych marek. Nie są to ubrania za kilka złotych, to sklep dla osób które na zakup odzieży chcą przeznaczyć trochę więcej, co niektórych może dziwić, bo utarło się przekonanie, że second-hand to sklep dla osób mniej zamożnych. – To mit, że w sklepach z używaną odzieżą zakupy robią osoby o mniej zasobnych portfelach. Wystarczy popatrzeć na parkujące przed naszymi sklepami samochody – często bardzo ekskluzywne – mówi Anna Maciejewska.

Zwraca uwagę, że motywacje klientów są bardzo różne. Część z nich wybiera second-hand, bo szuka czegoś oryginalnego, czego nie znajdzie w sieciówce. Inni polują na okazje. – Każdy z nas ma w szafie coś, czego nie nosi, bo na przykład czeka, aż schudnie. Wiele takich ubrań, jeszcze z metkami, ląduje w kontenerach na odzież. Takie rzeczy można potem znaleźć w naszych sklepach – zarówno nowe ubrania z sieciówki H&M, jak i ekskluzywne marki Max Mara za ułamek ceny, którą trzeba by było zapłacić w firmowym sklepie. Popularność sklepów z używaną odzieżą wpisuje się jednak też w inne społeczne trendy. Chętniej wydajemy pieniądze na podróże, jedzenie na mieście czy profesjonalny sprzęt sportowy niż na nowe ubrania. Konsumenci coraz częściej zwracają także uwagę na ekologiczny aspekt zakupów, trendem zaczyna być zero waste (zero odpadów) – tłumaczy Maciejewska.

SZMATY JAK PLASTIKI

Za pośrednictwem mediów, lokalnych aktywistów, organizacji pozarządowych coraz więcej słyszymy o tym, jak nieekologiczna jest odzież, z której dzisiaj korzystamy. Zwłaszcza że już nie kupujemy bluzki czy swetra na lata. Produkty z większości sieciówek nie są w stanie tyle wytrzymać. Ich długość życia obliczona jest na jakieś kilkanaście prań. Zrobione z niskiej jakości materiałów są stosunkowo tanie, dlatego wyrzucamy je i kupujemy nowe.

Z badań, które na zlecenie Procter & Gamble przeprowadzono w maju wśród mieszkańców USA, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Francji, Chin i Kanady, wynika, że jedna trzecia badanych wyrzucała nowo zakupione ubrania już po kilkukrotnym założeniu (mniej niż 10 razy). Mniej niż jedna czwarta nie miała pojęcia o tym, że przemysł modowy plasuje się w czołówce najbardziej szkodliwych branż dla środowiska naturalnego na świecie – zaraz po budownictwie, transporcie i przemyśle spożywczym.

– Nie zdajemy sobie z tego sprawy, ale dzisiaj ubrania produkuje się w dużej mierze z syntetycznych tkanin, do produkcji stosowane są ogromne ilości farb, chemikaliów, nawet w przypadku uchodzącego za ekologiczny bawełnianego podkoszulka. Do tego zużywane są ogromne ilości wody. Wyrzucona na wysypisko odzież stwarza podobny problem co plastik – mówi Katarzyna Salus z fundacji Kupuj Odpowiedzialnie.

Podkreśla, że kupowanie ubrań z drugiej ręki, wszelkiego rodzaju wymienialnie to trend, który należy zaliczyć na plus. – Zmieniło się nastawienie do sklepów z używaną odzieżą. Kupowanie w nich nie jest żadnym obciachem, a okazją do znalezienia czegoś oryginalnego. Coraz popularniejsze robią się wszelkiego rodzaju wymienialnie, do których można przynieść niechciane ubrania z własnej szafy i zamienić je na coś innego. Do fundacji wpływa coraz więcej próśb o rozpowszechnienie informacji o takich inicjatywach – mówi Katarzyna Salus. – Wymieniamy się już nie tylko ubraniami. Na przykład w Krakowie coraz więcej osób wymienia się różnymi rzeczami za pośrednictwem grupy „Kraków się dzieli – Kraków is sharing". Takie grupy powstają też w innych miastach.

Nie brakuje też specjalnych aplikacji do wymiany ciuchów, takich jak Clotify czy globalna Depop.

Katarzyna Salus przyznaje, że najkorzystniej byłoby, gdybyśmy wyrobili w sobie nawyk ograniczania liczby posiadanych ubrań, bo nawet jeśli nie wyrzucamy ubrań na śmietnik, tylko oddajemy je do kontenerów sygnowanych przez organizacje charytatywne, to te, które nie trafią do sklepów z używaną odzieżą i nie zostaną przerobione np. na czyściwo, trafią do Afryki. – Doszło do sytuacji, w której Afryka stała się śmietnikiem dla używanej odzieży. To działa niekorzystnie nie tylko na środowisko, lecz także na ich rodzimy przemysł odzieżowy, który z tego powodu leży – podkreśla Salus. – Dostrzegam jednak, że nasze postawy powoli się zmieniają. Odchodzimy od przekonania, że na każdą imprezę trzeba przyjść w nowej sukience. Nie dziwimy się, gdy ktoś często chodzi w tym samym ubraniu.

16 MIESIĘCY BEZ NOWEGO CIUCHA

Są i tacy, którzy zupełnie zrezygnowali z zakupu ubrań. W maju szerokim echem w sieci odbiła się deklaracja związanej z branżą modową Anny Pięty, która od 16 miesięcy nie kupiła żadnego nowego ciucha. W sieci opisała, jak zmieniło się jej życie. „Mam więcej pieniędzy i czasu na przyjemności, a duże sieciowe sklepy mijam bez żalu, jakby codziennie była niehandlowa niedziela" – napisała.

Zwróciła uwagę na to, że branża modowa nie szanuje środowiska i ludzi, którzy pracują przy produkcji ubrań. Wielu uświadomiła, że do wyprodukowania jednego bawełnianego podkoszulka zużywa się 2,7 tys. litrów pitnej wody. „To równowartość tego, ile jedna osoba potrzebuje na prawie 2,5 roku" – napisała. Zachęcała do tego, żeby przed zakupem sprawdzić, czy czegoś podobnego nie mamy już w szafie, wymieniać się ubraniami, decydować się na rzeczy z drugiego obiegu oraz dołączyć do projektu Slow Fashion Season i przez trzy miesiące nie kupować nowej odzieży.

Czy takie akcje mogą przynieść pozytywny skutek? – Z pewnością jest to sposób na pokazanie sieciówkom, że nie interesują nas nowe kolekcje coraz gorszej jakości odzieży – ocenia Katarzyna Salus.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

Dehnel w krainie zombi

Krzysztof Masłoń

Jeszcze nie przebrzmiały echa aktu apostazji Jacka Dehnela, a już czytam jego dzieło, które wkrótce ukaże się nakładem Wydawnictwa Literackiego

Płacz wielki rozległ się po całym Jeruzalem, bo oto pisarz nasz wielki Jacek Dehnel porzucił Kościół katolicki na znak protestu przeciw Kościoła tego wszeteczeństwom. Powiadomić raczył o tym świat cały za pośrednictwem Facebooka, gdzie wyznał, co następuje:

„Przez całe lata uważałem apostazję za kompletnie zbędną. Zgodnie z moim najgłębszym przekonaniem fakt odprawienia nade mną półrocznym – a zatem nieświadomym i niepytanym o zgodę – jakichś obrzędów, guseł czy zaklęć nie spowodował żadnych skutków rzeczywistych ani też nie sprawił, że zaciągnąłem jakiekolwiek zobowiązania wobec takiej czy innej religii. Odkąd mogłem o tym decydować, nie brałem udziału w religijnych obrzędach, nie uważałem się za członka katolickiej wspólnoty, nie wierzę również w żadne bóstwa, a w szczególności w bóstwa wyznawane przez wiernych kościoła katolickiego, wreszcie w tzw. »naukę« tegoż kościoła. Formalny akt na zasadach kościelnych był dla mnie graniem wedle reguł tej instytucji i budził we mnie niechęć, wystarczyło mi własne poczucie w tej kwestii. Ale czasem zmienia się poglądy. Coś się we mnie – nie, nie pękło może, ale się przesunęło. Rosnąca agresja kościoła katolickiego wobec społeczności LGBT, publiczne wspieranie nacjonalizmu, zaangażowanie w politykę po stronie partii rządzącej, organizowanie propagandowych kampanii kłamstw i oszczerstw, przede wszystkim zaś obrzydliwy, powszechny i systemowy proceder ukrywania gwałtów i molestowania dzieci przez funkcjonariuszy kościoła (w tym biskupów diecezji mojego chrztu i mojego zamieszkania, Głódzia i Nycza), sprawiły, że moje sumienie nakazało mi odciąć jakiekolwiek więzy łączące mnie z tą instytucją, nawet takie, które osobiście uważam za urojone. I muszę podkreślić, że było to zaskakująco miłe i bezproblemowe doświadczenie".

Następnie Dehnel Apostata zrelacjonował, gdzie w ciągu ostatnich dni „skoczył", z kim rozmawiał i o co prosił, by Dehnelem Apostatą się stać. Kto ciekaw, ten niech czyta, ostrzegam jedynie, że relacja rozwlekła. Autor jej podkreśla, że za stosowne zaświadczenie nie zażądano od niego w kościelnych kancelariach ani grosza, o czym pisze z uznaniem, tak jak w ogóle o procedurach towarzyszących aktowi apostazji, który – jakżeby inaczej – poleca wszystkim zainteresowanym.

Łzy mi jeszcze nie obeschły po tym wstrząsającym wydarzeniu, gdy przypomniałem sobie, że oto od kilku dni mam na biurku najnowszą książkę Dehnela Apostaty, nadesłaną mi przez Wydawnictwo Literackie powieść o jakby znajomym

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

tytule „Ale z naszymi umarłymi", która w sprzedaży znajdzie się 19 czerwca. Natychmiast więc rzuciłem się do lektury dzieła, które nie tylko spełniło moje najśmielsze oczekiwania, lecz także przewyższyło je wielokrotnie. Oto wreszcie, pomyślałem po przeczytaniu książki, której – jak się dowiadujemy – nie byłoby, gdyby nie mąż autora, Piotr Tarczyński – pisarz pięciokrotnie nominowany do nagrody Nike, trzykrotnie do Angelusa, a i raz do Nagrody Szymborskiej, uhonorowany zostanie tak, jak na to zasługuje. 1 maja ukończył 39 lat, pora więc już w sam raz, świadomi jesteśmy bowiem, że siejba była w płakaniu, a żywot w weselu. Jak to dalej Piotr Skarga, występujący zresztą w powieści Dehnela Apostaty (któż w niej nie występuje!), kazał: „Płakanie ustało, a żniwu i pożytku końca nie masz. Nędza nasza przeleciała jako strzała, i ptak na powietrzu, śladu jej żadnego i znaku nie masz: a rozkoszy jako morze nieprzebrane trwają". I trwać będą.

DE PROFUNDIS

Nowa książka Dehnela Apostaty wzięła się, jako się rzekło, z pomysłu Tarczyńskiego, który w 2011 r. napisał recenzję z nieistniejącego filmu „Do Europy tak, ale z naszymi umarłymi". Panowie następnie wspólnie rozwijali ten pomysł, chcieli przerobić go na serial, ale ostatecznie – czytamy – „okazało się, że wizje Piotra i moje są nieco rozbieżne", w związku z tym Dehnel Apostata sam dzieło sprokurował. Za to w zeszłym roku wyszedł w Londynie za mąż za swego partnera.

„Przez te lata jednak to, co jest zasadniczym tematem opowieści – czytamy dalej – czyli stopniowy wzrost nacjonalizmu, jego epidemiczne narastanie, normalizacja języka przemocy i chorych fantazji, zaczęło się materializować na naszych oczach". Wrzód narastał, aż pękł, i narodził się Dehnel Apostata, który z apostazją swoją czekał – ot, traf jaki – na premierę dzieła. I doczekał się, a my wraz z nim.

Dzieło poprzedzają aż trzy motta, którym należy się uwaga specjalna. Pierwsze to, oczywiście, sławne zdanie Marii Janion: „Do Europy – tak, ale razem z naszymi umarłymi", którym nestorka naszej humanistyki zatytułowała swą książkę z roku 2000, o dziwo – w większym stopniu poświęconą problematyce judaistycznej niż polskiej. Drugie motto to fragment „Pieśni konfederatów barskich" z „Księdza Marka" Juliusza Słowackiego:

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
I spać pójdziemy w wiosennej zorzy.
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
I hufiec Boży.
Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju werbowanie,
Ten de profundis z ciemnego kurhanu
Na trąbę wstanie.

Trzecie motto jest najciekawsze, a zapożyczone zostało od Jarosława Marka Rymkiewicza. Tak oto wygląda:

Słowacki uważał, że ludzkość, cała ludzkość,
żeby się przemielić, musi się wprzód spolszczyć.
Polskość była dla niego przedostatnim stopniem
drabiny wiodącej ku anielstwu.
Przewidywał – więcej, był pewien –
że cała ziemia będzie kiedyś polska, będzie Polską.
Nie wiem, czy tak się stanie, czy nam się to uda.
Nie nam zresztą ma się to udać, lecz ludzkości.
A ludzkość się opiera, wzbrania, chyba nie chce.
Myślę jednak często o tej chwili, którą przepowiadał,
którą umieszczał w niezbyt dalekiej przyszłości:
kiedy Goethego będzie się tłumaczyć dla Niemców na polski,
kiedy Byrona będzie się tłumaczyć dla Anglików na polski.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ
„Juliusz Słowacki pyta o godzinę"

Wbrew temu, co pomyśli czytelnik, powyższy tekst nie jest wierszem ani jego fragmentem, lecz ustępem historycznoliterackiej książki eseistycznej, mającej od roku 1982 trzy wydania. Ustęp ten jest urwany, a ma on ciąg dalszy: „Kim będzie wtedy Słowacki? Będzie czytany przez wszystkich, w języku, który będzie językiem wszystkich. Będzie jednym z największych, może największym poetą – i nie poetą, lecz prorokiem – ludzkości. Jaki będzie wtedy sens jego dzieła? Więc i o to – choć może brzmi to śmiesznie – także pytam, o tak pojęty sens absolutny. Ale nie brzmi to śmiesznie. Pytam po prostu, co to dzieło może znaczyć dla każdego, kto je kiedykolwiek będzie czytał. Teraz możemy już rozważyć racje komentatorów, którzy twierdzili, że myśl Słowackiego jest absolutnie niedorzeczna".

Apostata Dehnel tak właśnie uważa i ma do tego święte (przepraszam za wyrażenie) prawo. W końcu może sądzić, że rozmowa między nami a naszymi Wielkimi Duchami nie jest mu do niczego potrzebna. Podobnie jak Kościół, jak Polska i parę innych drobiazgów. Zastanawiam się jedynie, po co sobie zadał tyle trudu, by fragmencik prozy poukładać w wersy imitujące wiersz? Przecież myśl taka, że przy okazji chciał ośmieszyć współczesnego poetę, wydaje się niedorzeczna. Nieprawdaż?

SMUTNYCH PÓŁ – RYCERZY – ŻYWYCH

Pora jednak zająć się wreszcie samą powieścią, w której para młodych, „względnie atrakcyjnych" gejów zmaga się z obmierzłą polską rzeczywistością, w której rozgrywają się absolutnie nieprzewidywalne wydarzenia. Oto słowo ciałem się staje, a umarli rozbijają trumny i jako zombi (szybko przemianowani zostaną na lepiej brzmiących „antenatów") przemierzają Polskę. No cóż, Słowacki w „Grobie Agamemnona" pisał:

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów;

eprasa.pl 0f336d80c7

Bo jestem z kraju smutnego ilotów,
Z kraju – gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju – gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych,
Zostaje smutnych pół – rycerzy – żywych.

Jeden z pary kochających inaczej pracuje w TVP (że też nie odszedł na znak protestu przeciw rozlewającej się fali nacjonalizmu!), drugi „Pyszczek" rzekomo pisze w domu doktorat, co jednak nie jest do końca ścisłe. W każdym razie na pewno zdradza drugiego „Pyszczka", pod jego nieobecność, z prześlicznym Szymusiem. Prymitywni sąsiedzi na ich widok albo spluwają, albo pieczętują ich drzwi wlepkami w rodzaju: „Pierdolone lesby, geje, cała Polska z was się śmieje" czy – w najlepszym razie – „Zakaz pedałowania". Z czasem okaże się jednak, że nie są oni wcale najgorsi, zaprzyjaźnią się z „Pyszczkami", a nawet stworzą wspólny front obrony (słabej, bo słabej) przed przerażającą cywilizacją zombi, którzy błyskawicznie opanowali nie tylko nasz piękny kraj, całkowicie go demolując, lecz także świat cały, przemieniając go w jedną wielką Polskę. Co powoduje, że normalni ludzie nie mają już nawet gdzie uciec.

A Tomkowi, jednemu z „Pyszczków", śliczniutki Szymuś nagle staje okoniem:

„– Z Polski? Bo co? Bo ci się nie podoba?

– Czy zombi mi się nie podobają? Serio pytasz? – Tomek aż usiadł w łóżku. Tak, bardzo mi się nie podobają. Tak, boję się ich, tak, zagryźli mi sąsiadów i mnie też mogą zagryźć…

– Nic ci nie…

– … więc tak, nie podobają mi się zombi, nie podoba mi się Polska i chcę z niej wyjechać.

– Wyjechać? Jak tchórz, jak szczur? – Szymuś zeskoczył z parapetu, pstryknąwszy niedopalonym papierosem za okno. – W tym szczególnym momencie narodowej dumy chcesz uciekać?

– Czy ty siebie w ogóle słyszysz? »W szczególnym momencie narodowej dumy«? Skąd ty to w ogóle wziąłeś, z banku frazesów?

Szymuś popatrzył na niego spod ściśniętych brwi.

– Z polszczyzny. Nie podoba się? To niech się nie podoba. – Ruszył do przedpokoju, w biegu porwał kartkę z oparcia krzesła i zanim trzasnął drzwiami, krzyknął jeszcze na odchodnym:

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

– Nigdzie nie wyjedziesz z Polski. Polska jest teraz wszędzie!".

NIESYMPATYCZNA MADONNA

Sytuacja, istotnie, wydaje się fatalna, choć czymś zawsze można się pocieszać. A chociażby tym, że dług Polski został całkowicie spłacony na skutek braku wierzycieli. Skoro bowiem wszyscy już jesteśmy Polakami…

Jak do tego doszło? Nie będę streszczał książki, powiem tylko, że król Jan III Sobieski z hetmanem Żółkiewskim podążyli na Turcję, Chodkiewicz na Szwecję, Jagiełło z Berlingiem (sic!) i Chrobrym na Niemcy, Bortnowski na Czechy, król Stefan Batory samotrzeć z Kościuszką i Piłsudskim („po drodze zajął Wilno, bo zależało mu, żeby odebrać serce z rąk czekającej nań matki") na Rosję, a gen. Anders rozkrzewił polskość na całym Półwyspie Apenińskim. Jeśli chodzi o oddziały Romana Dmowskiego, to te – oczywiście – skierowały się w stronę Izraela.

Do czasu mogło się wydawać, że ucieczkę znaleźć można na Jasnej Górze, gdyż zombi sprawiali wrażenie czułych na oddziaływanie częstochowskiej Madonny, ale gdzież tam! Święty obraz też staje się jakby mniej święty, a nawet w ogóle nieświęty: „– Mnie to się zdaje, prawdę mówiąc – powiedziała któregoś dnia Lola – że ona to w ogóle jakaś taka niesympatyczna jest, ta Częstochowska […]. Usta takie małe, wąskie, zaciśnięte, w dół. Jak człowiek ma na stałe takie usta w dół ściągnięte, to niezbyt dobrze o nim świadczy, coś o tym wiem, mąż takie miał. Nos taki długi. Nosa, wiadomo, się nie wybiera, nie jej wina. Ja na przykład mam zadarty, wolałabym prosty. Ale nos to nie charakter. Za to oczy!

– Co z oczami? – Też zaczął się badawczo przyglądać ikonie.

– Tak się patrzy spod przymrużonych powiek, oceniająco. Żadnego uśmiechu. Ani w ustach, ani w oczach. […] zero pozytywnych emocji. Nic dziwnego, że ludzie myślą, że to Polka". No i wszystko jasne.

W obcych krajach nasi polscy „antenaci" gryźli wszystkich, którzy się ruszali, przeobrażając ich w kolejne zombi i, jakżeby inaczej, w Polaków. Gorzej, że ci zombi, którzy pozostali w kraju, niech będzie, że maruderzy, zaczęli atakować i gryźć (bywało, że i zagryzać) rodaków. Wtedy minister

eprasa.pl 0f336d80c7

obrony narodowej przypomniał sobie o swych obowiązkach i wydał rozkaz strzelania do agresywnych osobników, co spotkało się z krytyką autorytetów, doszukujących się w tym rozkazie dawnych standardów białoruskich oraz oznak cywilizacji śmierci.

JACEK DEHNEL „ALE Z NASZYMI UMARŁYMI" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2019

POKŁADAMY NADZIEJĘ...

Oczywiście autorytety takie okupują studia telewizyjne, gdzie brylują politycy tak bezbarwni, że nie wiadomo, czy przypisać ich do koalicji rządzącej czy opozycji, biskupi, wreszcie „obfity dziennikarz znany w telewizji jako Harkonnen, przelewający się przez fotel ofałdowaniem swego ciała". Inni dziennikarze są, jak jeden mąż, niegramotni, co nie przeszkadza im przedstawiać ekspansji zombi jako sukcesu rządu. Bezkonkurencyjny jest prezydent, deklamujący, na tle flag Polski, Unii Europejskiej, NATO i ONZ, „z właściwym sobie głupawym uśmieszkiem cwaniaczka z remizy": „Władze Rzeczypospolitej Polskiej traktują zaistniałą sytuację jako problem z pogranicza nielegalnej emigracji i metafizyki".

Najwięcej jednak uwagi autor „Ale z naszymi umarłymi" poświęcił Kościołowi katolickiemu, od czasu apostazji pisanemu przez niego od małej litery. Otóż biskupi polscy przede wszystkim przestrzegli przed przyjmowaniem, że znaleźliśmy się w czasach ostatecznych, opisanych w Apokalipsie św. Jana. Kościół zadbał też o utrzymanie status quo obecnych hierarchów (na przekór aspiracjom powstałych ze zmarłych takich np. arcybiskupów jak Mikołaj Trąba i August Hlond) oraz prawa do zajmowania rezydencji i dóbr należących do zmarłych, jeśli weszły one w stan posiadania diecezji. „Oprócz tego zalecili modlitwę i ubogacenie się duchowe poprzez kontemplację cudownych znaków dawanych nam przez Miłującego Ojca".

„– A zauważyłeś – serwuje nam Dehnel Apostata następujący dialog – że oni inaczej mówią? Mówią teraz: »nasi bracia zmartwychwstali. Otaczamy szczególną modlitwą naszych drogich braci zmartwychwstałych. Już nie ma to tamto, po bandzie jadą. Że szczególna chwila w dziejach polskiego narodu...«.

– Na pewno powiedzieli »wielkiego polskiego narodu«. Zawsze mówią sztucznym językiem, to jest jak klocuszki, można by zrobić generator internetowy: pokładamy nadzieję...

– Pokładamy szczególną nadzieję...

– Dobra, szczególną. Pokładamy szczególną nadzieję w miłosierdziu Pana...

– ... naszego Pana, Jezusa Chrystusa...

– ... który w swojej mądrości i łaskawości postanowił zwrócić nam naszych umiłowanych przodków.

– Nie do końca. Inaczej bym to powiedziała. »Który w swojej...«, jak tam miałeś?

– W swojej mądrości i łaskawości postanowił...

– Nie, nie. Który w swojej bezgranicznej mądrości obdarzył nas łaską powrotu naszych umiłowanych przodków. Widzisz? Z nas dwojga można by złożyć jednego całego biskupa".

A z Dehnela Apostaty wspomożonego przez, dajmy na to, Joannę Bator i Olgę Tokarczuk z Manuelą Gretkowską na dokładkę dałoby się sklecić wzorcowego pisarza Polski przez PiS okupowanej. Z szansami na Nobla.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

10 ANNIVERSARY
IL VOLO
Musica TOUR
KONCERT
14 WRZEŚNIA 2019
ARENA GLIWICE
BILETY: PRESTIGEMJM.COM
IL VOLO WEBSITE: ILVOLOMUSIC.COM FB: /ILVOLOMUSIC INSTAGRAM: / @ILVOLOMUSIC
OPERA BLUES management

Prestige MJM · Gliwice · Arena Gliwice · Dziennik Zachodni · wprost · Do Rzeczy · WP · naszemiasto.pl · STRÖER · Press Service · Vixon · pap · TVS · TV Toruń · Grupa Medialna · proart · ETV

eprasa.pl 0f336d80c7

Ekspresja włókna i kamienia

Joanna Bojańczyk

Doceniona na Zachodzie, w Polsce pozostała poza głównym nurtem sztuki. Prace zmarłej dwa lata temu Magdaleny Abakanowicz przypomina wystawa w Muzeum Sztuki Zdobniczej w Rydze

Magdalena Abakanowicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dwie spracowane, niemłode dłonie skrzyżowane na szorstkiej tkaninie. Na palcu obrączka i sygnet. „Portret psychologiczny Magdaleny Abakanowicz" – ta fotografia Jarosława Pijarowskiego mogłaby być godłem polskiej rzeźbiarki, symbolem jej życia i robotniczej pracy artystycznej.

Z pozoru sławna, ale szybko po śmierci w 2017 r. zapomniana funkcjonuje gdzieś na marginesach powszechnej świadomości. Co o niej wiemy? Które jej prace znamy? Abakany, wielkie, kosmate tkaniny udrapowane w przestrzeni. Tyle. I to gdzieś na zagranicznej wystawie, w Nowym Jorku, Londynie, bo Abakanowicz to nasz popisowy towar eksportowy.

Miała ponad 200 wystaw w Polsce i za granicą. Od Norwegii do Australii, od Japonii do Izraela. Jej dzieła znajdują się w setkach kolekcji i muzeów na całym świecie. Monumentalne rzeźby stały się domeną przestrzeni publicznych, muzeów, instytucji, banków.

Kilka lat temu, przechodząc przez bankową dzielnicę Wall Street, natknęłam się na stojący w holu jednego z biurowców rząd figur. Burobrązowe postacie ludzkie, identyczne, pozbawione głów, wykonane z żywicy i pokryte workowatą jutą stały nieruchome, uchwycone jakby w niemym, monotonnym pochodzie. Uderzały smutkiem, ale miały też coś ludzkiego, zwłaszcza w zderzeniu z bezosobową, zimną szklano-metalową przestrzenią wieżowca. To było wzruszające.

Abakanowicz była i jest obecna na Zachodzie. Dobrze się stało, że Instytut Adama Mickiewicza pokazał ją także na Łotwie. Na wernisaż wystawy w Muzeum Sztuki Zdobniczej w Rydze przyszedł tłum. Ryski świat kulturalny, inteligencja, także starszego pokolenia, która, sądząc po zainteresowaniach, zachowaniach i wyglądzie, nie poddała się sowietyzacji. Piętnaście prac – tkanin i rzeźb – zaprezentowano w imponującej przestrzeni zburzonego po wojnie, zdesakralizowanego gotyckiego kościoła św. Piotra.

ABAKAN TO NIE KILIM

Abakanowicz należy do pokolenia, dla którego czas przedwojenny był już tylko przebłyskiem szczęśliwego dzieciństwa. Urodziła się w 1930 r. w rodzinie ziemiańskiej, w majątku w podwarszawskiej wsi Falenty. Ojciec miał korzenie tatarsko-rosyjsko-polskie i chlubił się pochodzeniem od mongolskiego wojownika Abak-chana, prawnuka Czyngis-chana.

Potem były wojna, okupacja. Tułali się. Matka postrzelona przez niemieckiego żołnierza straciła prawą rękę. W roku 1944 po wejściu Armii Czerwonej Abakanowiczowie, ograbieni z majątku wskutek nacjonalizacji, przenieśli się do Tczewa niedaleko Gdańska. Trzeba było zacząć funkcjonować w komunistycznej rzeczywistości.

Edukację artystyczną Magdalena odbywała na warszawskiej ASP w najbardziej opresyjnych stalinowskich czasach, gdy sztukę próbowano poddać doktrynalnym instrukcjom realizmu socjalistycznego. Jednak to na akademii nauczyła się tkactwa, techniki, która przeżywała wtedy w Polsce szczyt popularności, a w której ona czuła się najlepiej. Zarabiając na życie, projektowała gwasze dla przemysłu jedwabniczego. I zaczęła tworzyć w miękkich, plastycznych, dających się farbować włóknach.

Prace wystawione na Międzynarodowym Biennale Tkaniny w Lozannie w roku 1962 były pierwszym sukcesem 32-letniej artystki. Po tej wystawie udało się jej wyjechać na parę miesięcy do Francji, rzecz wtedy, za czasów Gomułki, bardzo trudna do zrealizowania. Wcześniej, w roku 1957,

eprasa.pl 0f336d80c7

odbyła krótką podróż do Włoch, ale Lozanna była pierwszym poważnym wyjściem poza żelazną kurtynę, wyrwaniem się z izolacji, którą stwarzał ówczesny podział Europy. Karierę na światowej scenie sztuki miał zapewnić jej złoty medal w São Paulo.

Szukała formy ekspresji. Nie przemawiało do niej ani tradycyjne malarstwo, które oglądała w rodzinnym domu, ani tym bardziej socrealizm, który próbowała wbić do głowy oficjalna propaganda. Zaczęła używać sizalu – taniego włókna, które pozwalało na rzeźbiarskie kształtowanie przestrzeni. Można je było nawarstwiać, strzępić, wiązać, kleić, łatwo przyjmowało barwniki, dobrze się układało. Te dzieła, które publiczność nazwała abakanami, zaprzeczyły dotychczasowej tradycji tkaniny dekoracyjnej, płaskiej jak kilim czy gobelin. Po pierwsze: ich dekoracyjność nie była tradycyjną ozdobnością. Po drugie: były przestrzenne, pozwalały się kształtować, tworzyły trójwymiarowe kształty. Czerwone, żółte, czarne.

Clitorisy, waginy – mówili krytycy. I od razu przyklejono Abakanowicz etykietkę feministki. „Wskazała na waginę jako na nadrzędną wartość – centrum, wokół którego obraca się życie. Znacznie wcześniej niż zadeklarowane artystki feministki jak Louise Bourgeois czy Judy Chicago. Za wcześnie. Szczególnie w gomułkowskiej Polsce" – napisała w katalogu do wystawy Anda Rottenberg.

NIE JESTEM FEMINISTKĄ

Ona sama odżegnywała się od zaszufladkowania. Można jednak powiedzieć, że była artystką typowo współczesną, także we współczesnym rozumieniu słowa „feministka": twardą, męską, bezwzględną. Bezdzietna, niezależna, postawiła na karierę, ostro negocjowała ceny swoich dzieł.

Chciała, żeby uznawano ją za rzeźbiarkę, nie za tradycyjną kobiecą „włókniarkę" pracującą przy krosnach. „Nie jestem tkaczką" – deklarowała wielokrotnie.

W latach 60. tkaniny nie traktowano poważnie, była uważana za część sztuki dekoracyjnej. Tak było jeszcze całkiem do niedawna. – Nowojorskie Muzeum Sztuki Nowoczesnej MOMA przez 40 lat trzymało żółty abakan w magazynie – powiedziała w Rydze krytyk sztuki Milada Ślizińska. Wystawiono go dopiero niedawno. A jednak to abakany zapewniły Magdalenie Abakanowicz sukces. Po wystawach w Lozannie i São Paulo zauważyły ją i doceniły muzea, jej dzieła zaczęli kupować prywatni kolekcjonerzy. Niektórzy krytycy są zdania, że przyjaźń z Emilie Benes Brzezinski, także rzeźbiarką, żoną Zbigniewa Brzezińskiego, doradcy amerykańskiego prezydenta Jimmy'ego Cartera, otworzyła wiele drzwi na Zachodzie.

Jednak po 10 latach abakanów artystka porzuciła temat. „Abakany przyniosły mi sławę światową, ale obciążyły, bo uprawianie tkactwa zamyka drzwi do świata sztuki" – powiedziała. Następny etap w jej sztuce wyznaczyła rzeźba. Najpierw postacie: „Alteracje", „Tłumy", „Hurmy". Wśród nich te, które widziałam w Nowym Jorku. Obojnakie, bezcielesne, pozbawione wyrazu, formowane z żywicy pokrytej jutą (Abakanowicz była hurtowym odbiorcą żywicy w Ciechu). Niektóre pozbawione głów, inne z jakby zwierzęcymi głowami. Stoją jak na paradzie czy apelu. Szary tłum. Co wyrażają: anonimowy tłum, przerażenie masą ludzką, przemijanie, śmierć? Jakkolwiek to interpretować, powtarzalność uczyniła Abakanowicz swoim znakiem firmowym.

„Walking Figures", grupa figur powstałych w latach 2004–2006, wystawiana była w Nowym Jorku i na biennale w Vancouver. Postacie są niemal identycznych kształtów, różnią się tylko detalami. Mają ponad dwa metry wysokości, każda waży 650 kg. Odlano je z brązu w pracowni pod Poznaniem, pokrywa je chropowata faktura podobna do kory drzewa.

Nie tylko postacie ludzkie. Skalę wyobraźni i możliwości artystki pokazują betonowe rzeźby dla Parku Europy niedaleko Wilna na Litwie, jakby wielkie zmurszałe jaja, „Mutanty" z Orońska – zwierzęce sylwetki przypominające koniosłonie – czy kamiennopodobna „Embriologia" z kolekcji Muzeum Narodowego we Wrocławiu.

Czy jej pozycja odpowiadała dokonaniom? – Abakanowicz, niby światowa, pozostawała jakby poza nurtem sztuki w Polsce – mówi krytyk sztuki Andrzej Biernacki. Zwalczała ją grupa Raster, która w swoim manifeście uznawała jej sztukę za emocjonalną, pozbawioną ładunku intelektualnego. „Najpierw pomyśl, potem zrób" – to było credo rastrowców.

„W nowym tysiącleciu warto pokusić się o podstawowe przewartościowania, a tu nic, stoją te worki rozkraczone i stoją, ludzi straszą" – pisali rastrowcy w grudniu 2001 r., gdy otwarto międzynarodową kolekcję sztuki współczesnej w Zamku Ujazdowskim. Pochopny sąd nie sprzyja rozsądkowi. „Najpierw pomyśl, potem zrób" – warto Rastrowi przypomnieć jego własne słowa. Abakanowicz to dziś klasyka.

Instalacja „Agora" w Chicago FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Tur" z kolekcji Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku FOT. MATERIAŁY PRASOWE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa w Muzeum Sztuki Zdobniczej w Rydze czynna będzie do 30 czerwca.

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Nie jestem zdrajczynią!

Minęły czasy, gdy kablowanie było powodem do wstydu. Dzisiaj słowo „szpicel" brzmi dumnie. Najinteligentniejsi mężczyźni idą do wywiadu, zaś agentki to dziewczyny z klasą: jedną ręką kładą pokotem oddział komandosów, drugą cerują kieckę od Chanel uszkodzoną w trakcie poprzedniej misji. Szpieg w smokingu wygląda lepiej niż ambasador, zaś obnażony zawstydza greckich bogów muskulaturą i rozmiarem przyrodzenia.

Żaden inny zawód nie ma tak dobrego PR. Bliski jest dzień, gdy na najbardziej prestiżowych uczelniach zacznie być wykładany nowy przedmiot: etyka agentury. Oby przy tej okazji przypomniano dokonania polskich tajniaków, kierujących się – jak wiemy – pobudkami czysto patriotycznymi. Obawiam się jednak, że bliższa koszula ciału i zamiast przypadku płk. Kuklińskiego naukowcy z Oksfordu będą woleli roztrząsać chwalebne aspekty działalności „piątki z Cambridge" oraz Melity Norwood.

Ta ostatnia, sekretarka jednego z szefów firmy projektującej brytyjską broń nuklearną, oddała nieocenione usługi Sowietom. Zdemaskowano ją, gdy była już staruszką stojącą nad grobem. Filmowcy przechrzcili agentkę na Joan Stanley i mocno podrasowali jej biografię. Norwood była fanatyczną komunistką. Szpiegowała bite 30 lat, jak z dumą twierdziła, nie dla pieniędzy, lecz z pobudek ideowych.

Panna Stanley jest natomiast ofiarą fatalnego zauroczenia. Złotousty Leo, działacz Kominternu, który chce budować nową cywilizację na zgliszczach starej, tłumaczy, że Sowieci jako sojusznik aliantów zachodnich powinni znać ich sekrety. Joan się waha, bo kocha ojczyznę. Ostatecznie przekona ją tragedia Hiroszimy. Jeśli każde mocarstwo będzie dysponować superbombą, to nikt nie odważy się rozpętać nowej wojny. Logiczne, prawda?

Mamy też wątek feministyczny. Panna Stanley wie o fizyce więcej, niż powinna, lecz jest z powodu płci lekceważona. Gdy prawda wyjdzie na jaw, syn będzie załamany zaprzaństwem Joan. W końcu jednak dojdzie do wniosku, że pomagając masowemu mordercy Stalinowi, mama ratowała świat. Widzowie też mają uwierzyć, że dzięki zdradzie sekretarki mogli się cieszyć najdłuższym w dziejach Europy okresem pokoju i uniknęliśmy nuklearnej zagłady. Zresztą czasy były takie, że albo byłeś po stronie faszystów, albo komunistów. Tertium non datur.

Twórcy filmu, ocieplając wizerunek „ostatniego agenta zimnej wojny", otarli się o granicę śmieszności, lecz z pewnością zapunktowali u szefów tajnych służb. Łatwiej będzie werbować informatorów, jeśli przekonanie, że szpiedzy są sympatycznymi idealistami walczącymi o lepszy świat, stanie się powszechne. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. TREVOR NUNN
„TAJEMNICE JOAN" („RED JOAN")
WIELKA BRYTANIA 2018

wyst. Judi Dench, Sophie Cookson, Stephen Campbell Moore, Tom Hughes

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „GODZILLA II: KRÓL POTWORÓW"

Dekady mijają, a Godzilla pozostaje. Ciąg dalszy wskrzeszania japońskiego monstrum za amerykańskie pieniądze przyniósł w weekend debiutu w USA ok. 50 mln dol. wpływu oraz przywrócił galerię potworów z filmów wytwórni Toho. Mothra, Rodan, Ghidorah nigdy nie wyglądały tak spektakularnie. Film Dougherty'ego to też podprowadzenie do spodziewanego w przyszłym roku filmu „Godzilla kontra King Kong". ©℗

Piotr Gociek

- ***„Godzilla II: Król potworów", reż. Michael Dougherty, wyst. Kyle Chandler, Vera Farmiga, Millie Bobby Brown, USA 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Men in Black: International", reż. F. Gary Gray, USA 2019***
- ***„Krew Boga", reż. Bartosz Konopka, Polska/Irlandia 2018***
- ***„Tajemnice Joan", reż. Trevor Nunn, Wielka Brytania 2018***
- ***„Agent Kot", reż. Christoph Lauenstein, Niemcy/Belgia 2018***

eprasa.pl 0f336d80c7

W łóżku z pasierbem

Są filmy, które wbijają się w pamięć jak drzazga pod paznokieć. Obawiam się, że „Królowa Kier" do nich należy.

Rezydencja na skraju lasu. Gospodarz jest lekarzem, jego żona adwokatem, specjalizującym się w pomaganiu nieletnim ofiarom przemocy. Razem wychowują dwie córki. Rutynę zakłóca pojawienie się syna Petera z pierwszego małżeństwa. Chłopak sprawia problemy wychowawcze i zanim ojciec znajdzie z nim wspólny język, dojdzie do katastrofy. Anne, która zanadto angażuje się w sprawy swoich podopiecznych, zechce być dla Gustava kimś więcej niż tylko macochą.

„Czasem dzieją się rzeczy, które dziać się nie powinny" – tłumaczy się tytułowa Królowa.

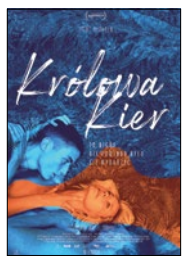

★★★★★☆

REŻ. MAY EL-TOUKHY
„KRÓLOWA KIER" („DRONNINGEN")
DANIA/SZWECJA 2019

wyst. Trine Dyrholm, Gustav Lindh, Magnus Krepper

W Skandynawii to żaden argument. Pięć wieków protestanckiej pedagogiki zrobiło swoje, wyrozumiałość jest tu towarem deficytowym. Można uniknąć ziemskiego sądu, lecz poczucie winy i wyrzuty sumienia prześladować będą grzesznika po kres jego dni. Aż nadto realistyczne sceny łóżkowe służą temu samemu celowi: wyrwaniu widza z błogostanu, w który wprawia go współczesna eskapistyczna popkultura.

„Królowa Kier" idzie pod prąd także w innej kwestii. Z mediów wylewają się ostatnio hektolitry łez kobiet skrzywdzonych przez „seksualnych drapieżników". A panie nigdy nie wyprawiają się na łowy? Kto tak sądzi, też grzeszy – naiwnością. ©℗

Wiesław Chełminiak

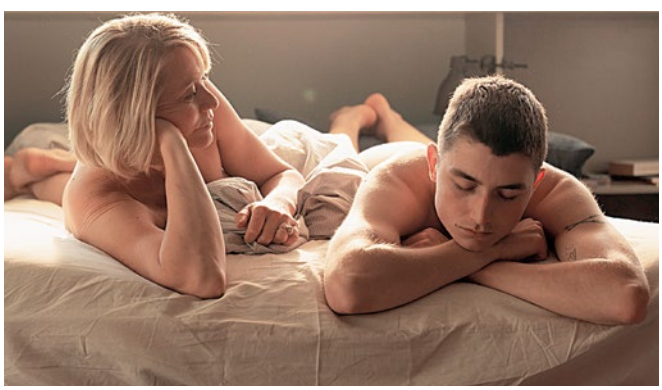

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DLA FÜHRERA NA WIECZNOŚĆ

Chociaż „Operacja Overlord" ma przyzwoity budżet (40 mln dol.), to jest filmem ostentacyjnie B-klasowym. Niedobitki alianckiego oddziału spadochroniarzy lądują na francuskiej prowincji tuż przed desantem aliantów w Normandii. Cel – wieża miejscowego kościoła, w której mieszczą się elementy kluczowe dla niemieckiego systemu obrony przeciwlotniczej. Jeśli nie zostanie wysadzona, to samoloty chroniące żołnierzy podczas inwazji zostaną zdziesiątkowane. Okazuje się jednak, że małe miasteczko kryje o wiele straszniejszą tajemnicę. Nazistowscy naukowcy wskrzeszają trupy, próbując wyhodować „tysiącletniego żołnierza dla tysiącletniej Rzeszy", cytując jednego z niemieckich oficerów. „Historyczność" scenerii jest mocno umowna, rozmaite motywy wypożyczone z tandetnych komiksów gore, o dziwo, da się jednak ten koktajl oglądać, o ile ktoś lubi rozrywkę w stylu „Re-animatora" albo podobały mu się inne filmy nazi exploitation (poczynając od „Zombie SS").

★★★☆☆☆

REŻ. JULIUS AVERY
„OPERACJA OVERLORD" („OVERLORD")
USA 2018, DYSTR. IMPERIAL

wyst. Jovan Adepo, Wyatt Russell, Mathilde Ollivier

ŻÓŁTY KUMPEL Z KOSMOSU

Weź pomysł z „E.T.", dopraw tęsknotą za latami 80. (piosenki wykorzystane w filmie mogłyby być jedną z części wielopłytowej składanki „the best of" tej dekady), podkradnij co nieco od innych naśladowców („Monsters Trucks") i osadź to wszystko w świecie popularnej franczyzy filmowej inspirowanej zabawkami Transformers. Tak ulepiono film „Bumblebee", opowieść o tym, skąd wziął się na Ziemi sympatyczny żółty robot z Kosmosu i co robił, zanim jego przyjacielem został Shia LaBeouf. Zatem prequel i zarazem „origin story", jak mawiają Amerykanie. Pobieżny, umiarkowanie wciągający, mało oryginalny, ale z jednym skarbem. Hailee Steinfeld w roli głównej (zbuntowanej dziewczyny imieniem Charlie, która zaopiekuje się transformerem udającym volkswagena garbusa, a nie chevroleta camaro) przerasta wszystko i wszystkich w „Bumblebee". Godna jest lepszych scenariuszy. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★☆☆☆☆

REŻ. TRAVIS KNIGHT
„BUMBLEBEE"
USA 2018, DYSTR. IMPERIAL

wyst. Hailee Steinfeld, Jorge Lendeborg Jr., John Cena

GRA TYGODNIA: „TOTAL WAR: THREE KINGDOMS"

Epoka Trzech Królestw (II w. n.e.) to jeden z najpopularniejszych okresów historycznych we współczesnych Chinach. Choćby z tego powodu twórcy 12. części serii „Total War", szukając ekspansji na rynki wschodnie, postanowili sięgnąć po nieeksploatowane do tej pory region i armie. Nie tylko pod względem sprzedażowym, lecz także merytorycznym okazało się to strzałem w dziesiątkę. „Three Kingdoms" to bardzo dobre odświeżenie „Total War", które większy nacisk kładzie na budowanie relacji dowódców, spiski i fabularyzację kampanii. Świetna grafika, wyrównane bitwy, wciągająca historia. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

- ***Gatunek:*** *Strategia*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Creative Assembly/Cenega*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 0f336d80c7

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Liryczna kartoflanka

Młynarski liryczny? Ten mistrz satyry politycznej i społecznej daleki był od wszelkich rozpoetyzowań. Jego teksty różniły się, i to zdecydowanie, od tych, które wychodziły spod piór Agnieszki Osieckiej i Jonasza Kofty, o którym mawiał – „czegokolwiek się tknął, wychodziło pięknie, nie muszę wymieniać tytułów w rodzaju »Jej portret«. Zazdrościłem mu daru poetyckiego, ale uważam, że człowiek się z tym po prostu rodzi".

Jednakże zdarzało mu się rzucić gdzieś mimochodem zdanie, że takich miłości jak te opiewane przez poetów piosenki w życiu się nie spotyka, takie zaś, o jakich traktuje „Polska miłość" – i owszem. Było oczywiste, że tom jego lirycznych tekstów (obruszyłby się, gdybym napisał w tym miejscu – „wierszy"), wydany właśnie nakładem Prószyńskiego z błogosławieństwem Fundacji im. Wojciecha Młynarskiego, zatytułowany zostanie właśnie „Polska miłość". Któż nie pamięta tych słów:

Bywa, że kuchennymi schodami
z dzieckiem ucieknie do mamy,
znienawidzi, na śmierć się pokłóci,
z pazurami do oczu się rzuci...
Czasem straci ostatnią nadzieję,
fotografię twą podrze – i sklei,
będzie włóczyć się po adwokatach,
czyjeś wiersze odnajdzie po latach...

No tak, w jego tekstach – jak pisze we wstępie do książki Artur Andrus – „zakochanym nie kwitną jakieś ekskluzywne kwiaty, ale maciejka i czosnek. No dobrze, jeszcze jaśmin pojawia się w kilku utworach. Słowa rozstania zapisywane są na kwicie z chemicznej pralni (»Odchodzę, odbierz sama...«). A symbolem gorącego uczucia może być jedzona wspólnie kartoflanka".

Niezwykłość tekstów Młynarskiego polegała na tym, że potrafił tę szarą rzeczywistość, o której opowiadał, uwzniośli. A może inaczej: wydobyć z niej to, co było wzniosłe, co było wyjątkowe i piękne, a czego my sami nie potrafiliśmy dostrzec. A te jego odkrycia przekazywali nam tacy artyści, jak Ewa Bem i Edyta Geppert, Krystyna Konarska i Hanna Banaszak, Czesław Niemen i Andrzej Zaucha, Michał Bajor i Bronisław Mec. I te ich piosenki znajdziemy w „Polskiej miłości".

FOT. PIOTR FOTEK/REPORTER

Był twórcą upartym, pewnym wartości tego, co robi, krytykę przyjmował – najdelikatniej mówiąc – opornie. Jednak do uwag, na przykład Jerzego Wasowskiego, z którym miał szczęście współpracować, na ogół się stosował. I przyznawał, że jeden ze swoich największych przebojów – „W Polskę idziemy" – przerabiał wielokrotnie, nim zadowolił oczekiwania kompozytora (dla Młynarskiego napisał też muzykę do m.in. „W co się bawić", „Przyjdzie walec i wyrówna", „Układanka", „Róbmy swoje").

Przywoływał też czasem Wojciech Młynarski anegdotę o tym, jak w 1964 r. w trakcie prób do Festiwalu Polskiej Piosenki Kalina Jędrusik pospołu z Agnieszką Osiecką „wygładziły" mu tekst piosenki „Z kim tak ci będzie źle jak ze mną", która zresztą – ex aequo z „O mnie się nie martw" Kasi Sobczyk – wygrała opolską rywalizację. Otóż, opowiadał, „siedzimy we trójkę: ja, pani Jędrusik i Agnieszka Osiecka. Pani Jędrusik z tekstem mojej piosenki w dłoni zwraca się do mnie:

– Proszę pana, ja tego nie zaśpiewam! – Podniosła głos wyraźnie wściekła. – Dama takich słów nie używa, więc ich nie powiem! Do damy to zupełnie nie pasuje. – I wskazała na wers: »Kto będzie zdrowie miał i nerwy na takie ścierwo jak ty«. Oczywiście chodziło jej o to »ścierwo«. – Proszę to zmienić – wściekała się dalej.

A ja na to, że prawdziwa dama, kiedy się zezłości, to używa jeszcze gorszych słów. Na to Kalina do Agnieszki:

– Widzisz, kurwa, on nic nie rozumie.

I Kalina Jędrusik jednak w Opolu ten fragment ocenzurowała i zaśpiewała: »na takie zero jak ty«. Ale zrobiła to wprost rewelacyjnie".

„Z kim tak ci będzie źle jak ze mną" znajdziemy, oczywiście, w tomie „Polska miłość" obok 141 innych tekstów, mniej lub bardziej znanych, a czasem i zapomnianych ze szczętem. Co nie znaczy, że w spisie odszukamy tę akurat, której szukamy. To w końcu wybór i ma on swoje prawa. Co do mnie, z ulgą stwierdziłem brak dziełka pod tytułem „Odkryjemy miłość nieznaną", które do muzyki Włodzimierza Korcza od lat wykonuje – z wielkim powodzeniem! – Alicja Majewska, a które zawiera mocno problematyczną literacko, przynajmniej moim zdaniem, następującą strofę:

Miłowania głodni jak wilcy
Nauczymy się w tym kraju
od pierwszego dnia
Słów, którymi mówią tubylcy
Szabadabada szabadabada.

Autor bronił tego tekstu niczym niepodległości. Wolę inne, a tych w „Polskiej miłości" jest mnóstwo. Warto się w nie wczytać. Młynarskiego bowiem, naturalnie, przede wszystkim trzeba słuchać, ale czytać też nie zaszkodzi. ©℗

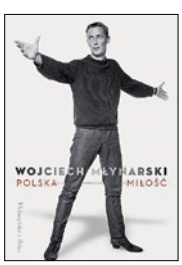

★★★★☆
WOJCIECH MŁYNARSKI „POLSKA MIŁOŚĆ" PRÓSZYŃSKI I S-KA 2019

eprasa.pl 0f336d80c7

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pożegnanie z Maćkiem

Odszedł Maciej Parowski. Dobry człowiek. Znakomity redaktor. Przenikliwy krytyk. Świetny pisarz.

Żadne suche wyliczenia nie oddadzą prawdy o człowieku, ale lista dokonań Maćka jest imponująca. Przez długie lata i dekady był redaktorem „Fantastyki" (potem „Nowej Fantastyki"), który odkrył takie nazwiska jak Andrzej Sapkowski czy Jacek Dukaj. To dwaj chyba najchętniej dziś przekładani polscy pisarze. U Maćka debiutowały setki autorów. Chociaż wielu się frustrowało, nie mogąc przebić się przez selekcyjne sito, na wszystkie ataki odpowiadał ciepłym uśmiechem i olimpijskim spokojem.

Zakochany w literaturze – nie tylko fantastycznej – poświęcał czas i innej swej miłości: kinu. Był jednym z najbardziej dociekliwych krytyków analizujących dzieła X muzy. Czynił to przez pół wieku. Ostatnio na łamach „Gazety Polskiej". Zawsze miałem niedosyt po jego krótkich recenzjach, chciałem więcej. „Wiesz – odpowiadał – ja trochę nie pasuję do świata dzisiejszych gazet. Za wolno piszę. A tu wszystko trzeba na już".

Jego książki krytyczne („Czas fantastyki", trzy części „Małp Pana Boga") to wielka kronika historii polskiej popkultury, której był przecież także ważnym współtwórcą. Jego debiutancka powieść „Twarzą ku ziemi" (1982) współtworzyła polski nurt fantastyki socjologicznej. Jego powieść „Burza. Ucieczka z Warszawy '40" to chyba najważniejsze dzieło polskiej fantastyki alternatywnej. A w każdym razie najmądrzejsze.

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Był wielkim promotorem polskiego komiksu. Wyszukiwał i inspirował nowych rysowników, zachęcał, podpowiadał. Współtworzył scenariusz do kultowego cyklu „Funky Koval" i napisał scenariusze do pierwszej komiksowej adaptacji „Wiedźmina" (albumy Bogusława Polcha).

Po raz drugi odkryłem go dla siebie, kiedy mała oficyna Solaris wznowiła jego felietony i teksty publicystyczne o sprawach niefantastycznych („Z bandytą w windzie"). Tak jak w PRL kontestował narzucony przez Sowietów ustrój, tak potem gorąco nie zgadzał się z samozwańczymi właścicielami III RP. Robił to świetnie. Z sercem. Mądrze.

Zawsze w niedoczasie. Bo miał kolejne opowiadanie, kolejną książkę do przeczytania. Kolejny film do przeżycia. Kolejny tekst do napisania. Tyle projektów czekało. Choćby nowa adaptacja komiksowa „Wiedźmina", tym razem z Przemkiem Truścińskim. Jesienią w gościnnym wydawnictwie SQN ukaże się jego ostatnia książka: dwutomowy „Leksykon moich autorów", o tych, którzy pod okiem Maćka debiutowali i rozkwitali.

Straciliśmy przyjaciela. Maćku, tak bardzo będzie Cię brakowało. ©℗

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„W tej wojnie paniczne odwroty i heroiczne natarcia rozkładały się mniej więcej po równo" – stwierdza autor, opisując wyroki sądów polowych w Wojsku Polskim podczas wojny z Sowietami (1919–1921). Nie tylko o dezerterach.

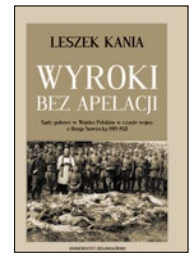

LESZEK KANIA „WYROKI BEZ APELACJI" UNIWERSYTET ZIELONOGÓRSKI

Autor serii kryminalnych o Mocku z Breslau i Popielskim ze Lwowa przenosi się na Kresy, gdzie toczy się akcja jego nowej powieści szpiegowskiej. Jest rok 1922, granica między Polską a sowiecką Rosją jest areną ostrej rywalizacji.

MAREK KRAJEWSKI „DZIEWCZYNA O CZTERECH PALCACH" ZNAK

Początek nowego cyklu z gatunku space opera twórcy nagradzanych (zasłużenie) powieści „Wojna starego człowieka" i „Czerwone koszule". Spodoba się fanom cyklów Davida Brina, Waltera Jona Williamsa czy „Ekspansji" Coreya.

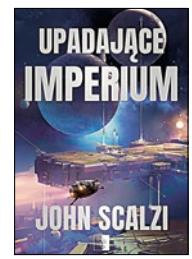

JOHN SCALZI „UPADAJĄCE IMPERIUM" WYDAWNICTWO NIEZWYKŁE

Opowiadania zebrane cenionej amerykańskiej autorki, znanej także z powieści „Mądrość krwi" i „Gwałtownicy porywają Królestwo Niebieskie". 31 tekstów, w tym 10 nietłumaczonych dotąd na język polski. Klasyka. ©℗

poleca Piotr Gociek

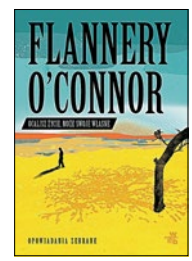

FLANNERY O'CONNOR „OCALISZ ŻYCIE, MOŻE SWOJE WŁASNE" W.A.B.

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Blanka Lipińska „Kolejne 365 dni" (Agora) – ciąg dalszy bestsellera erotyczno-kryminalnego produkcji polskiej, wkrótce niestety także film.***
2. ***Remigiusz Mróz „Listy zza grobu" (Filia) – pierwszy tom nowej serii poczytnego autora. Główny bohater – patomorfolog Seweryn Zaorski.***
3. ***Camilla Lackberg „Złota klatka" (Czarna Owca) – pierwszy tom nowej serii popularnej autorki skandynawskich kryminałów.***
4. ***Ałbena Grabowska „Stulecie Winnych" (Zwierciadło) – wznowienie trylogii historycznej, efekt rosnącej popularności serialu TVP na jej motywach.***
5. ***Frederic Martel „Sodoma" (Agora) – francuski autor książek o kulturze amerykańskiej i gejowskiej o homoseksualizmie w Watykanie.***

(Najchętniej kupowane książki minionego tygodnia na Swiatksiazki.pl)

eprasa.pl 0f336d80c7

Z miłości do Bałkanów

Małgorzata Pałubska i Marcin Zadronecki

FOT. BALKAN SEVDAH

Repertuar Balkan Sevdah to w dużej mierze stare pieśni z archaicznym dialektem, różniącym się od obecnie istniejących języków. A poza tym – z punktu widzenia przeciętnego zjadacza polskiego chleba – z miejsc dość egzotycznych. Musimy sobie zatem poradzić bez zrozumienia słów, musi nam wystarczyć muzyka. I emocje. A to na nie przede wszystkim stawia zespół Balkan Sevdah, grający muzykę wywodzącą się z Półwyspu Bałkańskiego. Z tym że nie kopiuje jeden do jednego, ale tworzy coś własnego, będącego często mieszanką inspiracji zaczerpniętych z takich krajów jak Albania, Bośnia i Hercegowina, Bułgaria, Grecja, Macedonia, Serbia, Kosowo.

Zespół Balkan Sevdah narodził się w 2004 r., od samego początku starał się przybliżać Bałkany polskim słuchaczom. Dlaczego warszawscy muzycy wybrali właśnie ten rejon świata? Bo, jak twierdzą, „muzyka na Bałkanach jest odbiciem temperamentu tamtejszych mieszkańców. Pulsuje energią i pasją, a jest jednocześnie pełna melancholii. Dzikie rytmy przechodzą niepostrzeżenie w powolne romantyczne zwierzenia. Miłość i wojna, wściekłość i zachwyt tworzą wspólny korowód, a my to pokazujemy na scenie. Kochamy Bałkany, jeździmy tam regularnie po nowe inspiracje, a potem przekładamy je na nasze nuty".

Balkan Sevdah to grupa w składzie: Marcin Zadronecki (śpiew, tambura), Tadeusz Łukasz (kontrabas) i grający na najbardziej egzotycznych dla Polaków instrumentach Syryjczyk Adeb Chamoun (cajon, darabuka, riqq, tar) oraz na instrumentach perkusyjnych. Męskie grono uzupełnia grą na skrzypcach i śpiewem Małgosia Pałubska.

Muzycy z premedytacją skazują się na niszę. I śmieją się w wywiadach z dowcipów w stylu: „– Kupiłem twoją płytę. – A, to byłeś ty". Jednak mieszają w tym bałkańskim kotle już od 15 lat i chyba przestać mieszać nie zamierzają. ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Efektowne efekciarstwo

Po 10 latach przerwy niemiecki Rammstein wydał album, który z miejsca trafił na szczyty list najlepiej sprzedawanych płyt w 14 krajach, w tym w Polsce. W USA w ciągu tygodnia sprzedano 240 tys. egzemplarzy.

Muzyka zespołu opiera się na rockowo-wagnerowskich kliszach: głęboki niski wokal, gitarowa ściana dźwięku, dudniące syntezatory, industrialny rytm i gotyckie chóry. Metal industrialny jest jedynym kierunkiem, w którym doskonale (czytaj: groźnie) brzmi język niemiecki. Wszystko to jeszcze w latach 80. wymyślił słoweński Laibach, ale dopiero Rammstein patent ten spieniężył na wielką skalę.

Niemcy mają niepodważalny atut – wywoływanie skandali. W teledysku do utworu „Deutschland" pokazali historię Niemiec od średniowiecza do współczesności, nie pomijając NRD-owskiego epizodu. Muzycy pojawiają się m.in. w pasiakach z Auschwitz, przy czym Till Lindemann wykrzykuje: „Niemcy – moje serce w płomieniach / Chcę cię kochać i potępić".

Przyznaję, że album jest efektownie wyprodukowany. Spośród piosenek wyróżnia się dowcipna „Ausländer" („Nie jestem mężczyzną na jedną noc / Zostaję najwyżej na godzinę") i autentycznie przerażająca „Puppe" o prostytuującej się siostrzycy.

24 lipca 2019 r. Rammstein zagra na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Bilety rozeszły się błyskawicznie. ©℗

★★★☆☆☆

RAMMSTEIN „RAMMSTEIN"

★★★★☆☆

MICHAŁ KOWALONEK „O MIŁOŚCI W CZASACH POWSTANIA" POLSKIE RADIO

Debiut lidera zespołu Snowman. Album zawiera 10 piosenek inspirowanych powstaniem wielkopolskim. Nie jest to lekcja historii, lecz opowieść o uczuciach, marzeniach, miłościach wywołanych patriotycznym zrywem. Melodyjnie i emocjonalnie.

★★★★☆☆

FLYING LOTUS „FLAMAGRA" WARP

Tę 67-minutową odyseję rozłożoną na 27 utworów Steven Ellison tworzył przez pięć lat. Różnorodność brzmień, stylów muzycznych, rytmów, a nawet liczba gości mogą zachwycać, ale jako całość ta intensywność przypomina niechlujny chaos. ©℗

eprasa.pl 0f336d80c7

SOPHIE COOKSON

STEPHEN CAMPBELL MOORE

TOM HUGHES

ZDOBYWCZYNI OSCARA®
ORAZ JUDI DENCH

REŻYSERIA TREVOR NUNN

TAJEMNICE JOAN

PRAWDZIWA HISTORIA
FASCYNUJĄCEJ
KOBIETY - SZPIEGA

KSIĄŻKA W SPRZEDAŻY OD 15 MAJA

FILM W KINACH OD 14 CZERWCA

KINO TV STOPKLATKA MY COMPANY LAVIE KropkaTV empik naszemiasto. sens wprost Rzeczy Gala cojestgrane24 TaleHistoria TeleTydzień lubimyczytać.pl GŁOS KULTURY FILM KOBIETA.PL WIZAŻ STYLOWI.PL SZOPI.PL BIOX Pszczółka StudioSante Sante

eprasa.pl 0f336d80c7

Tomasz P. Terlikowski

Siła ofiar

Zmiana paradygmatu komunikacji, a także kolejne akcje na rzecz osób, które doświadczyły rozmaitych form przemocy, zmieniły sytuację ofiar. I to do tego stopnia, że czasem trudno odróżnić, kto nią jest, a kto nie

FOT. ADOBE STOCK

Jeszcze kilka lat temu, gdy przygotowywane były teksty o skandalu homoseksualnym w diecezji płockiej (trzeba przyznać, że jest to jedno z miejsc, w których wyciągnięto wnioski z tamtych wydarzeń i wprowadzono rzeczywiście skuteczny system prewencji), wymagało to ogromnego wysiłku. Godziny rozmów z księżmi, docieranie do ofiar i uwaga skupiona na tym, by zasygnalizować problem, ale niekoniecznie wskazać winnych. Podobnie było w przypadku innych ujawnianych skandali czy problemów. Teraz jest zupełnie inaczej. Dominacja mediów społecznościowych, tempo powstawania przekazu rodzą sytuację, w której każdy może opisać swoją historię na Facebooku, Twitterze czy gdziekolwiek indziej, a jeśli jest wystarczająco znany, wówczas można być pewnym, że zostanie ona powtórzona w ciągu kilku, kilkunastu minut w dziesiątkach mediów już niekoniecznie społecznościowych.

Ujawnienie nazwiska oprawcy (a przynajmniej oskarżonego czy pomówionego, bo czasem bardzo trudno to ustalić) nie jest już problemem, a sprawdzenie prawdziwości historii czasem jest kompletnie niemożliwe. Współczucie (zrozumiałe) sprawia jednak, że nawet zadanie pytania o to, czy opowiadana historia trzyma się kupy, jest czasem uznawane za atak na ofiary czy obrona sprawców. Efekt? Dominacja emocji nad rzeczywistością i możliwość wykorzystywania pomówień do niszczenia niewygodnych duchownych (czy innych autorytetów społecznych).

PRYMAT POKRZYWDZONYCH

Znakomitym przykładem tego prymatu jest historia księdza oskarżonego przez Marka Lisińskiego (do niedawna prezesa Fundacji „Nie Lękajcie Się"). Argumenty na swoją obronę, które podał ksiądz, były naprawdę mocne. Lisiński zaczął go oskarżać o molestowanie po tym, jak nie oddał zaciągniętej od niego pożyczki, a biegli seksuolodzy podawali w wątpliwość molestowanie. W niczym nie zmieniło to jednak faktu, że ksiądz nie tylko został oskarżony, zniszczono jego dobre imię, lecz także… kuria biskupia (uchodząca, trzeba zresztą dodać, że słusznie, za najskuteczniej rozwiązującą problem molestowania seksualnego przez duchownych) w błyskawicznym tempie doprowadziła do nałożenia na księdza kar. A wszystko to w sytuacji, gdy oskarżenie było wątpliwe. Teraz widać to jeszcze lepiej.

Nie, nie zamierzam dowodzić, że ów prymat ofiar to coś złego. Trzeba bardzo mocno przypomnieć, że ofiary zawsze powinny – by nie powiedzieć: muszą – mieć pierwszeństwo i nie należy kwestionować z miejsca prawdziwości ich świadectwa. Jest jasne, że już samo opowiedzenie o tragedii molestowania, która mogła je

eprasa.pl 0f336d80c7

spotkać, jest niezwykle trudnym doświadczeniem. Trzeba nie tylko zmierzyć się z wydarzeniami sprzed lat, nie tylko wrócić do traumy, przypomnieć sobie zapachy (ciekawe, jak często ofiary wracają właśnie do nich, mówiąc o „odorze", „smrodzie", „zapachu"), uczucia, wstyd i poczucie zanieczyszczenia, lecz także wystawić się na śmieszki, pogardę, sugestie, że coś się wymyśla albo że samemu się chciało. Szczególnie trudne jest to dla heteroseksualnych, dojrzałych mężczyzn, którzy muszą wyznać, że byli molestowani w dzieciństwie przez innego mężczyznę. Otoczenie często nie rozumie, jak to możliwe, że takie osoby nie tylko nie protestowały, lecz także często same przychodziły do oprawców, a to rodzi podejrzenie, iż są one homoseksualne, a jedynie udają swój heteroseksualizm. Piętno społeczne jest tu szczególnie mocne.

Nieuczciwe jest także sugerowanie, że ofiary za długo czekały z wyjawieniem swoich przeżyć, że wymyślają je albo że powinny to zrobić wcześniej. Ofiary molestowania seksualnego – trzeba o tym pamiętać – nie są zazwyczaj wybierane przypadkowo, a ogromna większość molestujących podchodzi do nich z psychologicznym mistrzostwem. Oni nie tylko krzywdzą dzieci i młodzież seksualnie, lecz także wypełniają ich braki, zaspokajają ich rozmaite potrzeby, pomagają im. W efekcie młody człowiek jest rozdarty między akceptacją (której niekiedy nigdy nie doświadczył) a przemocą, między pomocą a niszczeniem, między tym, co dobre, a tym, co złe. Ofiara nie zawsze do końca rozumie, co się dzieje, a często nie jest w stanie zerwać niszczącej relacji. Strach i wstyd wzmacniają jeszcze te uczucia. Czasem trzeba wielu lat, by rozerwać wszystkie te więzy i rzeczywiście odważyć się mówić o tym, co się wydarzyło.

Ogromną traumą, o której mówią ofiary, jest także to, że często najbliżsi, znajomi, a także parafianie księdza--przestępcy nie wierzą w jego winę. „On nie mógł czegoś takiego zrobić" – mówią jedni. „A dlaczego mnie nie molestował?" – zadają pytanie inni. Odpowiedź często jest skomplikowana. Sprawca rzadko wybiera wszystkich, ofiary są dobrane w taki sposób, by mieć pewność, że nie doniosą, mają często jakąś słabość czy emocjonalny brak, który wykorzystuje przestępca. Dlatego nie każdy staje się ofiarą, a są ludzie, którzy nigdy nią nie zostaną. Sugerowanie zatem, że inni kłamią, bo mnie coś nie spotkało, jest nie tylko dramatycznie trudne dla ofiar, lecz także dowodzi kompletnego niezrozumienia tego, jaki jest mechanizm działalności przestępcy seksualnego molestującego nieletnich.

MECHANIZM RZUCANIA PODEJRZEŃ

Wszystko, co zostało powyżej napisane, w niczym nie zmienia faktu, że w ostatnich latach sytuacja ofiar zdecydowanie się poprawiła (przynajmniej w przestrzeni medialnej). O ile jeszcze kilka (w Polsce), kilkanaście (w Irlandii) czy kilkadziesiąt (w Stanach Zjednoczonych) lat temu to ofiary były stroną słabszą, to one musiały dowodzić, że nie są oszustami, że nie zamierzają oskarżać niewinnych i że rzeczywiście przydarzyło się im coś złego, o tyle obecnie zaufanie do nich jest do tego stopnia bezgraniczne, że często bezrefleksyjnie i bez choćby próby sprawdzenia spójności ich opowieści przyjmuje się każde oskarżenie.

Teraz to nie ofiara musi dowieść, że rzeczywiście została skrzywdzona (lub lepiej powiedzieć: uwiarygodnić swoje oskarżenia), ale oskarżony (podkreślmy – bardzo często słusznie oskarżony) lub pomówiony (takie sytuacje też się zdarzają) musi dowieść swojej niewinności. O ile wcześniej uznawano oskarżonego za z definicji niewinnego, o tyle teraz już samo oskarżenie oznacza uznanie go za winnego. A ofiara zawsze jest w tej sytuacji w lepszym położeniu. Ma to swoje dobre strony, bo uwrażliwia na krzywdę, która ją spotkała, ale sprawia również, że pomówionym o wiele trudniej jest się bronić, a sędziowie boją się orzekać na korzyść oskarżonych (a czasem uznają za swój obowiązek orzekać na ich niekorzyść).

Smutnym przykładem takiej sytuacji jest skazanie na karę więzienia kard. George'a Pella. Nie zamierzam stwierdzać, czy jest on winny, czy nie, brak mi do tego danych i kompetencji, ale nie mogę nie zauważyć, że nawet nieprzychylni Kościołowi australijscy dziennikarze zwracali uwagę na to, iż akt oskarżenia, sformułowany na podstawie zeznań dwóch mężczyzn (z których jeden wycofał się z zeznań), zwyczajnie nie trzyma się kupy. Dlaczego? Ponieważ trudno wyobrazić sobie molestowanie seksualne (w tym obnażanie się) w zakrystii pełnej ludzi, a do tego w pełnym stroju liturgicznym. Kto kiedykolwiek widział kardynała w szatach liturgicznych, ten wie, że obnażenie się w nich jest dość trudne, a jeszcze trudniej zrobić to w ogromnej zakrystii pełnej ludzi. W aktach tej sprawy jest o wiele więcej takich nieścisłości, ale już samo zasugerowanie, że coś jest z wyrokiem nie tak, skazuje na łatkę obrońcy pedofilów i przestępców seksualnych.

Takie podejście, choć emocjonalnie zrozumiałe (każdy woli być po stronie nieletnich i ofiar niż pełnoletnich sprawców), jest jednak bardzo niebezpieczne. Dlaczego? Stwarza ono ryzyko bezwarunkowego przyjmowania każdego oskarżenia, niszczenia ludzi za pomocą takich właśnie oskarżeń, a także – co w Stanach Zjednoczonych już się stało – zbudowania całego systemu wyciągania pieniędzy na odszkodowania poprzez już nie procesy, ale ugody sądowe. Warto też zwrócić uwagę, że w ten sposób uniemożliwiamy oskarżonym czy pomówionym obronę, uznajemy bowiem ich za winnych bez jakiegokolwiek uwiarygodnienia oskarżeń.

UŁATWIONY PRZEKAZ

Na to wszystko nakłada się jeszcze jedno zjawisko, z którego trzeba sobie zdawać sprawę przy rozważaniu problemu dyskusji o pedofilii (nie tylko w Kościele), a jest nim dominacja mediów społecznościowych. Jeszcze kilka lat temu między świadectwem, opowieścią, oskarżeniem czy pomówieniem a odbiorcą był jeszcze filtr dziennikarza, wydawcy, poważnego medium, którzy nie mogli się narazić na niesłuszne oskarżenie. Teraz tego filtra już nie ma. Został zdjęty, bo każdy, w każdej chwili może wrzucić swoją historię do sieci. I wtedy ona zaczyna już żyć własnym życiem, nikt jej nie sprawdza, nikt nie weryfikuje, nikt nie próbuje przedstawić racji drugiej strony.

Jakby tego było mało, zarówno w przypadku akcji #MeToo (szlachetnej i ważnej), jak i w przypadku ujawniania sytuacji molestowania przez kapłanów oskarżenia rzeczywiście poważne mieszają się z takimi, które trudno tak traktować. Realne molestowanie z położeniem ręki na główce czy głupimi (czasem bardzo głupimi) odzywkami. W efekcie na takim rozmyciu kryteriów, na wrzucaniu wszystkiego do jednego worka tracą ofiary rzeczywiście poważnych przestępstw. Gdy każdy był molestowany, dramat prawdziwych ofiar przestaje cokolwiek znaczyć.

I tak prymat ofiar przekształca się w ich słabość, a także w słabość debaty. Warto na to wskazać na marginesie fundamentalnej debaty na temat pedofilii i przestępstw seksualnych w Kościele i nie tylko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

NATO dla nauki

Jubileuszowa konferencja na uczelni NATO Defence College w Rzymie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jan Parys

Sojusz północnoatlantycki to nie tylko gwarant bezpieczeństwa. Ma również zasługi dla rozwoju nauki. Także polskiej, i to jeszcze z czasów, gdy dla PRL NATO formalnie było wrogiem

W ostatnich tygodniach w wielu krajach obchodzona była rocznica powstania sojuszu północnoatlantyckiego. W USA z okazji 70-lecia podpisania traktatu waszyngtońskiego odbyło się spotkanie ministrów spraw zagranicznych państw tworzących dziś sojusz. Była także specjalna sesja obu izb Kongresu USA. W Polsce obchodziliśmy w tym czasie również 20. rocznicę przystąpienia Polski do NATO.

Sojusz północnoatlantycki kojarzy się przede wszystkim z gwarancjami bezpieczeństwa, wspólnymi ćwiczeniami wojskowymi, stacjonowaniem wojsk sojuszniczych. Jednak to nie wszystko. NATO, jako najsilniejszy sojusz na świecie, wywiera wpływ na wiele innych dziedzin życia. Na przykład w państwach członkowskich wykształcił oficerów przygotowanych do międzynarodowej współpracy, cywilnych dyplomatów skłonił do stałego zajmowania się problematyką bezpieczeństwa i monitorowania zagrożeń militarnych. Warto także przypomnieć rzadko wspominany udział NATO w badaniach naukowych. Wiele osób słyszało, że najważniejszą dla NATO uczelnią jest NATO Defence College w Rzymie. Tutaj kształci się cywilów oraz wyższych oficerów na potrzeby współpracy z sojuszem. Ta uczelnia to jednak nie wszystko.

WSPÓŁPRACA MIMO RYWALIZACJI

Nie jest tajemnicą, że od pokoleń często motorem postępu były zbrojenia. Aby uzyskać przewagę militarną państwa, inwestują w nowe technologie wojskowe. Często potem po latach trafiają one do sektora cywilnej gospodarki i stają się dźwignią rozwoju gospodarczego. Od 1956 r. w NATO funkcjonował pion działalności znany jako „The Science for Peace and Security Programme" (SPS – nauka dla pokoju i bezpieczeństwa). Mało kto wie, że od połowy lat 70. XX w., w czasach, kiedy sojusz był przez PRL oficjalnie uznany za wroga, w tym programie uczestniczyli polscy inżynierowie i naukowcy. Kierownictwo programu pozostawało w rękach znanych uczonych. To oni decydowali, by co roku zapraszać na Zachód pojedynczych polskich inżynierów. Zatem zanim przystąpiliśmy do sojuszu, na stypendia NATO-wskie z Polski wyjechało ponad 150 osób. W ten sposób sojusz zbierał informacje na temat tego, jaki jest poziom polskich inżynierów, jakie jest ich rozeznanie w najnowszych technologiach, kto jest zdolny.

Uczestnicy akcji stypendialnej poznawali nowoczesne technologie, czasem ważne także dla sektora obronnego. Pozyskiwanie wiedzy na Zachodzie było ważne dla polskich inżynierów. Jednak sama wiedza bez nowoczesnych i bardzo drogich laboratoriów często była niewystarczająca, by budować własny nowoczesny potencjał produkcyjny. W owym czasie obowiązywało embargo na sprzedaż do państw obozu socjalistycznego wielu technologii, nawet cywilnych. Często bowiem okazywało się np., że silniki do autobusów mogą być wykorzystane w pojazdach wojskowych, a patenty konieczne do produkcji kolorowych kineskopów mogą być użyteczne do produkcji wyposażenia czołgów.

eprasa.pl 0f336d80c7

Zatem można powiedzieć, że niezależnie od politycznej wrogości i militarnej rywalizacji NATO zaczęło kooperować z Polakami już w 1956 r. Służyły temu szkolenia i konferencje organizowane pod nazwą „NATO Advanced Study Institute". Celem kursów dla specjalistów było przedstawianie aktualnego stanu wiedzy przez naukowców o najwyższych kwalifikacjach, m.in. ponad 20 laureatów Nagród Nobla czy osób prowadzących najważniejsze światowe laboratoria.

Przykładem może być istniejąca od 1970 r. International School of Quantum Electronics, która działa na Sycylii w ośrodku im. Ettore Majorany. Ze strony NATO wiele lat szkołą kierował prof. Sergio Martellucci z Włoch. Tam uczeni z różnych państw poznawali nowe technologie. Ponadto zaczynali lepiej rozumieć konsekwencje swoich badań naukowych dla utrzymania bezpieczeństwa międzynarodowego. Im bardziej nowoczesne technologie są wdrażane do uzbrojenia, tym większe niebezpieczeństwo wiąże się ich użyciem. Zatem dialog i budowanie świadomości, czym grożą nowe technologie militarne, jest potrzebny, stanowi budowę naukowej i psychologicznej profilaktyki, by nie używać nowych technologii lekkomyślnie, lecz w ostateczności.

POLSKI WYBÓR

Dzisiaj SPS koncentruje się na rozwijaniu technologii, które pomogą walczyć z terroryzmem, zapewnią ochronę granic, nowoczesną łączność oraz cyberbezpieczeństwo. W SPS uczestniczą obecnie uczeni z 29 państw członkowskich oraz z 41 państw partnerskich. To pokazuje, że celem NATO jest tworzenie technologii służących obronności, a nie budowie zdolności ofensywnych. W czasach PRL polscy inżynierowie zdobywali w ośrodku na Sycylii unikalne kwalifikacje, m.in. w dziedzinie przemysłu półprzewodnikowego i światłowodów. Dzięki nim udało się w PRL zbudować przemysł półprzewodnikowy, a pod koniec lat 80. XX w. rozpocząć produkcję prostych układów scalonych. Zatem NATO, a szczególnie prof. Sergio Martellucci, mają duże zasługi dla rozwoju polskiej nauki. Wielka szkoda, że dorobek polskich inżynierów z tamtego okresu został zmarnowany na początku naszej transformacji gospodarczej. Wtedy upadły zakłady przemysłowe oraz instytuty zdolne do absorpcji najnowszych technologii w dziedzinie półprzewodników.

Dzisiaj Polska stoi przed wyborem. Możemy sami projektować mikroprocesory, przez co wejdziemy do nielicznej czołówki państw zdolnych do utrzymania suwerenności w dziedzinie informatyki. Albo będziemy za granicą kupować mikroprocesory, konieczne dziś praktycznie w każdej dziedzinie. Uzależnienie polskiej obronności i polskiego państwa w dziedzinie infrastruktury krytycznej od dostaw mikroprocesorów zagranicznych czyni naszą suwerenność iluzoryczną. Szkoda, że możliwości polskich inżynierów w tej dziedzinie są marnowane.

Program SPS pokazuje, że NATO uczyniło naprawdę wiele, by Polacy byli zdolni wybić się na niepodległość, także w dziedzinie bezpieczeństwa informatycznego. Wspominanie zasług Rejewskiego i Zygalskiego nie zastąpi racjonalnych decyzji koniecznych dziś do podjęcia. Najważniejsze, by stawiać na ludzi zdolnych do uruchomienia produkcji, a nie na zainteresowanych jedynie prowadzeniem badań i skonsumowaniem grantów bez efektu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest socjologiem, publicystą, byłym ministrem obrony narodowej.

REKLAMA

Polak może żyć jak król

5, 7, 15, 19, 29 oraz 3 i 8. Wystarczyło wytypować te liczby i we właściwym dniu wysłać zakład, aby wzbogacić się o blisko 200 mln zł. To nie błąd. Wygrana Polaka wyniosła sto dziewięćdziesiąt trzy miliony trzysta dziewięćdziesiąt sześć tysięcy pięćset złotych.

W maju szczęśliwe liczby w Eurojackpot skreślił mieszkaniec województwa łódzkiego, bijąc w ten sposób absolutny rekord wysokości wygranej w historii polskich gier liczbowych. W jeden wieczór szczęściarz spod Łodzi trafił tym samym od razu do grona dwustu najbogatszych Polaków.

Posiadając taką fortunę, można zostać rentierem – co pozwala na życie wyłącznie z odsetek od lokat – a jednocześnie spełnić swe najśmielsze marzenia. Niemal miesięczna wycieczka dookoła świata na pokładzie prywatnego odrzutowca za pół miliona złotych? Załatwione. Za takie pieniądze można się również zapisać na prywatny lot w kosmos (cena biletu za jedną osobę powinna wynieść od 1 do 2 mln zł).

Już teraz można też kupić wyjątkowe sportowe auto (np. Bugatti La Voiture Noire, najdroższy samochód świata, kosztowało nieco ponad 70 mln zł), gigantyczny jacht, apartamentowiec, a nawet prywatną wyspę (w tym roku za ok. 10 mln zł wystawiono na sprzedaż m.in. prywatną wyspę Tjæreholmen na norweskich fiordach; za podobną kwotę rok temu wystawiono zaś archipelag czterech wysp w kanadyjskich Ontario). Szczęściarz może też część fortuny przeznaczyć na zakup klubu sportowego lub np. cele charytatywne, a i tak do końca życia będzie opływać w luksusy.

Jak to możliwe, że wygrana była aż tak wysoka? W grze uczestniczy kilkanaście europejskich państw i na ostateczną wygraną składają się po prostu gracze z różnych krajów. W Polsce w popularną europejską loterię można grać od jesieni 2017 r. Polacy mają więc regularnie szansę na wielkie wygrane, których wysokość sięga czasem nawet 390 mln zł.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 0f336d80c7

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Młodzi są starzy

Woody Allen to nie jest reżyser, którego bym wielbił (w ogóle mam trudność z wielbieniem), ale ogromnie lubię jego film „Celebrity", który jest bardzo mądry. W tym filmie jest kilka kapitalnych scen, a jedna z nich dzieje się na imprezie nowojorskiej bohemy.

Rej wodzi tam młody rzeźbiarz, który przeżywa swoje pięć minut sławy. Wokół popularnego artysty tłoczą się atrakcyjne kobiety i ci, którzy też chcieliby odnieść sukces. Rzeźbiarz opowiada o swoim ostatnim dziele: kilkunastometrowym fallusie ustawionym gdzieś w polu w Alabamie czy Kentucky. Jest dumny. – Wyobraźcie sobie – mówi radośnie – co muszą czuć bogobojni farmerzy, gdy w niedzielę pakują swoje rodziny do samochodów i jadąc na mszę, muszą przejeżdżać obok mojej rzeźby!

W polskim filmie taka scena byłaby kpiną z tych farmerów, a rzeźbiarz był pozytywnym bohaterem, kruszącym tradycjonalizm patriarchalnej prowincji. U Woody'ego Allena jest odwrotnie. Nikt z widzów nie ma najmniejszych wątpliwości, że młody rzeźbiarz jest kompletnym idiotą.

Przypomniałem sobie tę scenę ostatnio, gdy oglądałem pamiątkowe zdjęcie słynnej grupy feministek biorących udział w gdańskim marszu (chyba) równości. Rząd kobiet poprzebieranych za tęczowe madonny i facet trzymający na kiju podobiznę cipy imitującej święty sakrament. Przyjrzałem się dokładnie i jedna rzecz mnie zasmuciła.

Nie, nie ta cipa. Był to wiek happenerek. Prawie wszystkie były – na oko – starsze ode mnie, a o to naprawdę niełatwo. I to jest dopiero przygnębiające. Bo, szczerze mówiąc, takie akcje: „Ej, chodźcie, zbeszcześcimy coś świętego dla kmiotów, ale będą mieli głupie miny!" to powinni robić młodzi ludzie. Nastolatkowie, studenci, ewentualnie młodzi rzeźbiarze, tacy jak ten u Allena. To jest domena młodości: starać się szokować i mieć w nosie uczucia innych.

Jeśli jednak robią to ludzie w wieku lekko przedemerytalnym, to nie jest to fajne i buntownicze, tylko smutne. Bo to znaczy, że ci ludzie przez całe swoje życie niczego się nie nauczyli. Nawet jeśli są profesorami lub mają habilitacje.

I jest chyba w Polsce tak (nie wiem, jak gdzie indziej na świecie), że starość i młodość zamieniły się miejscami. Największą zapiekłość dostrzegam u tych, którzy teoretycznie powinni mieć dla innych więcej zrozumienia wynikającego z doświadczenia życiowego. Jednak tak wcale nie jest! To starzy są częściej od młodych radykałami, nieprzebierającymi w słowach, gardzącymi ludźmi o innych poglądach. Doskonałym dowodem tej tezy są rozmaite wpisy w mediach społecznościowych pań w okolicach sześćdziesiątki. Pań z różnych obozów ideowych, dodajmy.

A ci, którzy – zgodnie ze schematem, który mamy w głowach – powinni być buntowniczy i obrazoburczy, wcale tacy nie są. Ciekawe, czy gdy się zestarzeją, to się upodobnią do nas? ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Smutek awangardy

Czasami odnoszę wrażenie, że niektórym celebrytom pomyliły się epoki. Pani Jandzie ciągle wydaje się, że jest w roku 1982 i musi bronić szczytnych wartości przed zakusami imperium zła. Jej (i wielu jej słynnych kolegów) pomyłka polega nie tylko na tym, że są inne czasy i nic z tego, co było zagrożone przez komunistyczną władzę, nie wymaga dziś obrony.

W roku 1982 artyści stanowili dodatek (wisienkę na torcie, kwiatek przy kożuchu) do wielkiego społecznego ruchu o nazwie Solidarność. Podzielali jego wartości, lubowali się w jego symbolach, biegali na mszę za ojczyznę, występowali po kościołach, bankietowali z księdzem Jankowskim… To se ne vrati!

Kogo zatem reprezentują dziś. O co walczą poza tym, „żeby było, jak było". Nie ma przecież cenzury (w teatrze można wystawić każde plugastwo z państwowym dofinansowaniem) ani więźniów politycznych, chyba żeby uznać za nich kryminalistów od Amber Gold i innych podobnych afer. Kogo więc dziś właściwie reprezentują? Awangardę? Tylko czego? Działają w interesie Polaków, którymi gardzą? Nie są więc nawet ariergardą!

Działają w interesie Polaków, którymi gardzą?

Wiem, heroicznie bronią konstytucji. Tylko w czyim interesie i co takiego się stało, aby wrzeszczeć wniebogłosy: „Ratunku!"? Bardzo jestem ciekaw, co się stanie, jeśli PiS uzyska większość konstytucyjną (oby) i tę konstytucję zmieni. Co wtedy? Będą bronić tej starej czy pogodzą się z rzeczywistością? Istnieje niebezpieczeństwo, że nie. Tak zawsze się działo, kiedy masy nie poszły za samozwańczymi prowodyrami. Tylko jakie widać wyjście? Trzeba będzie założyć jakieś nowe Czerwone Brygady czy Świetlisty Szlak? W ostateczności zorganizować strajk okupacyjny w Skolimowie?

Niestety, nawet najwybitniejszym aktorom zdarza się nie trafić w rolę. Wydaje im się, że grają w dramacie. A to ino farsa! ©℗

eprasa.pl 0f336d80c7

OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ

Lekcje myślenia politycznego

www.omp.org.pl www.polskietradycje.pl

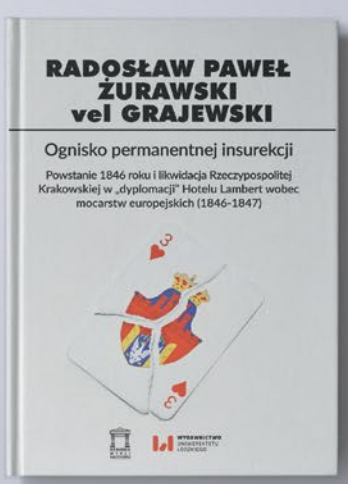

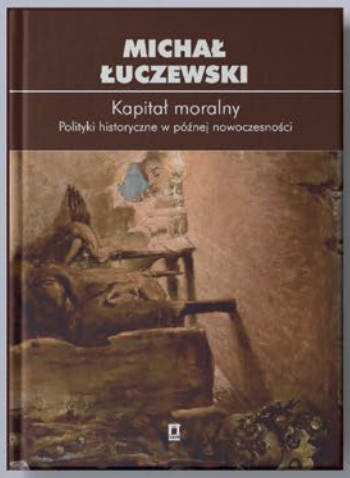

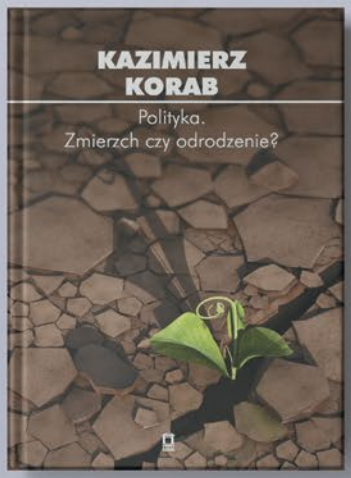

eprasa.pl 0f336d80c7

Andrzej Nowak

Jaka ma być „narodowa pamięć" – krytyczna czy monumentalna, jedna czy raczej ich wielość?

Emocje historii

Pojęcie „idiota", pochodzące od greckiego „idiotes," oznaczało człowieka, który nie interesuje się polityką, sprawami publicznymi, zamyka się wyłącznie w kręgu swoich prywatnych przyjemności, a przez to nie jest w stanie zrealizować w pełni swego człowieczeństwa. Nasz XVIII--wieczny, sarmacki encyklopedysta, Benedykt Chmielowski, gdy pisał swoje „Nowe Ateny", rozumiał już to pojęcie inaczej. Dedykował swoje dzieło: „Mądrym dla memoryjału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melankolikom dla rozrywki". Tutaj chciałbym wrócić do starożytnego rozumienia słowa, którego używam w tytule. Adresatem tej książki jest człowiek, który interesuje się sprawami publicznymi i zastanawia się, czasem, nad tym, jak one na niego wpływają oraz jak, w jakim kierunku, sam chciałby na nie wpływać.

W tym pomocna może być właśnie historia. To pojęcie, także pochodzące z greckiego, oznacza w swym źródłosłowie badanie, zgłębianie, wypytywanie i zarazem opowiadanie. Doświadczenie i przekazywanie doświadczenia. Bez tego, bez procesu przekazywania wspólnych doświadczeń, nazywanego historią, trudno wyobrazić sobie wspólnotę polityczną. W każdym razie taką, w której uczestniczą obywatele. Może nie jest przypadkiem, że moment, kiedy geniusz grecki, w osobach Herodota i Tukidydesa, nadał pierwsze kształty pracy historyka, zbiega się w czasie z tym wielkim eksperymentem, który nazywamy demokracją.

Historię mógł także oczywiście zaprzęgnąć do swego rydwanu władca absolutny. Bezpośrednie ryzyko związku z władzą najbardziej dramatycznie wyraża los pierwszego wielkiego dziejopisa chińskiego, Sy-ma Ts'iena, skazanego (w 99 r. p.n.e.) na wykastrowanie za nie dość pochlebne przedstawienie panowania ojca aktualnego cesarza. Ten sam kronikarz zapisał jakże znamienny moment, kiedy (114 lat wcześniej) Pierwszy Żółty Cesarz nakazał spalić wszystkie dzieła historyczne w swoim państwie, by nikt nie mógł używać zapisanego w nich obrazu przeszłości jako zwierciadła, w którym można by krytycznie zobaczyć teraźniejszość.

OPIEWANIE I PRAWDA

Na tym polega jedna z funkcji posiadania historii: możemy zobaczyć siebie, swój moment, z pewnego dystansu; możemy zastanowić się nad tym, czy się „rozwijamy" czy „upadamy"? Możemy też porównywać „naszą historię" z „innymi". Czy jest „lepsza", „gorsza", „inna" czy zawsze, obciążona niezmienną naturą ludzką, „taka sama"? To są pytania egzystencjalnie ważne. Dlatego historia budziła także w kolejnych wiekach najżywsze emocje.

W kręgu cywilizacji, do której dołączyło wraz z przyjęciem chrześcijaństwa państwo Mieszka i Bolesława, wzór historii stanowiło przede wszystkim

eprasa.pl 0f336d80c7

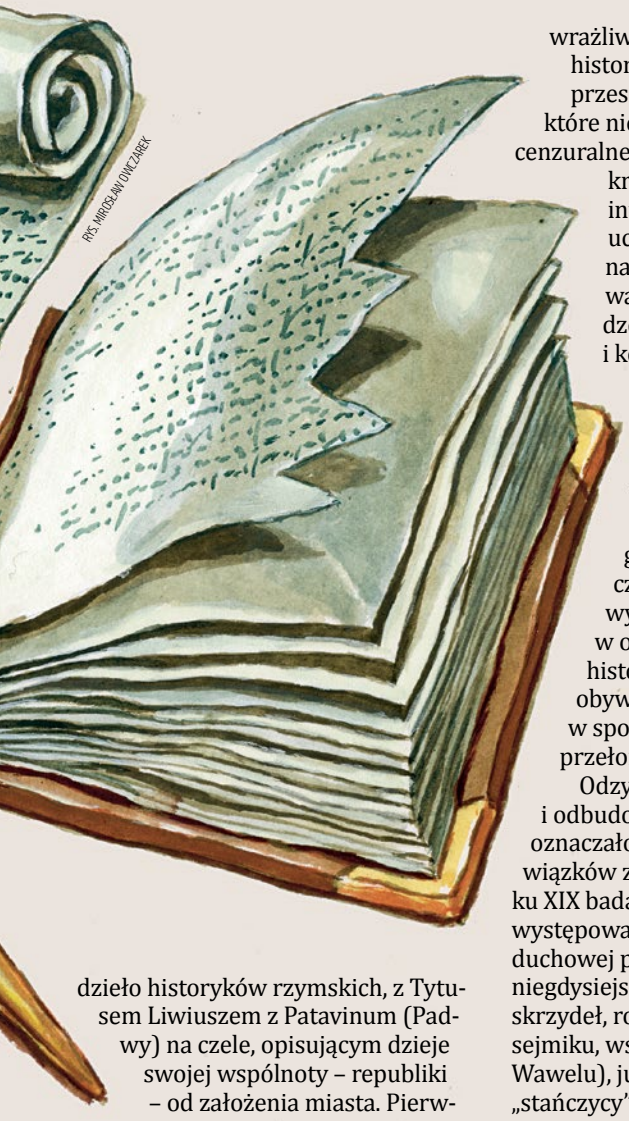
RYS. MIROSŁAW OWCZAREK

dzieło historyków rzymskich, z Tytusem Liwiuszem z Patavinum (Padwy) na czele, opisującym dzieje swojej wspólnoty – republiki – od założenia miasta. Pierwszy polski historyk (i zarazem pierwszy polski pisarz), mistrz Wincenty, po wiekach nazwany Kadłubkiem, w podobnym co Liwiusz duchu widział swoje posłannictwo: „złote ojczyzny opiewać filary”; „prawdziwe ojców wizerunki wydobywać z głębi zapomnienia”.

Możemy od razu w tym zestawieniu zadań historyka-obywatela wspólnoty, który pisze jej dzieje, zobaczyć pewne napięcie: „opiewanie” ojczyzny i jednocześnie wydobywanie „prawdy”. Czy można zlekceważyć łatwo jeden z tych obowiązków? Który jest ważniejszy?

Sytuacja braku niepodległości, a nawet zagrożenia samej tożsamości narodowej Polaków przez intensyfikowane w ostatnim ćwierćwieczu XIX stulecia procesy rusyfikacji oraz kontynuowany w rozmaitych postaciach pod zaborem pruskim Kulturkampf, stwarzała kontekst, w którym publiczna wrażliwość na prezentowany przez historyków wizerunek zbiorowej przeszłości wzrastała do granic, które nie mniej niż oficjalne zakazy cenzuralne państw zaborczych mogły krępować swobodę krytycznej interpretacji historii przez uczonych. Debata jednak trwała nawet w takich szczególnych warunkach i samo jej prowadzenie, wymiana argumentów i konfrontacja wizji przeszłości narodowej między przedstawicielami „szkoły krakowskiej” a m.in. Tadeuszem Korzonem, Szymonem Askenazym czy później nieco, już na progu niepodległości, Władysławem Konopczyńskim okazały się prawdziwym triumfem roli historyków w ożywianiu nie tylko wyobraźni historycznej, lecz także poczucia obywatelskiej odpowiedzialności w społecznej debacie Polaków przełomu XIX i XX w.

Odzyskanie państwa w 1918 r. i odbudowanie instytucji politycznych oznaczało zdjęcie z historii części obowiązków zastępczych, w których w wieku XIX badacze przeszłości narodowej występowali już to jako dostarczyciele duchowej pociechy (przypominający niegdysiejsze przewagi, szum husarskich skrzydeł, rozgwar wolności na polskim sejmiku, wspaniałość renesansowego Wawelu), już to właśnie jako polityczni „stańczycy”, pobudzający do krytycznego myślenia polityczni wychowawcy. W państwie niepodległym mogli prowadzić swoje warsztatowe badania, a zarazem angażować się w publicystyczne uogólnienia swych interpretacji przeszłości zgodnie ze swoimi politycznymi sympatiami (polaryzacja w tym względzie była silna, zwłaszcza między zwolennikami Narodowej Demokracji z jednej strony a przedstawicielami orientacji piłsudczykowskiej czy socjalistycznej z drugiej). Używając formuły przyjętej w autobiograficznym szkicu najwybitniejszego może naszego dziejopisa w XX w., twórcy „Polskiego Słownika Biograficznego”, Władysława Konopczyńskiego, można by powiedzieć, że w II Rzeczypospolitej historia służyła życiu (publicznemu), ale mu się nie wysługiwała. Historycy uczestniczyli w głośnych sporach o sens tzw. idei jagiellońskiej (wymyślonej w pewnym sensie na nowo, by wesprzeć aktywną politykę wschodnią marszałka Piłsudskiego, przez takich badaczy jak Oskar Halecki czy Ludwik Kolankowski), o interpretację zamachu majowego (w perspektywie tradycji rokoszowej), rolę wybitnej jednostki w dziejach politycznej wspólnoty. Byli po różnych stronach ideowych barykad II RP, wszyscy jednak zgadzali się co do tego, że dzieje są zasadniczo ważnym układem odniesienia dla rozumienia sensu polskości, także tej najbardziej współczesnej. I to poczucie – podtrzymywane także przez wysoki prestiż przyznawany nauce historii w szkole II Rzeczypospolitej – dzielili ze społeczeństwem.

Kiedy w tragicznych okolicznościach państwo polskie raz jeszcze stało się obiektem napaści agresywnych sąsiadów, a następnie bezprecedensowej, eksterminacyjnej polityki ze strony totalitarnych okupantów, historia znów wróciła do „podziemnej” funkcji kompensacyjnej. Odtworzenie po 1944 r. państwowości polskiej w formie marchii zachodniej sowieckiego imperium postawiło przed zawodem historyka nowe wyzwania i pokusy. Nowa, „ludowa” władza jak najbardziej doceniała społeczną rolę historii – nie chciała jej zepchnąć do podziemia, ale raczej zaprzęgnąć do swojego ideologicznego rydwanu. Na niwie historycznej nauki pojawiły się konkretne instrukcje, jak należy rozumieć i interpretować dzieje. Historycy polscy udawali się po nie bezpośrednio do Moskwy i przekazywali je następnie swoim kolegom w kraju (zob. np. wywiad Jerzego Jedlickiego ze Stanisławem Arnoldem i z Janem Kancewiczem pt. „Pięć tygodni wśród historyków radzieckich”, „Po Prostu” 31/1950). Zaproszona przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i Nauki autorytatywna delegacja historyków z Moskwy pouczyła polskich badaczy na konferencji metodologicznej w Otwocku (grudzień 1951–styczeń 1952 r.), jak mają prowadzić swoje badania. I kogo z nich eliminować... Historycy, którzy nie chcieli się podporządkować nowej metodologii ani nie chcieli zaaprobować sposobu widzenia polskich dziejów w sposób nakazany z Moskwy, byli po prostu usuwani z tzw. życia naukowego (choćby wspomniany już Władysław Konopczyński czy – także związany z UJ – Henryk Wereszycki).

Historia, bardziej niż którakolwiek inna z dyscyplin akademickich, stała się probierzem postaw ważnych dla społecznych wyborów w obliczu

eprasa.pl 0f336d80c7

nowej władzy. Współpracować – ale na jakich warunkach? Tutaj symbolem mądrej współpracy, ratującej samą możliwość rzetelnego uprawiania (a nawet popularyzowania) historii w dozwolonym przez władze zakresie, byli dla wielu tacy wybitni historycy jak Stefan Kieniewicz czy Aleksander Gieysztor. Były i symbole innej postawy – ci, którzy się władzy po prostu „wysługiwali”. I były istotne oraz czytelne nie tylko w wąskim środowisku historycznym symbole postaw jednoznacznie nieugiętych wobec nacisków władzy. Szczególnie pięknie rysuje się w tej perspektywie sylwetka „profesora nadzwyczajnego” UJ („uzwyczajnienia” w systemie nauki PRL nie mógł się doczekać), Henryka Wereszyckiego i jego młodszego kolegi, Wacława Felczaka. Znów też odżywała, wspierana przez twórczość historyków-emigrantów (w tym tak wybitnych jak choćby Marian Kukiel, Oskar Halecki czy Piotr Wandycz), historia „alternatywna” – w znaczeniu alternatywy dla oficjalnej linii interpretacji zdarzeń najbardziej drażliwych z punktu widzenia władz. Prawda o Katyniu czy pakcie Ribbentrop-Mołotow, samo przypomnienie wojny z bolszewikami w 1920 r. – wobec systematycznie uprawianej propagandy kłamstwa lub (co najmniej) przemilczeń tych i innych wydarzeń z niedawnej przeszłości – nabierały znaczenia moralnego, istotnego nie tylko dla samych amatorów historii. Historia znów była wyborem sumienia.

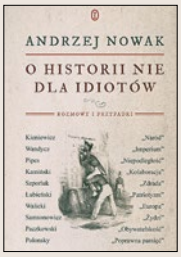

ANDRZEJ NOWAK „O HISTORII NIE DLA IDIOTÓW” WYDAWNICTWO LITERACKIE 2019

USUWANIE BIAŁYCH PLAM

Czy jednak „historia uczciwa” to tylko wywabianie „białych plam”? To pytanie zaczęło narzucać się w końcowej fazie PRL, wraz z rozprzęganiem się systemu imperialnej kontroli nad Polską, kiedy można już było istotnie owe „plamy” zacząć usuwać z szerszej społecznej świadomości. Po 1989 r., w III RP, zdawało się, że społeczna rola historyków maleje szybko, skoro już nie ma ograniczeń cenzuralnych, już można bez problemu napisać, kto kogo zabił w Katyniu. A jednak o „wywabienie” wciąż upominały się kolejne „plamy”. Pojawiały się nowe spory między obrońcami politycznego konsensusu, który symbolizował Okrągły Stół, a tymi, którzy chcieli konsekwentnie przypominać zbrodnie strony komunistycznej w historii najnowszej i kolejne ich ofiary: od żołnierzy wyklętych do zapomnianych szybko (poza kilkoma najgłośniejszymi, takimi jak ks. Jerzy Popiełuszko) ofiar stanu wojennego. Pojawiły się problemy „polityki historycznej” odnowionego, suwerennego już państwa: Czy np. w ramach projektu strategicznej współpracy z Ukrainą nie „tonować” nawiązań historycznych do rzezi wołyńskich i galicyjskich dokonywanych przez nacjonalistów ukraińskich? I opór środowisk, które kultywują pamięć tych ofiar, wciąż uznając je za nie dość rozpoznane, nie dość opłakane. To tylko jeden przykład tematu, w którym historycy poszukiwani są przez obie strony debaty jako dostarczyciele argumentów raczej niż arbitrzy.

Nastąpił także wielki renesans „historii krytycznej” – wspieranej przez najsilniejsze media, przez wielkie projekty badawcze finansowane z funduszy europejskich, gdzie głównym obiektem naukowych poszukiwań stały się historyczne winy własnej, polskiej wspólnoty – wobec „innych” (mniejszości, sąsiadów) albo – rzadziej – wobec siebie samej (odnowione „dzieje głupoty w Polsce”). Niektórzy badacze zobaczyli się już nawet w roli bezwzględnych operatorów „chorej pamięci” Polaków. „Jeśli celem, jaki mamy przed oczyma, jest bezlitosna prawda dziejowa i pogodzenie Polaków katolików z plamami własnej historii narodowej i wyznaniowej, to zadania tego nie da się wykonać w znieczuleniu. […] »Aby pewne rzeczy wypowiedzieć – pisze Joanna Tokarska-Bakir – trzeba przezwyciężyć własny i cudzy odruch cofnięcia się przed bólem«” (Jerzy Jedlicki, „Bezradność”, „Gazeta Wyborcza”, 27 czerwca 2009 r.).

I pojawiły się, jakby w odpowiedzi na takie sugestie, nurty przeciwne, odnawiające postawy apologetyczne. Wokół powołanego do życia w 1999 r. Instytutu Pamięci Narodowej ogniskowała się duża część tych sporów. Jaka ma być ta „narodowa pamięć” – „krytyczna” czy „monumentalna”? Czy jedna w ogóle, czy raczej ich wielość? Czy ma zadość czynić zapomnianym ofiarom (ale które są bardziej zapomniane?), czy ma wymierzać sprawiedliwość oprawcom (ale kogo w tym gronie należy przede wszystkim wskazać?)?

POWRACAJĄCE PYTANIA

Do tych pytań, które powracają wciąż w rozmaitych odsłonach polskiej historii, nawiązuję w tej książce. Najpierw w formie 10 dialogów z wybitnymi historykami: ze Stefanem Kieniewiczem, z Piotrem Wandyczem, Richardem Pipesem, Andrzejem Sulimą Kamińskim, Romanem Szporlukiem, z eseistą, prowokatorem ważnych debat nad polską tożsamością historyczną – Tomaszem Łubieńskim, z Andrzejem Walickim, Henrykiem Samsonowiczem, Andrzejem Paczkowskim i Antonym Polonskym.

Zacząłem te rozmowy od pytania postawionego w końcu 1989 r. prof. Stefanowi Kieniewiczowi, mistrzowi cechu dziejopisów. Brzmiało ono tak: Czy po wyswobodzeniu politycznym i zapowiadanym wówczas „końcu Historii” historia będzie jeszcze nam, Polakom, potrzebna? Warto się dzisiaj, trzy dekady później, przyjrzeć odpowiedzi na to pytanie. Podobnie jak warto, wydaje mi się, sięgnąć do kolejnych rozmów: od tych, prowadzonych z początkiem 1991 r., z Piotrem Wandyczem na Yale i Richardem Pipesem na Harvardzie aż do „wywiadu życia” z Antonym Polonskym z początku roku 2019. Mogłem się przez tych 30 lat spotkań wiele dowiedzieć od moich rozmówców. Przede wszystkim tego, jak różne są perspektywy, z których próbujemy rozumieć przeszłość. Można jednak dowiedzieć się także, jak osobiste historie historyków kształtują owe perspektywy. I jak fascynujące, w tym połączeniu osobistych doświadczeń uczestników oraz świadków z analizą naukową, okazują się nasze dzieje. Przewijają się tutaj pytania o imperium (rosyjskie, sowieckie, nawet polskie), przemiany narodu, jego zasięg społeczny i tożsamość, o naszą dziejową geopolitykę, tradycje republikańskie, polski romantyzm i realizm, stosunki z sąsiadami, także polsko-żydowskie; o to wreszcie, czy w dziejach znajdujemy jakieś wzory i sensy, czy pozostają ostatecznie jedynie „opowieścią idioty, pełną wrzasku, wściekłości, lecz nic nieznaczącą”?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Te pytania wypełniają pierwszą połowę książki. O tym, co jest w drugiej części, dowiedzą się państwo, jeśli do niej sięgną.

eprasa.pl 0f336d80c7

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Zabójcy z UPA

W oczach sporej części polskiego społeczeństwa ludobójstwo na Wołyniu jest wydarzeniem całkowicie bezosobowym. Przeciętny Polak zapytany o to, kto wymordował naszych rodaków w 1943 r., odpowie: „Chłopska tłuszcza".

Amorficzna masa krzyczących, pijanych włościan, którzy wymachiwali nad głową cepami i siekierami. Spadali jak grom z jasnego nieba na polskie wioski, puszczali je z dymem i oddawali się orgiom grabieży oraz mordu. W tym ujęciu ludobójstwo na Wołyniu przypomina jedną z plag egipskich. Oprawcy z Wołynia nie mją twarzy.

Sytuację tę może zmienić książka Marka A. Koprowskiego „Kaci Wołynia". Jest to monografia, na którą długo czekałem. Jej autor – znany popularyzator historii – udowadnia, że za ludobójstwem Polaków na Wołyniu stali konkretni ludzie. Znani z imienia i nazwiska działacze OUN oraz dowódcy UPA. To oni zaplanowali, a następnie zrealizowali metodyczną rzeź polskich cywili. Ludobójstwo na Wołyniu nie było bowiem spontanicznym „buntem chłopskim" – jak chce tego część ukraińskich badaczy – było zorganizowaną na zimno kampanią eksterminacyjną, która miała doprowadzić do realizacji ideologicznego celu – stworzenia Ukrainy „czystej jak łza". Czyli wolnej od „Lachów".

Marek A. Koprowski kreśli ciekawe sylwetki wołyńskich oprawców. Na czele z Dmytrem Semenowiczem Klaczkiwskim „Kłymem Sawurem" przywódcą ukraińskich szowinistów z Wołynia. Najprawdopodobniej to właśnie on wydał zbrodnicze rozkazy o wyrżnięciu wszystkich Polaków – także kobiet i dzieci – a następnie osobiście doglądał sprawnego przeprowadzenia antypolskiej akcji.

Atutem książki Marka A. Koprowskiego jest obfite wykorzystanie źródeł banderowskich: wspomnień i meldunków działaczy oraz żołnierzy tej formacji. Dzięki temu możemy spojrzeć na ludobójstwo Polaków z innej perspektywy. Nie z perspektywy ofiar, ale z perspektywy katów. Banderowcy wcale bowiem nie ukrywali, że konflikt z Polakami rozwiązali „ogniem i mieczem". Bez litości i bez pardonu.

„29 sierpnia 1943 r. – pisał dowódca kurenia »Łysocha« – przeprowadziłem akcję we wsiach Wola Ostrowiecka i Ostrówki głowniańskiego rejonu. Zlikwidowałem wszystkich Polaków od małego do starego. Wszystkie budynki spaliłem, mienie i chudobę zabrałem dla potrzeb kurenia".

Dokumenty te sprawiają, że włos jeży się na głowie. ©℗

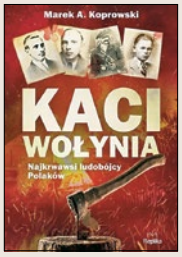

★★★★★★

MAREK A. KOPROWSKI
„KACI WOŁYNIA. NAJKRWAWSI LUDOBÓJCY POLAKÓW"
REPLIKA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Niemcy i lokacja Krakowa

Najazd mongolski z 1241 r. był prawdziwą katastrofą dla Polski. Tatarzy pozostawili za sobą spaloną ziemię, spustoszone wsie i grody. Zniszczenia były tak wielkie, że ludność zaczęła uważać najazd za datę graniczną – mówiono, że coś się wydarzyło „na dwa lata przed Tatarami" albo „rok po najeździe".

Dokument lokacyjny wystawiono 5 czerwca 1257 r.

Odbudowę kraju połączono z lokacjami miast, co było koniecznością, gdyż w tej kwestii panował ogromny bałagan. Ówczesne miasto składało się bowiem z umocnionego grodu, kilku kościołów i masy drewnianych domów budowanych bez składu i ładu. Część zabudowań była otoczona wałami, część nie, a w pobliżu znajdowały się jeszcze osady należące do panującego, Kościoła czy możnowładców.

Wzorem dla organizacji miast w Polsce był dokument wystawiony dla Magdeburga w 1188 r. Dlatego też o lokacjach dokonywanych w ten sposób mówi się, że odbywały się na prawie magdeburskim, tam też odwoływano się w sprawach spornych.

Obszar nowego miasta nie był z reguły zbyt wielki, a przykładem może być Kraków, dla którego dokument lokacyjny wystawiono 5 czerwca 1257 r. Miasto zajmowało prostokątny teren o wymiarach 700 na 800 m, a sam rynek miał wymiary 200 na 200 m. Na jego terenie stanęły: Sukiennice (inne od tych zachowanych do dziś), waga miejska, kramy i ratusz będący siedzibą władz miasta. W nim toczyły się posiedzenia rady miejskiej i prowadzono księgi sądowe. Na pierwszym piętrze znajdowały się biura i mieszkania urzędników, przechowywano tam skarbiec miejski, natomiast w podziemiach zlokalizowano izbę tortur i więzienie.

Nowo lokowane miasta zasiedlała z reguły ludność pochodząca z Niemiec. Polscy mieszkańcy dawnych grodów pozostawali najczęściej za murami, ale rzemieślnicy stopniowo przenosili się do miasta. Oczywiście najwyższe stanowiska w lokalnych władzach były zarezerwowane dla kupców niemieckich. W Krakowie aż do 1537 r. (!) kazania w kościele Mariackim wygłaszano po niemiecku, gdyż był to język patrycjatu miasta. Nie oznaczało to jednak, że tamtejsi mieszczanie nie byli lojalni wobec nowego kraju. Dbali o rozwój miasta i współpracowali z piastowskimi władcami (może poza Władysławem Łokietkiem, ale z nim trudno było dojść do porozumienia). W tamtych czasach nie można było bowiem mówić o świadomości narodowej, liczyły się: miejsce zamieszkania, religia i lojalność wobec władcy. Królestwa i księstwa miały charakter wieloetniczny i obok siebie mieszkali ludzie mówiący różnymi językami. Czasy państw narodowych miały dopiero nadejść. ©℗

eprasa.pl 0f336d80c7

Zamek Radziwiłłów w Nieświeżu. Tutaj można zrobić sobie zdjęcie z magnacką rodziną

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Pogoń za Białorusią

Piotr Semka z Nieświeża i Mińska

Białorusini powoli akceptują tradycje Wielkiego Księstwa Litewskiego. Rosja łatwo nie odpuści walki o białoruską duszę

Nasz wschodni sąsiad w ślad za Ukrainą szuka własnej tożsamości. Niemal 25 lat po powrocie Białorusi do sowiecko-wszechruskiej ideologii państwowej powracają nawiązania do tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego (WKL). Dwie wystawy na zamku w Nieświeżu i w Mińsku wskazują, że mit ten głęboko tkwi w świadomości narodowej białoruskich elit. Teraz, gdy prezydent Aleksander Łukaszenko coraz mocniej zaniepokojony jest wizją wchłonięcia swego kraju przez Rosję, nawiązania do państwa Giedyminowiczów, a potem Jagiellonów, zyskują ostrożną akceptację Łukaszenkowskiej władzy.

WYCIERANE GODŁO

O tym, że tradycja Wielkiego Księstwa Litewskiego na Białorusi jest delikatnym tematem, świadczyć mogą losy godła tego państwa. W 1990 r. nasi wschodni sąsiedzi ogłosili niepodległość, a rok potem dawne sowieckie godło zostało zastąpione Pogonią (po białorusku Pahonia), dawny zaś sowiecki sztandar – biało-czerwono-białą flagą, pod którą białoruscy woje mieli walczyć pod Grunwaldem. Było to nie tylko nawiązanie do WKL, lecz także przypomnienie symboliki krótkotrwałej Białoruskiej Republiki Ludowej – efemerycznego państwa, które zakiełkowało pod niemiecką okupacją w latach 1918–1919. Początkowo ogłuszone tempem zmian siły prosowieckie szybko przeszły do ofensywy, kontestując właśnie symbol Pogoni. W 1992 r. Rada Organizacji Weteranów Wojennych zażądała zmiany godła, wskazując, że Pogoń była symbolem białoruskich sił kolaborujących z Niemcami w czasie II wojny światowej. Weteranów wsparł wówczas mało jeszcze znany poseł do Rady Najwyższej Aleksander Łukaszenko. Gdy w lipcu 1994 r. został prezydentem – nie czekając na oficjalną zmianę godła, jak głosiła ówczesna plotka – kazał swym ochroniarzom papierem ściernym zetrzeć symbol Pogoni z tablic rejestracyjnych prezydenckich limuzyn. Na polecenie Łukaszenki 14 maja 1995 r. odbyło się referendum w sprawie zmiany godła. Za usunięciem Pogoni opowiedziało się 75 proc. Białorusinów, przeciw – tylko 20 proc., głównie elity i mieszkańcy zachodniej części kraju. Nowe godło, które obowiązuje do dziś, przypomina do złudzenia dawny sowiecki herb BSRS jednak bez gwiazdy, sierpa i młota.

Jednak Wielkie Księstwo Litewskie nie dało o sobie zapomnieć. Opozycja na swoje nieformalne święto wybrała 8 września – dzień zwycięskiej bitwy wojsk Polski i WKL z Moskwą pod Orszą w 1514 r. Dla kontrastu nowy prezydent przywrócił święto rewolucji październikowej 7 listopada, ale jako dzień wyzwolenia Białorusi od władzy caratu. Jednak i w polityce Łukaszenki zaczęto z czasem z wolna doceniać tradycje Księstwa.

Najłatwiej zauważyć to na zamku w Nieświeżu, w rodowym gnieździe Radziwiłłów. To tu obejrzeć można wysta-

eprasa.pl 0f336d80c7

Poczet wielkich książąt litewskich pędzla Ihara Hardieniuka. Od lewej: Pukuwer, Witen, Witold i Jagiełło FOT. ARCHIWUM AUTORA

wę „Na odnom poli wojary" (w wolnym tłumaczeniu: „I ruszała w pole wiara)".

MODA NA RADZIWIŁŁÓW

Jeszcze dwie dekady temu zamek w Nieświeżu, ponad 100 km na południowy zachód od Mińska, był zdewastowanym sanatorium. Gigantyczny, wilgotny pałac średnio nadawał się do leczenia ludzi, ale tak zadecydowała władza sowiecka po zabraniu zamku arystokratom po 17 września 1939 r. Dopiero w 1997 r. administracja Łukaszenki przypomniała sobie o historycznym znaczeniu niszczejącego zamczyska.

Po paru latach dość amatorskiej konserwacji, w trakcie której zniszczono w bezmyślny sposób część elementów zamku, prace ruszyły pełną parą dopiero po 2000 r. I tym razem „Baćka" nie szczędził pieniędzy. W samych tylko latach 2010–2012 na restaurację zamku wydano 55 mln dol., a na eksponaty do niego – 1,5 mln dol.

Prezydent Aleksander Łukaszenko osobiście otworzył 21 lipca 2012 r. zamek dla zwiedzających. W księdze pamiątkowej napisał: „Bogate kulturalne i historyczne dziedzictwo Białorusi budzi poczucie honoru u każdego z jej mieszkańców. Zamek Radziwiłłów w Nieświeżu to unikalny twór ojczystej architektury, będący uosobieniem kulturalnego bogactwa Białorusi, symbolem niewyczerpalnych twórczych sił i zdolności naszego narodu".

Tak jak w październiku 1926 r. w nieświeskich murach Józef Piłsudski pojednał się z arystokracją, tak tamtego dnia Łukaszenko pojednał się z tradycją Radziwiłłów. Honorowymi gośćmi przywódcy Białorusi byli przybyli z Polski nestorzy rodu: Mikołaj i Maciej. – Radziwiłłowie nigdy nie chcieli stąd wyjeżdżać, ale w 1939 r. zostali do tego zmuszeni. Jednak nasze serca pozostają zawsze tu – mówił białoruskiemu prezydentowi Maciej Radziwiłł. Łukaszenko odpowiadał z kurtuazją:
– Proszę tu wpadać. Teraz już macie dokąd przyjeżdżać.

Teraz nieświeski zamek, wpisany na listę dziedzictwa UNESCO, jest turystycznym kombinatem. Jego godłem jest radziwiłłowska litera R ozdobiona królewską koroną – to ukłon w stronę korony Barbary Radziwiłłówny. Przed zamkową fosą można sobie zrobić zdjęcie z panami i damami ubranymi w dworskie stroje. W sklepiku muzealnym można kupić czekoladę z wizerunkiem Barbary Radziwiłłówny i pierniczki Nieświeski Zamek. A po przejściu przez ciąg odrestaurowanych sal pełnych portretów członków rodu docieramy do sali wystawy.

Jej bohaterami jest dwóch artystów – malarz Ihar Hardieniuk i rzeźbiarz Siarhiej Ahanau. Pierwszy urodził się w 1971 r., drugi – w 1974 r., należą więc do pokolenia, które w niewielkim tylko stopniu pamięta epokę sowiecką. Hardieniuk jest autorem malarskiego pocztu władców Litwy, książąt i wojowników mińskich liczącego 16 portretów. Są sławni władcy Litwy: Pukuwer – ojciec Giedymina, Mendog, Treniota, Trojden i bardziej znani Polakom – Olgierd, Jagiełło i Witold. Jest i książę miński Gleb Wsiesławicz (panował w latach 1101–1119). Do rangi białoruskiego herosa zostaje wyniesiony rycerz Iwan Niemira – wojownik z bitwy pod Grunwaldem.

Równie mocno osadzone w tradycji WKL są rzeźby Ahanaua. Jest żelazny wilk ze snu Giedymina, są i rzeźby Zygmunta Augusta oraz Barbary Radziwiłłówny i wreszcie statua Giedymina.

Przypomina to nieco nasze rzeźbiarstwo historyczne z lat 60. i 70. PRL – płaskorzeźby z pomnika bitwy pod Cedynią czy rzeźby wojów, które można dziś oglądać na dziedzińcu Muzeum Wojska Polskiego.

Ahanau nie jest bynajmniej jakimś prześladowanym opozycjonistą. Uzyskuje od władz zamówienia na pomniki władców dawnej Białorusi. Przykładowo w Grodnie w 2017 r. stanęła jego statua Dawida Grodzieńskiego, starosty i dowódcy wojskowego. Na cokole pomnika jest średniowieczny rycerz przedstawiony znamienną inskrypcją: „Wybitna postać Wielskiego Księstwa Litewskiego". Wcześniej Ahanau stworzył pomniki księżny Anastazji Słuckiej (2016) w Słucku i mińskiego wójta w białoruskiej stolicy. Rok temu wygrał konkurs na konny pomnik Giedymina, który stanie przed zamkiem w Lidzie.

Takie zamówienia nie byłyby możliwe bez zielonego światła ze strony administracji Aleksandra Łukaszenki.

DUMA GRUNWALDU

Z Nieświeża jadę do Mińska. Tutaj w Narodowym Centrum Sztuki Współ-

eprasa.pl 0f336d80c7

Portret Jana Radziwiłła Brodatego, rzeźba żelaznego wilka i „Rodowód księcia Michała Radziwiłła Sierotki"

FOT. ARCHIWUM AUTORA

czesnej trafiam na wystawę „Romans rycerski". Nieprzypadkowo ekspozycja dzieł inspirowanych dziejami WKL odbywa się w galerii poza ścisłym centrum miasta. To sygnał, że wystawa jest tolerowana, ale nie nagradzana prestiżową lokalizacją w Galerii Narodowej czy Muzeum Historii i Kultury Białorusi.

Do mińskiego muzeum trafiam akurat w noc muzeów 18 maja, więc witają mnie rozdokazywani młodzi ludzie w średniowiecznych strojach. Przy muzyce z epoki Zygmunta Augusta zachęcają widzów do udziału w warsztatach tańców z XVI w.

Ekspozycja to w dużej mierze zapis lat 1991–1994, gdy temat Wielkiego Księstwa wybuchł z ogromną siłą. Jednak są i płótna z początków obecnego wieku z lat 2007–2018. Na rysunkach Michaiła Basałyga uwiecznione zostały bitwa pod Grunwaldem i walka wojsk WKL z Tatarami. Ten sam autor wykonał portrety wielkich książąt litewskich.

Duża rzeźba żelaznego wilka autorstwa A. Gierasimienki – symbolu z legendarnego snu Giedymina – przypomina, że Białorusini uważają Wilno za tak samo swoje miasto jak Polacy.

Jednak największym wzięciem malarzy na wystawie cieszą się Radziwiłłowie, potwierdzając opinie, że ród wszedł już na stałe do białoruskiego imaginarium. Uładzimir Scelmaszonak prezentuje na swoim płótnie, stworzonym w 1998 r., cały poczet postaci stanowiących rodowód księcia Michała Krzysztofa Radziwiłła Sierotki (1549–1616). Tuż obok Rusłan Siargiejeu prezentuje pełen symbolizmu portret Jana Radziwiłła Brodatego (1474–1522) namalowany w 2009 r. Autorzy wystawy uznali, że są to tak dobrze znane postacie, iż nawet nie trzeba dodawać do płócien ich notek biograficznych.

BIAŁORUŚ ZERKA NA UKRAINĘ

W końcu maja br. w białoruskich Smorgoniach usunięto z centralnego placu miasteczka cementowy pomnik Lenina. – Ten pomnik nie stanowi żadnej wartości architektonicznej ani żadnej innej. Wykonano go z cementu, który z czasem zaczął się kruszyć – przyznała w rozmowie z gazetą „Nasza Niwa" Hanna Dżumkowa, kierowniczka wydziału ds. ideologii, kultury i młodzieży Rejonowego Komitetu Wykonawczego w Smorgoniach. Pomnik trafi w inne, mniej eksponowane miejsce. I znów bez zgody administracji Łukaszenkowskiej statui Lenina by nie ruszono. Czy na Białorusi zaczyna się deleninizacja tak jak na Ukrainie?

O wpływie emancypacji narodowej Ukraińców na Białorusinów pisał 4 maja br. na łamach dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung" po majowej wizycie w Mińsku rosyjski pisarz Wiktor Jerofiejew. „Zdobycie Krymu i wojna w Donbasie przyniosły Putinowi duchowe odsunięcie się od Rosji dwóch najbliższych Rosjanom narodów". Jak wskazuje Jerofiejew, Putin przyczynił się wojną do powstania jednego narodu ukraińskiego. Czy teraz, grożąc Łukaszence aneksjami, uzyska podobny efekt na Białorusi?

„Dyktatura Łukaszenki trochę się zmieniła, zabarwiła się lekko barwami narodowymi, poszła na miękką białorutenizację" – pisze rosyjski pisarz. „Władze Białorusi zrobiły ten krok pod presją i powoli akceptują tradycje Wielkiego Księstwa Litewskiego, które Białorusini zaczynają uważać za swoje państwo. [...] Białoruś odpływa do cywilizacji, która jest historycznie bliżej".

Jednak Rosja nie chce porzucić swojej tradycji wszechruskiego braterstwa na podstawie prawosławia. W moim mińskim hotelu zaglądam do kolorowego magazynu „Sojuznoje Gosudarstwo", które na kredowym papierze wydaje Zgromadzenie Parlamentarne Rosji i Białorusi. Obok tekstów chwalących wzajemne biznesy znalazło się miejsce także dla sekcji historycznej.

„Pierwszą umowę o sojuszu Rosji z Białorusią zawarł Aleksander Newski, biorąc w 1238 r. za żonę Aleksandrę, księżną połocką". Tekst ilustruje zdjęcie pomnika, który wystawiono rosyjskiemu władcy i jego białoruskiej księżniczce w Witebsku w 2016 r. Ktoś więc myśli i o takich pomnikach.

W tej bitwie na symbole i rywalizacji o białoruską duszę Rosja na pewno łatwo nie ustąpi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Mińska fabryka cukierków Komunarka produkuje pierniczki z dumnym godłem Radziwiłłów

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Wystawa „Na jednym polu wojownicy" była eksponowana w pałacu Radziwiłłów w Nieświeżu na Białorusi do 19 maja br. Ekspozycję „Romans rycerski" prezentowano w Narodowym Centrum Sztuki Współczesnej w Mińsku do 9 czerwca br.

eprasa.pl 0f336d80c7

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

NIE MA CZASU NA STRACH.
SENSACYJNY WYWIAD
Z KOMANDOSEM GROM-U

GROM

Grzegorz Janiszewski – **Batalia o Karbalę**
Marcin Bartnicki – **Śmierć w Nangar Khel**
Korwin-Mikke vs. Waszczykowski – **Debata nad sensem misji w Iraku**
Sławomir Koper – **Namiętny romans Skłodowskiej-Curie**
Ray Lambert – **Walczyłem podczas D-Day**
Mikołaj Iwanow – **Jak Polska straciła Białoruś**
Piotr Zychowicz – **Krwawe ataki ukraińskich terrorystów**
Piotr Semka – **Powietrzna szarża na gestapo**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 0f336d80c7

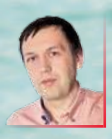

Z dr. Grzegorzem Lindenbergiem, socjologiem
rozmawia Jan Wójcik

Musimy tworzyć „twierdzę Europa”

JAN WÓJCIK: W swojej najnowszej książce „Wzbierająca fala. Europa wobec eksplozji demograficznej w Afryce” pisze pan, że nawet dziesiątki milionów imigrantów z Afryki i Azji będzie chciało przyjechać do Europy do roku 2030, a potem liczba ta może się podwoić lub potroić. Nie są to przesadzone dane?

DR GRZEGORZ LINDENBERG: Już obecnie przynajmniej 40 mln ludzi z Afryki, gdyby tylko mogło, przeniosłoby się do Europy. Mówimy o ludziach, którzy w badaniach socjologicznych deklarowali, że mają zamiar wyemigrować do Europy w najbliższych kilku latach. Ta liczba, chętnych i gotowych do wyjazdu, będzie szybko wzrastać w najbliższych latach, wraz ze wzrostem liczby młodych ludzi w Afryce i Azji, którzy nie będą mogli znaleźć pracy albo będą mieli prace wyłącznie dorywcze oraz niepozwalające się utrzymać. Chęć wyemigrowania będą

eprasa.pl 0f336d80c7

Im sprawniejsze są organizacje przemytników, tym więcej ludzi decyduje się płacić ogromne dla nich pieniądze za próbę nielegalnego przetransportowania ich do Europy

FOT. EUROPA PRESS NEWS/GETTY IMAGES

jeszcze wzmacniać dodatkowe czynniki, choćby globalne ocieplenie, które np. w Bangladeszu może doprowadzić do trwałego zalania znacznej części tego 200-milionowego kraju, albo rosnące już grupy imigrantów w Europie, których obecność ułatwia przyjazd kolejnych grup.

Oczywiście jest ogromna różnica między zamiarami a realizacją zamiarów, czyli między ludźmi, którzy planują wyjazd, a tymi, którzy naprawdę ruszają w kierunku Europy. W tej chwili rusza w stronę Starego Kontynentu może jedna osoba na sto, które chciałyby to zrobić. Musimy jednak pamiętać, że mniej więcej połowa migracji z Afryki i Azji do Europy to migracja legalna, wynikająca głównie z łączenia rodzin, czasem wyjazdu na studia czy legalnego zatrudnienia. Wśród tych, którzy planują wyjazd, są też tacy, którzy planują małżeństwo z kimś z Europy, a nie tylko ci, którzy chcą przepływać nielegalnie łodziami z Libii. Te grupy legalnych imigrantów będą najprawdopodobniej rosły wraz ze wzrostem liczby już mieszkających w Europie społeczności imigrantów. Oczywiście to zależy też od przepisów, kto i w jakiej sytuacji może legalnie przyjechać jako rodzina czy przyszła rodzina.

Natomiast to, ile osób spośród dziesiątków milionów, które planują nielegalne przybycie do Europy, rzeczywiście tutaj przybędzie, zależy przede wszystkim od dwóch rzeczy. Po pierwsze od tego, jak sprawne będą organizacje przemytników. Dzisiaj radzą sobie z dostarczeniem do Europy stu kilkudziesięciu tysięcy osób rocznie, ale z pomocą państw, takich jak Turcja w roku 2015, ta liczba skacze do ponad miliona. Drugi czynnik to oczywiście odpowiedź Europy, czyli to, ilu osobom udaje się pozostać w Europie legalnie albo nielegalnie. Im bardziej restrykcyjne przepisy azylowe i im skuteczniejsze deportacje, tym mniej chętnych do wydawania tysięcy dolarów na niepewną podróż.

Ponieważ realna imigracja zależy właśnie od przyszłych możliwości przemytników i od przyszłej polityki unijnej, dokładne oszacowanie realnej imigracji do Europy z Afryki i Azji, liczby osób, które tutaj przybędą i na stałe pozostaną, jest w zasadzie niemożliwe. W książce pokazuję, jaki jest potencjał, jaka jest presja emigracyjna w Afryce i Azji i że ta presja będzie bardzo silnie narastać. Jeśli nie zostaną wprowadzone odpowiadające tej presji rozwiązania, to imigracja będzie rosnąć coraz bardziej.

Prognozy demograficzne mogą być błędne. Skąd taka pewność co do wzrostu?

Prognozy demograficzne bywają błędne, szczególnie w bardzo długim okresie, kilkudziesięciu lat, bo zmieniają się warunki gospodarcze, społeczne i kulturowe decydujące o tym, ile dzieci się rodzi i ile osób umiera. Natomiast w okresie 20–30 lat prognozy na ogół sprawdzają się całkiem nieźle. A raczej sprawdzały się całkiem nieźle, jeśli chodzi o prawie cały świat, z wyjątkiem Afryki. Na tym kontynencie nie nastąpił spadek liczby urodzeń o podobnej skali jak na innych kontynentach, więc liczba ludności wystrzeliła do góry i wiemy, że bez wielkich programów kontroli urodzeń będzie rosła w tempie 400 mln w każdych kolejnych 10 latach. Ten wzrost kiedyś wyhamuje, tylko że to ma nastąpić za jakieś pół wieku albo później, więc niespecjalnie poprawia to sytuację emigracyjną w najbliższej przyszłości, która nas najbardziej interesuje.

Oczywiście taka prognoza nie bierze pod uwagę zjawisk nadzwyczajnych typu wielkie wojny czy klęski głodu ani wprowadzenia skutecznych programów kontroli urodzeń, o czym piszę.

Europa się starzeje, wszyscy pytają, kto będzie pracował na nasze emerytury. Profesor Grzegorz Kołodko, który podobnie jak pan zauważa eksplozję demograficzną, mówi, że te miliony się przeleją i „trzeba uczyć się otwarcia, tolerancji i wielokulturowości".

Jak powiedział John Galsworthy: „Idealizm wzrasta proporcjonalnie do odległości od problemu". Gdyby nie to, że mieszkamy w tej samej Europie, więc mnie to też będzie dotyczyło, ja bym chętnie zobaczył, jak prof. Kołodko będzie uczył Europejczyków otwarcia, tolerancji i wielokulturowości nie ze spokojnego kraju w spokojnej Unii, ale gdy co roku przybywać będzie do Europy tyle samo ludzi co w 2015 r., czyli ok. 2 mln. Rok po roku, regularnie, a pewnie ze 200 tys. będzie trafiać do Polski. Ludzi, którzy w ogromnej większości nie znajdują tutaj pracy – trzy lata po przybyciu jednej tylko fali imigrantów, 1,5 mln ludzi, do Niemiec pracę albo szkolenia zawodowe ma zaledwie jeden na trzech i to uważa się za świetny wynik. A gdyby takie fale powtarzały się co roku, systemy szkolenia zawodowego, nauki języka i inne programy integracyjne załamałyby się całkowicie, nie mówiąc o możliwościach znalezienia milionów mieszkań. Dlatego gdy ktoś mówi: „Przecież i tak przyjdą, zawsze były migracje", ja pytam: „A jak wielką imigrację Europa wytrzyma? Dwa miliony? Dwadzieścia? Sto milionów?". Kiedy przechodzimy od rozważań ogólnych do konkretów, widać, że z taką imigracją, jaka może do Europy trafić, Europa sobie nie poradzi.

Nie poradzi sobie nie tylko dlatego, że większość tych imigrantów ma bardzo kiepskie wykształcenie i pochodzi z kultur o wartościach innych niż wartości współczesnej Europy. Nie poradzi sobie, bo dla ogromnej większości tych imigrantów żadnej pracy w Europie nie ma ani nie będzie. Owszem, ludność w Europie się starzeje i być może jej liczba zacznie się zmniejszać – być może, bo nie wiemy,

eprasa.pl 0f336d80c7

czy w najbliższych 10 latach nie zostaną odkryte nowe możliwości przedłużania zdrowia i życia ludzi. Jednak nawet jeśli liczba czynnej zawodowo ludności będzie się zmniejszać, to wcale nie będzie rosło zapotrzebowanie na pracowników. Przeciwnie, jednocześnie będzie rosła liczba ludzi bez pracy, bo naszą pracę będą w coraz większym stopniu przejmować sztuczna inteligencja i sterowane nią roboty. Być może nastąpi jakiś wzrost zatrudnienia w związanych z nimi zawodach lub w jakichś nowych profesjach, ale to będą liczby minimalne w stosunku do tych, których sztuczna inteligencja zastąpi. W samej Polsce jest 700 tys. zawodowych kierowców, od taksówek do ciężarówek. Jest prawie pewne, że w nadchodzących latach samochody autonomiczne, bez kierowców, będą w stanie ich zastąpić. Podobnie z innymi zawodami – czytałem mnóstwo różnych prognoz o wpływie sztucznej inteligencji na zatrudnienie, ale w najbardziej optymistycznych przewidywano, że spadek zatrudnienia będzie niewielki, pod warunkiem że dziesiątki milionów – w Unii – będzie można przekwalifikować. Według większości prognoz, i się z nimi zgadzam, niezależnie od przekwalifikowania i tak miliony ludzi będą tracić pracę. A mówimy tylko o najbliższych kilkunastu latach.

Czy politycy europejscy próbują jakoś temu zaradzić? Podejmują jakieś działania?

Tak, są rozmaite programy pomocowe dla Afryki, które jednak nie doprowadzą do powstrzymania emigracji, ale przeciwnie – do jej wzmożenia. Z analiz historycznych wynika jasno, że biedne kraje, które się rozwijają, wysyłają coraz więcej emigrantów, bo coraz więcej osób stać na zainwestowanie w emigrację.

To pozorny paradoks, ale powolna poprawa dochodów w krajach Afryki będzie sprzyjać zwiększonej emigracji, bo więcej potencjalnych emigrantów stać będzie na zapłacenie przemytnikom za dostarczenie ich do Europy. Jednakże sytuacja w kraju, który nie jest bezpieczny, przewidywalny, który jest przeżarty korupcją, ze słabą opieką zdrowotną i edukacją, zachęca do szukania lepszych opcji życia.

Czyli jest pan za ucięciem pomocy dla Afryki i stworzeniem „twierdzy Europa"?

Jestem za wielokrotnym zwiększeniem inwestycji i pomocy dla Afryki, ponieważ uważam, że powinniśmy pomagać ludziom i krajom, którym żyje się znacznie biedniej, gorzej i krócej niż nam, czyli że pomagać powinniśmy z powodu naszych ludzkich, europejskich wartości, a nie wyłącznie dlatego, że nam to coś daje. To nie powinna być ślepa pomoc, ale taka, która poprawi sytuację kobiet, poprawi wykształcenie, zdrowie, zlikwiduje głód mieszkańców Afryki, a także ograniczy liczbę rodzących się tam dzieci. A jednocześnie zmniejszy korupcję i polepszy demokrację na tym kontynencie.

Ale tak, jestem za tym, żeby równolegle tworzyć „twierdzę Europa", do której przedostać się będą mogli w uzgodniony, zaplanowany sposób tylko nieliczni spośród tych dziesiątków milionów ludzi, którzy by chcieli tu przybyć – może 100, może 200 tys. ludzi rocznie, ale nie miliony.

Paradoks polega na tym, że jeśli takiej twierdzy nie stworzymy, jeśli pozwolimy na przeniesienie się do Europy milionów czy nawet dziesiątków milionów ludzi, to nasza zdolność do pomagania Afryce znacząco spadnie – będziemy wydawać pieniądze na utrzymanie migrantów i zajmować się gaszeniem wybuchających nieustannie krwawych konfliktów między bezrobotnymi, sfrustrowanymi przybyszami a wkurzonymi, sfrustrowanymi mieszkańcami Europy. Kolejne wybory wygrywać będą partie coraz bardziej skrajnie antydemokratyczne, bo „demokracja zawiodła".

W ubiegłym roku większość państw na świecie i w Europie podpisała globalny pakt migracyjny, który ma uregulować migrację. Jak pan ocenia te działania?

To są działania kompletnie bez znaczenia, taki PR, żeby się dobrze poczuć. Ani nie ograniczy to migracji, ani nie poprawi losu imigrantów. W sytuacjach kryzysu imigracyjnego być może będzie ograniczać swobodę działania krajów, do których imigranci trafiają, ale to już gdybanie. W sytuacjach kryzysu, jak widzieliśmy w Europie, uzgodnione bowiem zasady i przepisy idą w kąt – system dubliński przestał obowiązywać i nikt się tym nie przejął.

Wiele osób kieruje się humanitaryzmem. Nie chcą, żeby imigranci ginęli na Morzu Śródziemnym, wskazują na cierpienia imigrantów w obozach prowadzonych przez milicje libijskie. Co ma pan im do powiedzenia?

GRZEGORZ LINDENBERG „WZBIERAJĄCA FALA. EUROPA WOBEC EKSPLOZJI DEMOGRAFICZNEJ W AFRYCE" IDE 2019

Ja też nie chcę, żeby imigranci tonęli w Morzu Śródziemnym, byli katowani w libijskich obozach ani gwałceni przez przemytników. Jednak jedynym sposobem, żeby trwale i skutecznie te zjawiska zlikwidować, jest zlikwidowanie nielegalnej imigracji, tak jak zrobiła to Australia. Jeśli potencjalni imigranci widzą, że nie mają żadnej szansy na dotarcie albo pozostanie w kraju docelowym, to przestają próbować, bo nie chcą na próżno wydawać tysięcy dolarów, sum dla nich gigantycznych, których odzyskanie jest możliwe tylko wtedy, gdy imigracja im się powiedzie. Dlatego osobom humanitarnym mówię: „Domagajcie się skutecznego wstrzymania nielegalnej imigracji, to ocali tysiącom ludzi życie". Rozwiązania typu „wyślijmy więcej statków do zabierania imigrantów z łodzi przemytników" nie tylko nie ograniczą ofiar, lecz także jeszcze je pomnożą, bo więcej osób będzie próbowało dostać się do Europy jak najszybciej.

Jest pan optymistą czy pesymistą w kwestii ograniczenia imigracji?

Niestety, pesymistą. Politycy nie dostrzegają skali problemu – ani polscy, ani unijni. Liberałowie i lewica tej skali nie rozumieją, sądzą, że sobie poradzimy, tak jak radziliśmy sobie dotychczas. A bagatelizowanie problemu i zostawianie go bez rozwiązania tylko pogorszy sytuację, również polityczną, w krajach Unii. Zagrożenie imigracją będzie wzmacniać wyłącznie skrajną prawicę. Jeśli ktoś chce dojścia do władzy faszystów w Europie, ten niech bagatelizuje imigrację.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Grzegorz Lindenberg – doktor socjologii, menedżer, redaktor i publicysta. Był dyrektorem generalnym Agory, gdy powstawała „Gazeta Wyborcza", i tworzył „Super Express". Jest autorem pierwszej polskiej książki o sztucznej inteligencji „Ludzkość poprawiona. Jak najbliższe lata zmienią świat, w którym żyjemy". Obecnie członek zarządu Fundacji Instytut Spraw Europejskich.

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. ADOBE STOCK

BEZALKOHOLOWE EMERYTURY

W funduszach emerytalnych w skrócie chodzi o to, by gromadzić pieniądze przyszłych emerytów, inwestować je, a potem wypłacać emerytom. W Norwegii teraz już to drugie ma mniejsze znaczenie. Chociaż alkohol jest tam legalny, to największy fundusz emerytalny (KLP) wycofał udziały z blisko stu firm, które mają więcej niż 5 proc. zysków ze sprzedaży alkoholu lub organizowania gier hazardowych. Emeryci nie zarobią więc np. na dobrej passie producentów piwa.

DZIECKO KONTRA DOM

Scottie Pippen, amerykańska gwiazda koszykówki z lat 90., pozwał rodzinę z pięcioletnim dzieckiem, której wynajął dom. Pozwani to znana stand-uperka Lindsay Glazen i jej mąż. Były zawodnik NBA uważa, że rodzina zdemolowała mu nieruchomość. Chce odszkodowania – w sumie ponad 100 tys. dol. – m.in. za to, że rodzice dziewczynki pozwalali jej beztrosko rysować po ścianach kredkami i mazakami. Wynajmujący mieli też pozwalać swoim czworonogom załatwiać się gdzie popadnie. Wśród szkód koszykarz wyliczył też zdewastowane meble i bramę garażową.

SEMENYA ZNÓW Z KOBIETAMI?

Caster Semenya – biegaczka, która ma tyle testosteronu co biegacze – być może znów będzie startowała z kobietami, których pokonywanie przychodziło jej łatwo. Międzynarodowa Federacja Lekkoatletyczna (IAAF) uznała, że sportsmenki z nienaturalnie wysokim poziomem testosteronu powinny go farmakologiczne redukować, i tę decyzję podtrzymał Trybunał Arbitrażowy ds. Sportu w Lozannie. Jednak lekkoatletka odwołała się w tej sprawie do szwajcarskiego Sądu Najwyższego i ten zawiesił decyzję IAAF. Prawnicy biegaczki uznali, że w ten sposób bronią praw człowieka. Prawa biegaczek do konkurowania z kobietami widocznie się w prawa człowieka nie wpisują.

„CZARNOBYL" BEZ CZARNOSKÓRYCH BULWERSUJE?

Nowy serial HBO „Czarnobyl" zyskał światowy rozgłos. Po filmie o katastrofie aż o 40 proc. wzrosła liczba wycieczek w te rejony Ukrainy. Zachwytom nad produkcją nie ma końca. Nie wszystkim jednak wszystko się spodobało. Brytyjska scenarzystka i prezenterka radiowa Karla Marie Sweet wyraziła oburzenie serialem na Twitterze. Nie podoba jej się, że w produkcji nie wystąpił żaden czarnoskóry aktor. Ba, nie było w ogóle żadnego człowieka o innym kolorze skóry niż biały. Scenarzystka dostała taką porcję odpowiedzi od internautów, że musiała zablokować swoje konto na Twitterze. ©℗

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA

Reparacje: greckie a polskie

ŁUKASZ WARZECHA

Grecja żąda od Niemiec rozpoczęcia rozmów o reparacjach. Niemcy posyłają Grecję na drzewo, powołując się na podpisane w 1960 r. z tym krajem porozumienie, które miało zamykać kwestię roszczeń. Greccy politycy wiedzą, że są na przegranej pozycji, ale będą temat wałkować, bo w tym kraju zbliżają się wybory, a w następstwie greckiego kryzysu Niemcy stały się dla Greków głównym chłopcem do bicia, rzecz jasna – retorycznego, bo siła greckiego państwa w porównaniu z Berlinem jest znikoma.

To sytuacja bardzo podobna do naszej. Główny „właściciel" tematu reparacji, poseł Mularczyk, nie pojawił się na żadnej z dotyczących sprawy konferencji naukowych, za to z niezmienną pewnością siebie twierdził, że „reparacje uzyskamy", bo „nam się należą". To oczywiście nieprawda i poseł Mularczyk świetnie to wie – etycznie mamy do nich prawo, ale prawnie rzecz biorąc – nie. Polski rząd zrzekł się roszczeń w 1950 r., a że III RP jest prawnym następcą PRL, więc trudno tę decyzję podważyć. Nie istnieje zaś żadna międzynarodowa instancja, do której moglibyśmy swoje żale skierować.

Jedyna droga to dwustronne rozmowy z Niemcami, odwołanie się do kwestii etycznych i przekonanie Niemców, że powinni nam, w imię dobrych relacji, wynagrodzić nasze krzywdy. Do tego potrzebna jest jednak wola obu stron.

11 listopada ubiegłego roku prezydent Duda zadeklarował, że Pałac Saski zostanie odbudowany. Sfinansowanie tego dzieła przez państwo niemieckie byłoby znakomitym gestem, przynajmniej na początek. Tyle że jak zwykle wszystko się rozlazło – o deklaracji prezydenta nikt już nie pamięta, z Niemcami nikt nawet nie próbował o tym rozmawiać. Czyli wyszło jak zwykle. ©℗

eprasa.pl 0f336d80c7

Scheda po Putinie

Marek Budzisz

W obozie rządzącym Rosją już rozgorzała walka o układ sił, gdy za pięć lat Putin skończy swoją ostatnią kadencję

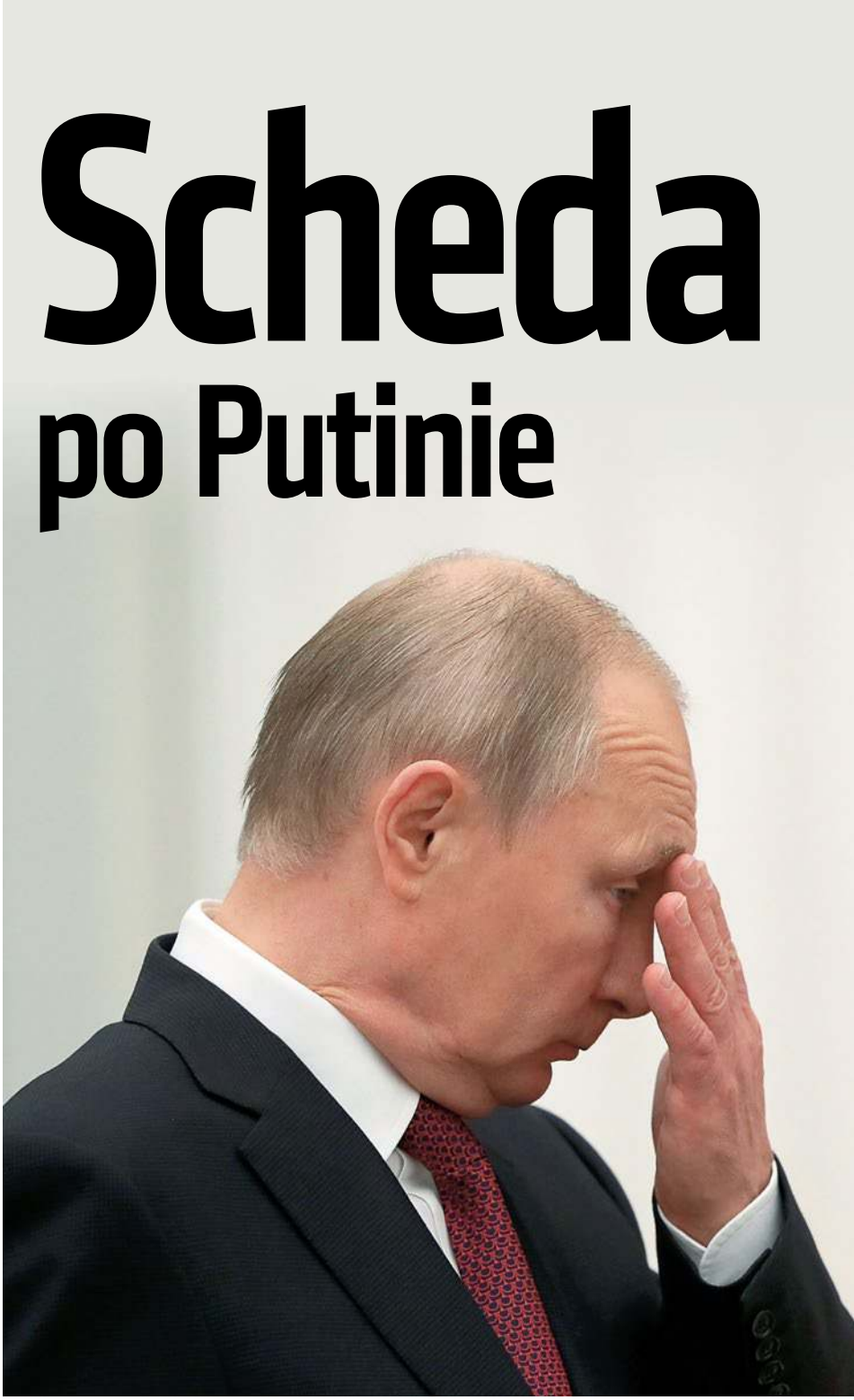

FOT. EVGENIA NOVOZHENINA/POOL/AFP/EAST NEWS

Walerij Teterin ma 26 lat. Jest niepracującym inwalidą II grupy, irkuckim aktywistą społecznym. Niewykluczone, że akcja, którą rozpoczął, ujawniła istotne pęknięcia w jednolitym do tej pory obozie rosyjskiej władzy. Otóż 7 października ubiegłego roku, w dniu urodzin Władimira Putina, Teterin chciał zorganizować u siebie protest, obliczony na 350 uczestników, przeciw polityce rządu. Złożył wniosek o pozwolenie, którego nie dostał, i ostatecznie, zgodnie z rosyjskim prawem, sam stanął na ulicy, trzymając w rękach własnoręcznie napisaną kartkę z hasłem: „Putin kradnie emerytury".

Młody aktywista nie pogodził się z odmową lokalnych władz. Uznał, że jej uzasadnienie jest bałamutne, zaskarżył decyzję wyżej i sprawa zawędrowała ostatecznie do rosyjskiego Sądu Konstytucyjnego. Rozpatrujący jego wniosek irkuccy urzędnicy byli zdania, że Teterin, ubiegając się o zgodę na manifestację, nie napisał, w jaki sposób zamierza zadbać o bezpieczeństwo zgromadzenia, i w związku z tym zwrócili podanie nawet bez rozpatrzenia. Sprawa przybrała dość zaskakujący i polityczny wymiar. W trakcie posiedzenia sądu ujawniły się zaskakujące różnice zdań między przedstawicielami rosyjskiej władzy. Reprezentujący prezydenta i rosyjski parlament w swych wystąpieniach stwierdzili, że postanowienie władz Irkucka jest zgodne z obowiązującym w Rosji prawem, ale odrębnego zdania był Andriej Kliszas z Rady Federacji wyższej izby rosyjskiego parlamentu, który przekonywał, że to do obowiązku władzy, a nie obywateli, należy zapewnienie bezpieczeństwa zgromadzeń, a ponadto w rosyjskim ustawodawstwie nie ma regulacji umożliwiających zwrot wniosku obywatela przez urząd bez jego rozpatrzenia.

Kliszas stoi na czele frakcji liberalnej w Jednej Rosji, rosyjskiej partii władzy, a ujawniona różnica zdań, według obserwatorów rosyjskiej sceny politycznej, jest świadectwem pęknięć w jednolitym do tej pory obozie rządzącym Rosją.

POLITYCZNE AMBICJE

Inne przykłady są jeszcze bardziej wymowne. Na początku marca miał wystąpić w rosyjskiej Dumie minister Orieszkin, odpowiadający za rosyjską gospodarkę. Wystąpienie przerwał mu marszałek Wiaczesław Wołodin, który stwierdził, że minister nie odpowiada na pytania, nie ma wiele do powiedzenia i w związku z tym niepotrzebnie zabiera czas deputowanych. I zwyczajnie, co jeszcze w Rosji nigdy się nie zdarzyło, odesłał ministra „do domu". Obserwatorzy zwrócili przy okazji uwagę na to, że nie był to pierwszy gest spikera rosyjskiej Dumy, świadczący o jego rosnących ambicjach politycznych i chęci usamodzielnienia oraz uzyskania większej autonomii instytucjonalnej. Wcześniej, jeszcze w ubiegłym roku, proponował

eprasa.pl 0f336d80c7

on zmianę rosyjskiej konstytucji, następnie wypowiadał się za wprowadzeniem w Rosji zasady umożliwiającej odwołanie przez Dumę ministrów, których parlamentarzyści źle oceniają, a całkiem niedawno wkroczył na pole zarezerwowane dotychczas dla Władimira Putina. Powiedział, że jego zdaniem porozumienia mińskie „są martwe" i winno się je zastąpić czymś innym. Tę ostatnią wypowiedź musiał prostować rzecznik Kremla Pieskow.

W podobny sposób należy interpretować niedawne wystąpienie rosyjskiego prokuratora generalnego Jurija Czajki przed Radą Federacji, w którym powiedział on, co obserwatorzy uznali za sensację i bezpośredni atak na niezwykle wpływowe w Rosji instytucje, że tylko w ubiegłym roku podległe mu służby śledcze aresztowały dwa razy więcej niż rok wcześniej skorumpowanych agentów FSB, a złodziejstwo w Rostechu, państwowym gigancie nadzorującym programy kosmiczne, jest tak wielkie, że dochodzenia trwają już pięć lat „i końca ich nie widać".

WALKA O WŁADZĘ

Zdaniem obserwatorów w Rosji nasiliła się w ostatnim czasie w obozie rządzącym walka o władzę w związku ze zbliżającą się umowną cezurą roku 2024, kiedy to zgodnie z obowiązującą konstytucją Władimir Putin będzie przekazywał swój urząd następcy.

Powody nerwowości władzy są dość oczywiste. Na początku maja oficjalnie poinformowano o wynikach gospodarczych pierwszego kwartału. I są one fatalne. Rosyjski PKB wzrósł w ujęciu rocznym o wątłe 0,5 proc., co oznacza, że w bieżącym roku raczej nie uda się osiągnąć planowanego przez rząd wskaźnika 1,8 proc. wzrostu PKB. Aleksiej Kudrin, prezes rosyjskiego odpowiednika NIK, a w przeszłości minister finansów i doradca ekonomiczny Putina, komentując te wskaźniki, powiedział, że jego zdaniem rosyjska gospodarka w całym roku urośnie nie więcej niż o 1 proc., ale nie brak też głosów pesymistów, którzy twierdzą, że w związku z rozpoczętymi przez Stany Zjednoczone wojnami handlowymi światowa gospodarka zwolni, zmniejszy się popyt na rosyjskie surowce i w efekcie Moskwę czeka nawet recesja. Nawet jeśli jednak ten czarny scenariusz się nie ziści, to dla nastrojów społecznych nie ma znaczenia, czy wzrost wyniesie 0,8 proc. czy 1,5 proc., skoro realne dochody ludności szósty rok z rzędu spadają. Pierwszy kwartał nie odbiegał od wyników lat ostatnich, statystycy odnotowali ich spadek o kolejne 2,3 proc. Niższa niż spodziewano się inflacja, o czym informuje rosyjski bank centralny (choć nadal przekracza 5 proc. w skali roku), też może być efektem słabnącego popytu ludności, która musi oszczędzać już niemal na wszystkim.

Ostatnie badania nastrojów konsumentów przeprowadzone w maju przez firmę Romir pokazują, że już 83 proc. Rosjan mówi, iż w codziennych wydatkach musi się ograniczać (w ubiegłym roku wskaźnik ten wyniósł 76 proc.). Przy czym 24 proc. ankietowanych (rok wcześniej 17 proc.) deklaruje, że w ubiegłym roku zmuszeni zostali do ograniczenia wydatków na jedzenie, i to nie delikatesy, ale artykuły pierwszej potrzeby.

GORSZE NASTROJE

Nic dziwnego, że badania, przeprowadzane regularnie w Rosji przez ośrodki zarówno kontrolowane przez władze, jak i cieszące się resztkami niezależności, pokazują stałe pogarszanie się nastrojów społecznych. Putin i Jedna Rosja notują historycznie niskie wskaźniki poparcia, a cała linia polityczna realizowana przez Rosję po 2014 r. zaczyna być kwestionowana.

Zmiana nastrojów społecznych już zaczyna wpływać na korektę nie tylko polityki władzy, lecz także rosyjskiej opozycji. W połowie maja w uralskim Jekaterynburgu wybuchł konflikt związany z planami budowy cerkwi prawosławnej w jednym z niewielu miejskich parków w tym zanieczyszczonym przemysłowym mieście. Władza najpierw chciała poradzić sobie z protestami ludzi w tradycyjny sposób – ogrodziła teren i przystąpiła do pacyfikacji. Wybuchły starcia, byli aresztowani, kilka osób poturbowano. Jednak ku zaskoczeniu wszystkich w całą sprawę wtrącił się Putin i zapowiedział „pogłębione sondaże opinii publicznej". Przeprowadzono je i lokalny gubernator poinformował o odstąpieniu od przedsięwzięcia. Podobna deklaracja padła z ust prezydenta Rosji w związku z inwestycją w postaci budowy wielkiego wysypiska śmieci w obwodzie archangielskim.

Te nowe tony, świadczące o pewnym łagodzeniu twardej linii Kremla, związane są najprawdopodobniej z mającymi odbyć się jesienią w wielu miejscach w Rosji, w tym tak prestiżowych jak Petersburg, wyborami władz municypalnych i gubernatorów. Niecieszącą się wysokimi rankingami poparcia w badaniach publicznych Jedna Rosja już ogłosiła, że nie wystawi w nich swych kandydatów. Oczywiście nie oznacza to, że takowi nie wezmą w nich udziału, chodzi raczej o to, że wystąpią w większym stopniu pod szyldem „kandydatów niezależnych", a nie pod nielubianym partyjnym logo. W przypadku wyborów na stanowiska gubernatorów taki trick jest niemożliwy, bo jednym z podstawowych atutów kandydatów władzy jest to, że są to „ludzie Putina". Na razie władza nie ma większych powodów do niepokoju. Z grupy 16 kandydujących jednym z najsłabiej notowanych jest pełniący obowiązki w Petersburgu Aleksandr Biegłow, który w drugiej rosyjskiej stolicy może liczyć według ostatnich badań na 54,4 proc. głosów. Jak jednak stwierdzają pracujący dla władzy specjaliści, to jeszcze nic nie znaczy, bo nastroje społeczne mogą się jeszcze pogorszyć, a wszystko zależeć będzie od tego, jakich kandydatów wystawi opozycja.

Przy czym trzeba pamiętać, że wbrew rozpowszechnionym na Zachodzie i u nas poglądom to nie demokratycznej opozycji rządzący Rosją obawiają się najbardziej. Przede wszystkim ich niepokój budzi rosnąca popularność komunistów i rozmaitego koloru nacjonalistów. Tylko oni do tej pory byli w stanie zagrozić monopolowi ekipy Putina. Teraz jednak istotne przewartościowania następują też w obozie opozycji demokratycznej. Michaił Chodorkowski, były oligarcha i wieloletni więzień Putina, wezwał demokratów nie tylko, jak zawsze, do połączenia wysiłków, lecz także do poparcia wszystkich sił politycznych, które mogą odsunąć Jedną Rosję od władzy. Podobne hasła głosi Aleksiej Nawalny, który już w zeszłym roku wzywał Rosjan, aby ci głosowali obojętnie na kogo, byleby nie na tych, którzy obecnie rządzą. Chodorkowski chce także, aby ten ekumenizm opozycji wzmocniony został przez nasilenie protestów społecznych. W jego opinii tak wzmocniona presja opozycji na władze musi doprowadzić do pęknięć w jednolitym dotychczas obozie. A wówczas możliwe są zarówno rozmowy, jak i, finalnie, porozumienie części obozu władzy z domagającą się zmian opozycją. I wtedy może zacząć się realny proces demontażu systemu Putina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. MARCELO DEL POZO/REUTERS/FORUM

To jest wojna kulturowa

Z Santiago Abascalem, liderem hiszpańskiej partii VOX
rozmawia w Madrycie Małgorzata Wołczyk

eprasa.pl 0f336d80c7

MAŁGORZATA WOŁCZYK: VOX po wyborach powszechnych w Hiszpanii, samorządowych i tych europejskich wdarł się wreszcie w wielkim stylu na waszą scenę polityczną. Witamy w klubie „niepokornych" partii w Europie. Czy warto być wiernym myśli założycielskiej ojców UE, skoro sama Unia odrzuca wartości, które ją stworzyły? Czy VOX jest gotowy na tę nierówną walkę?

SANTIAGO ABASCAL: VOX jest gotowy na wszystkie batalie, choć jednocześnie wie, jak są trudne. Don Pelayo, który rozpoczął rekonkwistę, nigdy nie ujrzał jej finału. I my walczymy równie zacięcie, wiedząc, że być może nigdy nie uda nam się zobaczyć triumfu wielu naszych idei. Może ujrzy to dopiero przyszłe pokolenie. Nasze zmagania to nie jest walka przedwyborcza, ale wojna kulturowa. I tak to widzimy również w odniesieniu do Europy. Wierzymy w projekt wspólnej Europy, ale nie wierzymy w jej aktualny kształt. Nie jest możliwe istnienie Europy, która wypiera się własnych korzeni, odrzuca całe dziedzictwo chrześcijaństwa, Rzymu i Grecji. Europa przekształca się we własnego wroga.

Znamy powiedzenie, że „tylko ten, kto wie, skąd pochodzi, wie, dokąd zmierza". Czy pana zdaniem Europa pamięta jeszcze, skąd pochodzi? Jaką diagnozę postawić dzisiejszej schorowanej Europie?

Niektórym decydentom marzą się jakieś Stany Zjednoczone Europy. Pragną stworzyć supernaród europejski, który przecież nigdy nie istniał, a tożsamość Europy wykuwała się między innymi w wojnach między nami. To dobrze, że Europa chce zapobiegać konfliktom międzynarodowym, ale zmusza też do projektu siłowego, który rozcieńcza tożsamości i niszczy suwerenność narodów, będących filarami Europy. I uważam, że ten, kto dąży do wdrożenia owego projektu, nie ma pojęcia o przeszłości Europy, a tym bardziej nie zadba o jej przyszłość.

Jak wiadomo, VOX nie próbuje zdemontować UE ani nie proponuje wyjścia Hiszpanii z jej struktur. Jedyne, o co się upomina, to powtórne przemyślenie tego wielkiego projektu, porzucenie dogmatu o ustawicznym postępie w kierunku federalizacji, postuluje odzyskanie kontroli demokratycznej nad organami UE, większą transparentność procesów, mniejszą biurokrację, no i przede wszystkim porzucenie odchyleń ideologicznych promujących multikulturalizm, aborcję, ideologię gender, nielegalną imigrację. To jeszcze możliwe – odzyskać kontrolę demokratyczną lub ograniczyć władzę autorytarną płynącą z Brukseli?

Nie jest możliwe w krótkim terminie, ale jako cel wydaje się konieczne. Organy unijne zmierzają w stronę politycznego bezprawia, m.in. przez biurokratyzację, przez deficyt demokracji, federalizację. Nie znamy naszych reprezentantów, nie mamy żadnego wpływu na sposób zarządzania i – co niebagatelne – ta machina biurokratyczna jest gigantyczna i poza kontrolą demokratyczną. Trzeba na nowo przemyśleć Parlament Europejski. Proponowałbym, aby na przykład delegacje posłów narodowych z poszczególnych państw spotykały się cyklicznie, tworząc swego rodzaju izbę, aby obradować o najważniejszych sprawach. Chodzi nie tylko o redukcję kosztów, które są marnotrawione, lecz także o zatrzymanie federalizacji Europy.

Może zabrzmi to dziwnie, ale pomimo wielu afrontów i połajanek, z którymi spotyka się Polska ze strony Brukseli, wciąż pozostajemy państwem członkowskim niezwykle proeuropejskim. Hiszpanie, jeden z najstarszych narodów Europy, o dziwo także nie mogą liczyć na udaną współpracę z unijnymi organami, co dobitnie pokazał casus katalońskiego puczysty Puigdemonta chronionego decyzjami belgijskich czy niemieckich sędziów, którzy podważyli wyrok hiszpańskiego sądu i odmówili ekstradycji z oskarżenia o „zamach stanu". To jeden z przykładów autorytarnego interwencjonizmu centrum w stosunku do peryferii Europy, na których się znajdujemy. Czy Hiszpania próbuje zajmować stanowczą postawę wobec poleceń płynących z Brukseli czy nie ma co liczyć, że Madryt z obecnym premierem Sanchezem zachwieje monopolem władzy na osi Paryż–Berlin?

Skądże! Zresztą nikt z większościowych partii Hiszpanii nie ośmieliłby się, a już na pewno nie Sánchez. Ostatni raz kiedy Hiszpania miała „czelność" próbować rozbić porozumienie Paryż–Berlin, i to właśnie osią Madryt–Warszawa (co się stało w 2003 r., gdy oba rządy przeciwstawiały się wtedy nowemu projektowi konstytucji i upominały o poszanowanie traktatu w Nicei), ówczesny rząd Aznara, który w ostatnich naszych dziejach miał najsilniejszą pozycję na arenie międzynarodowej, został odsunięty od władzy w dziwnych okolicznościach po zamachu terrorystycznym w 2004 r. Absolutnie nie wysuwam oskarżeń, nie mam podstaw, powtarzam tylko to, co mówi wielu ekspertów – że zamach z 11 marca do dziś nie doczekał się wystarczających wyjaśnień. Hiszpanie wciąż nie wiedzą właściwie, kto stał za zamachem.

Pomówmy o nielegalnej imigracji, w przypadku Hiszpanii rekordowych rozmiarów. My wiemy, że multikulturalizm poniósł klęskę, bo bez pełnej integracji nie ma wspólnoty, nie ma społeczeństwa, tylko plemiona koegzystujące na tym samym terenie. Czy wzmocnienie granic, ich ochrona są priorytetem dla Hiszpanii? To znaczy dla jej rządzących...

Absolutnie nie. Co więcej, zdecydowana postawa ministra Salviniego, aby zamknąć granicę włoską dla nielegalnego przepływu imigrantów, popchnęła premiera Sáncheza do nieodpowiedzialnego gestu – otworzył nowe drogi morskie i przyjął barki, których nie przyjmowali Włosi. Zmienił przez to drogi przerzutu ludności z Afryki przez Ceutę i Melillę. Dlatego obserwujemy rosnącą liczbę przybyszy, kolejne zwielokrotnione rekordy padną tego lata. Ta migracyjna fala jest konsekwencją nieodpowiedzialnego dyskursu politycznego, utopijnego myślenia, według którego Europa może i powinna przyjąć każdą liczbę „uchodźców", że każdy ma prawo żyć, gdzie chce, a granice państw są czymś dziś niestosownym. To ogromna nieodpowiedzialność i my się takiemu myśleniu przeciwstawiamy nie z powodu rzekomego braku serca czy miłosierdzia, lecz z powodu odpowiedzialności za nasze dzieci oraz przyszłe pokolenia.

> **Supernaród europejski przecież nigdy nie istniał, a tożsamość Europy wykuwała się między innymi w wojnach między nami**

Rządzący UE nie powinni pozostawić państw granicznych z tym problemem, czyli samotnego mierzenia się z wielką falą migracyjną, ale państwa takie jak Polska, Węgry opowiedziały się przeciwko systemowi odgórnej, przymusowej relokacji. Oskarża się nas o brak solidarności, łamanie ducha współpracy i rozliczne fobie. Czy tak samo myślą o nas przeciętni Hiszpanie? Czy też widzą w nas wrogów wspólnoty? Dodam na naszą obronę, że w międzyczasie przyjęliśmy co najmniej 2 mln imigrantów z Ukrainy...

eprasa.pl 0f336d80c7

W dyskursie oficjalnym tak to jest odbierane, tak to przedstawiają inne partie, media i wykorzystują do oskarżeń. Jestem jednak przekonany, że ogromna większość Hiszpanów postrzega waszą postawę tak jak my w VOX – jako rozsądną i odważną. Poza tym wszyscy jesteśmy ofiarami wielkiej farsy, bo nie chodzi tu o masy prześladowanych uchodźców, ale zwyczajnych imigrantów ekonomicznych. W 2014 r. odwiedziłem obóz uchodźców w Iraku i wtedy już miałem przeczucie, że problemy z Państwem Islamskim skończą się pod drzwiami naszych domów. Było to na długo przed zamachami w Paryżu czy Barcelonie. I wciąż nas martwi, że problem terroryzmu islamskiego nie tylko nie został rozwiązany, ale został importowany w nasze najbliższe otoczenie. Nasze, wasze zatroskanie o wspólny dom – Europę – jest jak najbardziej proeuropejskie, podczas gdy elity UE zdają się dążyć w innym kierunku.

Mówi się, że żadna wielka cywilizacja nie została zniszczona inaczej niż przez autodestrukcję. Czy to nie groźba wobec Hiszpanii, która zmaga się teraz z rozrywającymi ją od środka silnymi separatyzmami: katalońskim i baskijskim?

Hiszpania już od ponad wieku walczy z tymi tendencjami odśrodkowymi i wciąż udaje się jej trwać w zjednoczeniu. Ta świadomość daje nam siłę, choć wciąż publikuje się na nasz temat mnóstwo przekłamań i tworzy się czarną legendę odnoszącą się do dziejów imperium hiszpańskiego. Nasza historia ma swoje cienie, tak jak w przypadku każdej nacji, ale zawiera bez porównania więcej pięknych kart. Europa nie byłaby Europą bez naszej rekonkwisty. Hiszpania wniosła mnóstwo w historię dziejów, żeby wspomnieć tylko o odkrywaniu nowych lądów i misji szerzenia chrześcijaństwa. Mamy prawo do dumy z naszej historii. Nikt nie może zanegować idei braterstwa Hispanidad, tej uniwersalnej wspólnoty państw zjednoczonych wokół kultury i języka hiszpańskiego. Nie byliśmy rasistami, nasi przodkowie nie tylko ewangelizowali, lecz także łączyli się w małżeństwa z Indiankami, w przeciwieństwie do innych zdobywców. Brakuje nam dumy narodowej, wmówiono nam, że jako katolicki naród jesteśmy opóźnieni, anachroniczni, straciliśmy wiarę także w nas samych. Separatyzmy to również owoc tej czarnej legendy i nienawiści do własnej ojczyzny.

Właśnie w obliczu groźby „bałkanizacji" Hiszpanii wielką rolę odegrał VOX, który od początku bronił integralności, a nawet zaprowadził prowodyrów puczu w Katalonii przed trybunał. A jednak mam przykre wrażenie, że Hiszpanie nie do końca docenili wasze starania. Mówię nie tylko o wyniku wyborów powszechnych, lecz także o ostracyzmie, któremu jesteście poddani z każdej strony. I lewica, i skrajna prawica prześcigały się w fake newsach na wasz temat. Co się stało z narodem, że przechodzi tak wielki kryzys? Nie rozpoznaje tych, którzy chcą go ocalić?

A ja mam wrażenie, że jednak docenia się naszą walkę. Może to nie miało takiego przełożenia na głosowanie, ale to dlatego, że obywatele poddani byli ogromnej presji mediów, posłuchali apeli o oddanie głosu użytecznego w obliczu systemu dwupartyjnego i metody d'Hondta, która faworyzuje dwie największe partie. Mamy podzielone społeczeństwo, ale jednak optymistycznie patrzę w przyszłość. Widzę reakcję ulicy, wszyscy czujemy w VOX, że stoją za nami masy, tak jak to było na naszych mityngach, na przepełnionych placach i stadionach.

No właśnie, przekonano społeczeństwo, że nie ma sensu głosować na małe partie, a tymczasem te największe od dekad bronią interesów swojej kasty, stąd tak obecna w Hiszpanii korupcja wśród polityków. Trzeba więc jednak oddać sprawiedliwość, że sporo ugraliście na początek. Pytanie, czy można było jeszcze więcej, zważywszy na to, że VOX jest obecnie partią najszybciej zdobywającą popularność.

Było trudno od początku: nie byliśmy finansowani, nasze ulotki nie docierały do mieszkańców, onieśmielano głosujących, wycofując naszą listę z kabin do głosowania, a upominanie się o nią mogło napawać strachem w niektórych enklawach lewicy. Poza tym ustawiczne ataki mediów, demonizowanie VOX jako skrajnej prawicy, czcicieli frankizmu. Było niemożliwością osiągnąć więcej w tak wrogim otoczeniu. Udało się jednak, wchodzimy do instytucji: parlamentu, samorządów, Parlamentu Europejskiego…

Czy szefowie partii VOX już zdecydowali, do której grupy w europarlamencie dołączą? Może jednak do naszych europosłów we frakcji Europejskich Konserwatustów i Reformatorów? Przecież świetnie współgramy…

Wciąż nie podjęliśmy decyzji. Mamy nadzieję, że mapa ideologiczna w PE bardzo się zmieni. W poprzedniej kadencji były dwie grupy, z którymi mieliśmy dobre relacje. Z jednej strony grupa Europejscy Konserwatorzy i Reformatorzy, z drugiej grupa Europa Narodów i Wolności, w której jest Salvini. Uważnie obserwujemy też pozycję Viktora Orbána, chcielibyśmy współtworzyć silną grupę. Nie ukrywamy obaw, bo w obu grupach są obecni flamandzcy zwolennicy separatyzmów, a to stanowi problem dla nas. Nie podejmiemy tej decyzji w pośpiechu…

Czy obawia się pan życia w nowym imperium socjalistów? Chociaż znając pana biografię, jest pan przyzwyczajony do życia w stanie permanentnego zagrożenia…

(śmiech) Nie, jestem tylko… wkurzony. Znów trzeba będzie się pożegnać z wolnością, reżim nie pozwala na wiele rzeczy. Gdybyśmy się bali, już byśmy odpuścili. Życie trzeba przeżyć godnie i odważnie. Nie mogą nas zastraszyć. Wspierają nas napotkani ludzie, którzy dziękują, że z nami odzyskują głos i poczucie godności.

Pomówmy o pozytywach, które można wyciągnąć z negatywnych doświadczeń. Może obserwujemy preludium do prawdziwej obywatelskiej przemiany? Hiszpanie w ostatnim roku wychodzili masowo na ulice. Ileż można żyć w dyktaturze „czerwonych"?

Zobaczymy to w najbliższych miesiącach. Tworzący się (ten sam) rząd Sáncheza nie ma kompetencji ani planu. Znów ucierpią: ekonomia, gospodarka, wolności obywatelskie, pojawi się zagrożenie rozpadu i Hiszpanie wystawią wreszcie rachunek. Wcześniej czy później coś drgnie w narodzie, mam wrażenie, że przed końcem kadencji nowego rządu.

Nasze, wasze zatroskanie o Europę jest proeuropejskie, podczas gdy elity UE zdają się dążyć w innym kierunku

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

Z hybrydą nabierzesz rozpędu

Małe spalanie, duża zmiana

Już od **109 zł** netto*

*Przy wynajmie na 30 dni. Po pełną ofertę skontaktuj się z wybranym oddziałem Rentis

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 BYDGOSZCZ +48 519 535 300 GDAŃSK +48 519 535 311 GORZÓW WLKP. +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 KIELCE +48 519 535 304 KRAKÓW +48 519 535 305 LUBLIN +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 OLSZTYN +48 519 535 314 OPOLE +48 519 535 307 PŁOCK +48 519 535 334 POZNAŃ +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 SZCZECIN +48 519 535 310 WARSZAWA +48 519 535 302 WROCŁAW +48 519 535 307

eprasa.pl 0f336d80c7

Komu opłacają się PPK

Jacek Przybylski

Już 1 lipca największe firmy w Polsce zacznie obowiązywać ustawa o Pracowniczych Planach Kapitałowych. W ciągu najbliższego roku obejmie kolejne firmy. Miliony Polaków staną więc przed decyzją, która może przesądzić o jakości ich życia na starość

Demografowie od lat alarmują, że nasze społeczeństwo szybko się starzeje, a za 20–30 lat sytuacja ma być jeszcze bardziej dramatyczna. Stopa zastąpienia, czyli relacja emerytury do ostatniego przed nią wynagrodzenia, znacząco spadnie (w przypadku obecnych 30- oraz 40-latków szacuje się, że wysokość świadczenia będzie niższa o połowę).

Znane dotychczas rozwiązania emerytalne z pewnością nie wystarczą. Aby móc myśleć o spokojnej i dostatniej starości, potrzebne są więc realne oszczędności zgromadzone przez przyszłych emerytów.

Niestety, Polacy wciąż za mało oszczędzają. Mała jest też popularność dotychczasowych programów dobrowolnego oszczędzania na emeryturę. Według danych Komisji Nadzoru Finansowego w połowie 2018 r. IKE posiadało ok. 960 tys. osób, a IKZE zaledwie ok. 700 tys. Polaków.

PPK INNE NIŻ OFE

Aby na starość Polaków nie dotknęło ubóstwo, rząd opracował więc program dobrowolnego, dodatkowego długoterminowego oszczędzania, czyli Pracownicze Plany Kapitałowe. Chociaż skok na kasę z otwartych funduszy emerytalnych

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. ADOBE STOCK

– dokonany za rządów PO-PSL – mocno podważył zaufanie do tego typu programów, to rząd podkreśla, że PPK to kompletnie inny system niż otwarte fundusze emerytalne.

Najważniejsza zmiana polega na tym, że w odróżnieniu od składki do OFE, która pochodziła z części składki na ubezpieczenie społeczne, więc według sądów była częścią publicznego systemu ubezpieczeń, środki zgromadzone na koncie PPK będą całkowicie prywatne. Stanowić mają bowiem element trzeciego filaru systemu emerytalnego. Zaletą PPK jest też to, że w razie śmierci uczestnika tego programu jego spadkobiercy odziedziczą realne pieniądze, a nie tylko zapis w ZUS.

Gdyby do władzy doszedł kolejny premier à la Donald Tusk i chciał położyć łapę na oszczędnościach z PPK i ogłosić, że te pieniądze wcale do Polaków nie należą, to próba tego typu nacjonalizacji byłaby z punktu widzenia prawnego podobna do próby nacjonalizacji np. pieniędzy zgromadzonych w bankach na prywatnych lokatach. W ustawie o PPK znalazł się bowiem zapis, który wprost mówi o gwarancji prywatności zgromadzonych w ten sposób zasobów pieniężnych.

PPK od OFE odróżniają też reguły dotyczące polityki inwestycyjnej. W przypadku otwartych funduszy emerytalnych była ona taka sama niezależnie od wieku uczestnika funduszu. W PPK polityka inwestycyjna zależy od wieku uczestnika. Pieniądze gromadzone na rachunkach uczestników PPK lokowane będą w tzw. fundusze zdefiniowanej daty. Dzięki zawarciu w ustawie reguł inwestycyjnych fundusz zarządzający zebranymi środkami w miarę zbliżania się uczestnika do 60. roku życia ma obowiązek dostosowania polityki inwestycyjnej w taki sposób, aby zapewniała bezpieczeństwo powierzonych środków (w uproszczeniu: im uczestnik młodszy, tym większa część jego pieniędzy będzie inwestowana w ryzykowne, ale potencjalnie bardziej zyskowne akcje, a im uczestnik będzie starszy, tym większy odsetek jego oszczędności trafi do części obligacyjnej).

PPK różnią się od OFE również wysokością opłat. W przypadku otwartych funduszy emerytalnych pobierana była opłata od składki, opłata za zarządzanie aktywami, a także opłata z tytułu wypłaty transferowej. PPK są pod tym względem atrakcyjniejsze: opłata będzie bowiem pobierana jedynie za zarządzanie aktywami i wyniesie maksymalnie do 0,6 proc. wartości aktywów netto w skali roku.

Firmy zatrudniające co najmniej 250 osób powinny uruchomić Pracownicze Plany Kapitałowe już 1 lipca 2019 r. (liczy się stan zatrudnienia na 31 grudnia 2018 r.). Dla zatrudniających co najmniej 50 osób deadline to 1 stycznia 2020 r. (pod uwagę będzie brany stan zatrudnienia na 30 czerwca 2019 r.). Pół roku później do PPK będą musiały dołączyć firmy zatrudniające co najmniej 20 osób (według stanu na 30 czerwca 2019 r.). Do 1 stycznia 2021 r. Pracownicze Plany Kapitałowe będą musiały wdrożyć pozostałe przedsiębiorstwa, zatrudniające co najmniej jedną osobę, oraz „budżetówka".

To zaś oznacza, że do PPK zostanie automatycznie zapisany każdy zatrudniony w wieku 19–55 lat, podlegający obowiązkowo ubezpieczeniom emerytalnemu i rentowemu (chodzi nie tylko o osoby zatrudnione na umowę o pracę, lecz także np. na umowę-zlecenie lub umowę agencyjną). Pracownicy mający ponad 55 lat, ale mniej niż lat 70 też mogą być włączeni do PPK, ale muszą w tym celu złożyć u pracodawcy stosowny wniosek.

PREMIA NA START

Pracodawca powinien zacząć od podpisania z instytucją finansową umowy o zarządzanie. Wyboru takiej instytucji należy dokonać w porozumieniu z reprezentacją związku zawodowego lub – jeżeli w danej firmie związki nie działają – wspólnie z przedstawicielami zatrudnionych w niej osób. Do wyboru są towarzystwa funduszy inwestycyjnych, powszechne towarzystwa emerytalne, pracownicze towarzystwa emerytalne oraz zakłady ubezpieczeń. Aktualna lista takich instytucji znajduje się na stronie www.mojeppk.pl. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", na stronie widniały oferty 11 podmiotów zarządzających oferujących PPK.

Podpisanie umów o prowadzenie PPK musi nastąpić do 10. dnia miesiąca następującego po upływie trzech miesięcy od miesiąca, gdy danego pracodawcę zacznie obowiązywać ustawa (innymi słowy najwięksi pracodawcy muszą spełnić ten obowiązek do 12 listopada). Za niedopełnienie tego obowiązku – a także za nieterminowe wpłaty, brak odpowiedniej dokumentacji czy też niezgłaszanie obowiązkowych danych – grożą kary w wysokości od tysiąca do miliona złotych. Wysoka grzywna grozi też tym pracodawcom, którzy będą próbowali zniechęcać swych podwładnych do oszczędzania w PPK.

Oszczędności na kontach PPK będą pochodzić z trzech źródeł: z wpłat pracowników (w wysokości od 2 do 4 proc. wynagrodzenia brutto), wpłat pracodawców (w wysokości od 1,5 do 4 proc. wynagrodzenia brutto) oraz dopłat państwa (250 zł w ramach jednorazowej wpłaty powitalnej oraz 240 zł

eprasa.pl 0f336d80c7

rocznie). Kwoty dopłat są niezależne od wysokości dochodów, co oznacza, że stosunkowo najwięcej na PPK zyskają osoby najmniej zarabiające.

Z kolei dla firm ważny jest zapis mówiący, że wpłaty finansowane przez pracodawcę nie są wliczane do kwoty wynagrodzenia, która stanowi podstawę do ustalenia wysokości obowiązkowych składek na ubezpieczenia emerytalne i rentowe.

Ci Polacy, którzy wezmą udział w nowej reformie, będą więc przez najbliższe lata dostawać nieco mniejszą pensję, ale za to po przejściu na emeryturę zyskają dodatkowe pieniądze. Przedstawiciele władz są przekonani, że PPK odniosą sukces, ponieważ „Polacy potrafią liczyć". Rząd bierze jednak pod uwagę, że nie wszyscy mogą być zainteresowani takim rozwiązaniem, ponieważ po „grabieży" pieniędzy z OFE system długoterminowego oszczędzania wymaga odbudowy społecznego zaufania, a na to potrzeba czasu.

Osoby, które chcą zrezygnować z PPK, muszą złożyć u pracodawcy specjalne oświadczenie. Państwo zachęca jednak, aby tego nie robić. Ile osób mimo wszystko zrezygnuje? Nie wiadomo, ale rząd szacuje, że w reformie weźmie udział 70–80 proc. uprawnionych.

KIEDY WYPŁATA?

Uczestnik programu PPK, który ukończył już 60 lat, będzie mógł wypłacić 25 proc. oszczędności jednorazowo, a wypłatę pozostałej kwoty rozłożyć na minimum 120 comiesięcznych rat (w ten sposób uniknie się podatku od zysków kapitałowych). Po sześćdziesiątce będzie też można jednorazowo wypłacić całość zgromadzonych pieniędzy (wówczas trzeba jednak zapłacić podatek od zysków kapitałowych) lub kontynuować oszczędzanie w ramach PPK.

Chociaż najkorzystniej będzie wypłacić pieniądze dopiero po ukończeniu 60. roku życia, to ustawodawca przewidział możliwość wypłaty zgromadzonych w PPK oszczędności przez młodszych uczestników w dwóch sytuacjach. Pierwsza to poważna choroba uczestnika, jego małżonka lub dziecka (wówczas z konta PPK można wypłacić do 25 proc. zgromadzonych oszczędności bez obowiązku zwrotu).

Drugi przypadek to pokrycie wkładu własnego w związku z zaciągnięciem kredytu na sfinansowanie budowy domu lub zakupu mieszkania. Z tej możliwości będą mogły skorzystać tylko osoby przed ukończeniem 45. roku życia. W takim przypadku można wypłacić z rachunku PPK nawet 100 proc. zebranych środków. Trzeba jednak te pieniądze wpłacić z powrotem na konto PPK – istnieje jednak możliwość rozłożenia takiego zobowiązania na nieoprocentowane raty spłacane przez okres do 15 lat.

Oczywiście, ponieważ PPK to prywatne środki, to zaprzestania przekazywania pieniędzy na konto w systemie i zwrotu już zaoszczędzonych pieniędzy będzie można zażądać w dowolnej chwili. W takiej sytuacji uczestnik programu straci jednak 30 proc. wpłat pochodzących od pracodawcy (kwota ta jest przekazywana do ZUS) oraz wszystkie dopłaty od państwa.

KTO BEZ PPK

Z obowiązku utworzenia PPK zwalnia pracodawców również prowadzenie pracowniczych programów emerytalnych, o ile odprowadzana składka będzie wynosić minimum 3,5 proc. wynagrodzenia pracownika, a do PPE należy co najmniej jedna czwarta zatrudnionych.

Jak informuje portal analizy.pl, wraz z konkretyzacją planów wprowadzenia PPK dynamika tworzenia PPE wyraźnie wzrosła. W 2017 r. powstało ponad 40 PPE, w 2018 – ponad 200, a w ciągu niecałych pięciu miesięcy roku obecnego już niemal 300.

Spod obowiązywania ustawy o Pracowniczych Planach Kapitałowych wyłączone są także osoby prowadzące jednoosobową działalność gospodarczą. Rząd zachęca je więc do zakładania indywidualnych kont zabezpieczenia emerytalnego (IKZE).

Od 1 stycznia 2021 r. podwyższeniu ulec ma limit wpłat na IKZE dla samozatrudnionych. Prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą będą mogli rocznie zaoszczędzić na takim koncie 1,8-krotność średniego wynagrodzenia (obecnie limit wynosi 1,2-krotność prognozowanego średniego wynagrodzenia w gospodarce narodowej).

To ważna zmiana. Osoby oszczędzające na IKZE sumę wpłat dokonanych na indywidualne konta mogą bowiem odpisać od podstawy opodatkowania. Oczywiście pieniądze na emeryturę za pomocą indywidualnych kont emerytalnych (IKE) lub indywidualnych kont zabezpieczenia emerytalnego (IKZE) mogą zbierać nie tylko przedsiębiorcy, lecz także pracownicy zatrudnieni na etatach.

Zarówno IKE, jak i IKZE pozwalają uniknąć podatku od zysków kapitałowych, który wynosi 19 proc. W 2019 r. limit kwot wpłacanych na IKE wynosi 14 295 zł, a na konto IKZE – 5718 zł.

KOKOSÓW NIE BĘDZIE

Jeżeli PPK rzeczywiście staną się popularne wśród większości Polaków, to będą mieć znaczący wpływ na gospodarkę kraju. Wyższa stopa oszczędności powinna przełożyć się na szybszy rozwój rynku kapitałowego. Przyczyni się więc m.in. do rozwoju warszawskiej giełdy – na którą w pierwszych latach dodatkowo trafiać może kilka miliardów złotych rocznie – a także systemu bankowego. PPK może jednocześnie wpłynąć na wyższy wzrost gospodarczy Polski.

Z drugiej strony nie wiadomo, jaki wpływ wprowadzenie programu będzie miało na kondycję najmniejszych polskich przedsiębiorstw, dla których program oznacza dodatkowe koszty oraz obciążenia organizacyjne.

Trudno też przewidzieć wielkość ewentualnego dodatku do przyszłej emerytury pochodzącego z PPK. Bo chociaż kwota jednorazowej wypłaty może wydawać się wysoka, to już po rozłożeniu jej na miesięczne raty nie będą to kwoty pozwalające na życie na poziomie niemieckich emerytów.

PPK ma jednak dużo zalet i może być programem, który skutecznie zmotywuje pracowników do odkładania pieniędzy na starość. Jego sukces zależy głównie od tego, jak wielu Polaków rzeczywiście zaufa kolejnej reformie emerytalnej, a także od koniunktury na rynkach finansowych w początkowych latach działania programu. Hossa i dobre wyniki funduszy ułatwią przekonanie ludzi do udziału w PPK. Ewentualna bessa i potężne straty na początku mogą doprowadzić do masowego odpływu od programu. Niezależnie od tego, co się ostatecznie wydarzy, aby odbudować zaufanie do rządowych programów, państwo musi dotrzymać zawartej w programie obietnicy. Jednocześnie już teraz rząd powinien myśleć o nowych zachętach do oszczędzania na starość, np. zaczynając od obniżenia podatku od zysków kapitałowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto wykończył „centrum”?

Tu i ówdzie podnosi się lament, że ostatnie wybory do Parlamentu Europejskiego dowiodły, iż w Polsce „centrum” jest dziś tak małe, że jego wyznawców dałoby się policzyć na… No dobrze, rzecz jasna, nie dałoby się ich (jeszcze?) policzyć na palcach jednej ręki i nie ma się co spierać, czy wszyscy oni – razem wzięci – zmieściliby się na Stadionie Narodowym – po zsumowaniu miejsc siedzących i stojących, czy trzeba byłoby do tego „aż” kilku takich stadionów.

Rzecz prosta, zawsze w takim przypadku rodzi się pytanie, jak takie „centrum” zdefiniować. I zwykle pada odpowiedź: jako konserwatywnie nastawionych światopoglądowo zwolenników liberalnych rozwiązań gospodarczych. Odrzucających rewolucyjne rozwiązania, przywiązanych do spokojnego prowadzenia spraw publicznych. Odpowiedź w sumie tyleż wiele, co niewiele wyjaśniająca.

Jeśli rozumieć przez nie np. wcale niemałą część zwolenników PO-PiS-u z roku 2005 (czyli partii, która nie istniała, i koalicji, która nigdy ostatecznie nie powstała), wtedy naprawdę stosunkowo liczną, to łatwo znaleźć odpowiedź, kto zlikwidował (lub – jak kto woli – tak drastycznie zminiaturyzował) tamto „centrum”. I nie wygląda na to, by był to PiS, który rządząc w latach 2005–2007, w znacznej mierze odpowiadał właśnie na jego oczekiwania – umacniając konserwatywny kurs w sferze światopoglądowej, a w sferze gospodarczej wprowadzając wprost niezliczone reformy o charakterze liberalnym – kasując wiele podatków i innego typu obciążeń fiskalnych oraz obniżając wymiar innych – z kluczowym dla tamtej liberalnej operacji zastąpieniem trzech progów podatkowych PIT (19, 30 i 40 proc.) – dwoma (19 i 32 proc.).

W 2007 r. partia Kaczyńskiego przegrała wybory parlamentarne z partią Tuska, która po wielekroć przebiła PiS w licytacji na obietnice reform liberalizujących gospodarkę. Z osławionym 3 x 15 na czele: jedną liniową stawką PIT, CIT i VAT na poziomie 15 proc. dla wszystkich. Co z tamtego i pozostałych przedwyborczych liberalnych przyrzeczeń partia Tuska zrealizowała – wiadomo. Otóż – przez osiem długich lat swych rządów – nic albo tak niewiele, że nikt tego nie zauważył. A VAT podniosła z 22 do 23 proc.

I właśnie w ten sposób – swą niemocą kompromitując liberalizm gospodarczy – Tusk wykończył owo mityczne „centrum”, jeśli ono kiedykolwiek w Polsce istniało naprawdę, a nie tylko w umysłach niektórych politologów i komentatorów. Wykończył, dorzucając do pakietu niezrealizowanych gospodarczych obietnic liberalnych pierwsze zrealizowane antykonserwatywne eksperymenty światopoglądowe. Wykończył na długo albo na bardzo długo, a nie wiadomo, czy nie „na zawsze”. Wykończył „centrum” do tego stopnia, że w nadchodzących wyborach będzie ono rozpaczliwie walczyć już tylko o wejście do parlamentu. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Co nas łączy, co nas dzieli

W roku podwójnych wyborów widać szczególnie wyraźnie różnice i podziały w polskim społeczeństwie artykułowane przez partie polityczne, organizacje pozarządowe czy instytucje lobbingowe. W sferze ekonomicznej oś podziałów rysuje się nietypowo. Podczas gdy zwykle spór dotyczy skali interwencji państwa, w Polsce w zasadzie żadna licząca się siła polityczna nie proponuje wycofania rządu z gospodarki (mniej wydatków, podatków i regulacji). Po prostu Polaków, którzy chcą znaczącego zmniejszenia roli państwa w życiu gospodarczym i społecznym, jest tak mało, że partia, która głosi takie hasła, może liczyć na jednoprocentowe poparcie. Dlatego spór w Polsce dotyczy raczej obszaru interwencji (komu dać, a komu nie dać).

W sferze wartości i tożsamości mamy spór o wartości narodowe i patriotyczne w kontrze do narracji unijnej. W sferze obyczajowej podziały dotyczą praw środowisk homoseksualnych, co było szczególnie widoczne po szpagacie ideowym, jaki wykonało PSL, wchodząc do Koalicji Europejskiej. Widzimy wiele innych linii podziałów: węgiel vs. zielone technologie, edukacja patriotyczna vs. edukacja liberalna, otwarcie granic dla imigrantów z obcych nam kulturowo krajów vs. zamknięcie granic dla takiej imigracji, zmiany w sądownictwie widziane jako oczyszczenie wymiaru sprawiedliwości albo jako zamach na jego niezależność i wiele innych.

Znacznie trudniej wskazać to, co nas łączy, poza tym, co łączy wszystkie narody: język, geografia, symbolika oraz historia. Nawet jednak percepcja wspólnej historii dzieli nas bardziej niż cokolwiek innego. Dla jednych stan wojenny uratował Polskę przed inwazją Sowietów, a Okrągły Stół w Magdalence był symbolem odradzającej się demokracji. Dla innych oba wydarzenia to przykłady zdrady narodowej.

Zatem co nas łączy? Prawdopodobnie ogromna większość Polaków uważa, że członkostwo Polski w UE jest dla nas korzystne, gospodarczo i geopolitycznie. Faktycznie żadna z liczących się partii nie postuluje wyjścia z Unii, a polexit jest tylko wymysłem mediów powiązanych z konkretną opcją polityczną. Łączy nas także to, że jesteśmy (w zdecydowanej większości) chrześcijanami i katolikami oraz uważamy Kościół za ważną instytucję spajającą Polaków. Pokazał to dobitnie nieudany atak środowisk liberalnych na Kościół tuż przed wyborami. Chyba – niestety – łączy nas także niechęć do sukcesu innego Polaka, z wyjątkiem międzynarodowych sukcesów naszych sportowców, naukowców i artystów. Łączą nas też tragedie narodowe, chociaż dzieli ich postrzeganie, czego przykładem są powstanie warszawskie i katastrofa smoleńska.

Stawiam tezę, że pilnie potrzebujemy wizji i celu, które połączą Polaków. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 0f336d80c7

Tomasz Cukiernik

Restrykcyjne unijne regulacje i nieżyciowe polskie przepisy są winne gwałtownych wzrostów cen za odbiór odpadów komunalnych

Nasze drogie

W całej Polsce rosną ceny za wywóz śmieci. W Łodzi opłata za odbiór odpadów segregowanych skoczyła z 7 do 13 zł, a niesegregowanych z 12 do 22 zł miesięcznie od osoby. W Rumi za śmieci segregowane radni zwiększyli stawki z 11 do 15 zł, a za zmieszane z 19 do 40 zł. W Będzinie ceny poszły w górę odpowiednio z 11 do 21 zł oraz z 15 do 42 zł, a w Otwocku – z 16 do 31,50 zł oraz z 27 do 63 zł. W Piasecznie opłaty zwiększono o 300 proc., ale rekord pobiły chyba jednak podwarszawskie Marki, gdzie wzrosły one o 400 proc.! Za śmieci posegregowane mieszkańcy zapłacą 32 zł zamiast 8 zł, a za nieposegregowane – aż 67,50 zł zamiast 17 zł.

REFORMA ZLIKWIDOWAŁA KONKURENCJĘ

Skąd tak nagłe i drastyczne podwyżki? Pierwotną przyczyną są unijne regulacje oraz sytuacja międzynarodowa związana z odpadami. UE wymusiła na polskich władzach nowelizacje ustaw, które uderzyły praktycznie w każdy element łańcucha postępowania ze śmieciami. Najpierw spowodowały wzrost kosztów dla regionalnych instalacji przetwarzania odpadów komunalnych. To przełożyło się na wzrost kosztów firm odbierających odpady komunalne, które musiały podnieść ceny dla gmin. W rezultacie gminy masowo zwiększają opłaty śmieciowe dla mieszkańców. Niestety, na każdym etapie państwo poza niezbędnym minimum dodawało swoje trzy grosze, co jeszcze bardziej pogarszało sytuację. W jednym systemie odbioru odpadów jak w soczewce widać wszystkie szkodliwe cechy interwencjonizmu państwowego.

Prześledźmy ten łańcuch. Na końcu są mieszkańcy, którzy dowiadują się o podwyżkach cen za odbiór odpadów komunalnych serwowanych im przez gminy. Te muszą podnosić opłaty, bo firmy czyszczące startujące w przetargach windują im z kolei ceny za usługę. Niektórzy znawcy branży twierdzą, że wzrost tych cen wynika ze zlikwidowania konkurencji na rynku przez reformę, która weszła w życie w 2013 r. – Doszły wymogi, które faktycznie eliminują z rynku małe firmy, które nie są w stanie spełnić wszystkich wymogów, by startować do przetargów – mówi anonimowo radca prawny z Małopolski, który pracuje w branży. – Duże firmy, głównie zachodnie, przez te kilka lat obowiązywania ustawy zdołały wyeliminować wszystkie małe, które mogły to robić na starych warunkach – dodaje.

W niektórych regionach firmy śmieciowe po wygraniu przetargu ogłoszonego przez gminę stały się monopolistami i zaczęły wykorzystywać swoją pozycję, windując ceny za realizowane usługi. – W pierwszym roku działania ustawy w przetargach brało udział po kilkanaście firm, teraz są dwie, trzy, a czasem tylko jedna. Większość firm upadła lub została „połknięta" przez te,

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. ADOBE STOCK

śmieci

które wygrywały przetargi na obsługę całych gmin. Samorządowcy mówią wprost, że firmy, które zostały, podzieliły się gminami jak tortem i nawet nie wchodzą sobie w drogę – wyjaśnia Łukasz Chrząszcz, radny Wodzisławia Śląskiego.

– W powiecie otwockim w gminach takich jak Józefów, Otwock i Celestynów do przetargu zgłosiło się tylko po jednym podmiocie – mówi Paweł Walo, wiceprezydent Otwocka. I dodaje: – Kiedy za PO wchodziła ustawa, która na gminę scedowała odpowiedzialność za wywóz odpadów, już wtedy mówiło się, że ceny będą drastycznie rosły, bo konkurencja zostanie zabita. To wszystko wtedy bagatelizowano. Jak widać, rok po roku ta konkurencja była zabijana, rynek był stopniowo monopolizowany.

Jednakże nie można potępiać prywatnych firm za to, że starają się maksymalizować zyski. Na tym właśnie polega biznes. To państwo nie powinno im tego ułatwiać, tworząc regulacje, które ograniczają konkurencję rynkową, a tak się stało w przypadku reformy śmieciowej. Faktem jest, że liczba przedsiębiorstw, które odbierały odpady komunalne, spadła w ciągu roku o 11,4 proc.

Kolejnym elementem, który powoduje wzrost cen, są zamówienia publiczne organizowane przez samorządy. – Jeżeli zamówienie publiczne będzie tak sformułowane, że firma, która wygra, musi mieć najwyższe standardy oprogramowania i łączności, wysokiej jakości samochody, skomplikowaną sprawozdawczość, to jest to wszystko uwzględnione w ofercie cenowej. Jeżeli samorząd dodatkowo będzie tworzył asymetryczne umowy w zakresie kar, czyli od samorządu niczego nie można wymagać, natomiast samorząd wymaga bardzo dużo i np. za niewywiezienie pojemnika zgodnie z harmonogramem nakłada karę w wysokości 500 zł, a za nieosiągnięcie poziomów recyklingu kary są niezwykle wysokie, to są one jako ryzyko kontraktowe wkalkulowywane w cenę – tłumaczy Michał Dąbrowski, przewodniczący Rady Polskiej Izby Gospodarki Odpadami.

LITANIA REGULACJI

Przede wszystkim jednak firmy zbierające odpady płacą coraz więcej regionalnym instalacjom przetwarzania odpadów komunalnych (RIPOK) za przyjmowanie śmieci. – U nas ceny tony odpadów komunalnych zmieszanych kształtowały się w ten sposób, że w 2018 r. tzw. cena na branie wynosiła 300 zł, natomiast od 1 stycznia 2019 r. ta cena wzrosła do 418 zł – mówi Paweł Gęsicki, rzecznik prasowy Zakładu Gospodarki Odpadami Komunalnymi w Olsztynie. Także Małgorzata Błaszczykiewicz z firmy Remondis tłumaczy, że ceny na instalacjach zagospodarowujących odpady w ostatnich latach były kilkakrotnie podwyższane i jako przykład podaje wzrost cen w jednej z instalacji w centralnej Polsce, który spowodował nierentowność realizowanego przez Remondis kontraktu. Koszty firmy dotyczące zmieszanych odpadów komunalnych wzrosły tam o 44 proc., a te dotyczące odpadów biodegradowalnych – aż o 170 proc.

Największe podwyżki dotyczą okolic stolicy. – Na przełomie lat 2017 i 2018 było to ok. 280–300 zł za tonę, a już na przełomie lat 2018 i 2019 – ok. 570–600 zł – mówi Bartłomiej Wiązowski, koordynator Wydziału Gospodarki Odpadami w Otwocku. W związku z tym władze Otwocka przekazały sprawę do zbadania UOKiK.

Dlaczego w takim razie regionalne instalacje (które najczęściej są w rękach samorządów) podnoszą ceny? Przede wszystkim z powodu wzrostu opłat za zagospodarowanie frakcji kalorycznej. – Do niedawna było to ok. 100 zł, w tej chwili nie ma już cen poniżej 400 zł od tony – mówi Piotr Szewczyk, przewodniczący Rady Regionalnych Instalacji Przetwarzania Odpadów Komunalnych. To częściowo efekt działania rynku po podniesieniu tzw. opłat marszałkowskich. Mniej opłaca się składować śmieci, więc tym samym drożeje alternatywa w postaci ich przerobienia na paliwa, jeśli jest większy na to popyt. A za wzrost tzw. opłaty marszałkowskiej możemy podziękować Brukseli. – Powodem wzrostu stawek opłat była konieczność wypełnienia obowiązków wynikających z przepisów Unii Europejskiej przez znaczące ograniczenie ilości składowanych odpadów komunalnych – wyjaśnia Ministerstwo Środowiska. Chodzi o obowiązek osiągnięcia unijnych poziomów recyklingu (50 proc. w 2020 r.). Opłaty za składowanie niesegregowanych odpadów komunalnych wzrosły ze 120,76 zł/t w 2017 r. do 170 zł/t w 2019 r., a w 2020 r. wyniosą aż 270 zł/t.

Ceny w regionalnych instalacjach rosną także z powodu regulacji, które wymusiły wiele kosztownych inwestycji. W związku z pożarami wysypisk, które wynikają z tego, że to najtańszy sposób ich „zagospodarowania", w 2018 r. nowelizacja ustawy o odpadach wprowadziła nowe obowiązki dotyczące ochrony przeciwpożarowej i monitoringu składowisk oraz instalacji do przetwarzania odpadów oraz wpłacania kaucji za składowanie odpadów w wysokości do 600 zł/t. Ponadto z trzech lat do roku skrócono okres, w którym odpady od

eprasa.pl 0f336d80c7

wytworzenia do ostatecznej utylizacji mogą być magazynowane.

Do tego dochodzą kolejne generujące koszty wymogi: wprowadzenie pięciopojemnikowego systemu segregacji – nowym rodzajem są odpady biodegradowalne – czy przepis, by śmieciarki spełniały normę emisji spalin Euro 6. A od 2020 r. dojdą jeszcze koszty zakupu nowych niskoemisyjnych śmieciarek zasilanych energią elektryczną lub gazem ziemnym, czego wymaga ustawa o elektromobilności.

Co więcej, regulacje ograniczają konkurencję także pomiędzy RIPOK-ami. – Województwa zostały podzielone na regiony, każdy region ma instalację regionalną i tylko tam mogą trafiać odpady z naszych gmin. To monopolizacja zakładów gospodarki odpadami. Gdzie tu mowa o wolnym rynku, konkurencyjności, walce o klienta? – pyta Artur Beniowski, wójt Bestwiny koło Bielska-Białej.

– Kolejne obowiązki prowadzących instalacje ustanawia opublikowana 17 sierpnia 2018 r. decyzja wykonawcza Komisji (UE) 2018/1147 z 10 sierpnia 2018 r. ustanawiająca konkluzje dotyczące najlepszych dostępnych technik (BAT) w odniesieniu do przetwarzania odpadów zgodnie z dyrektywą Parlamentu Europejskiego i Rady 2010/75/UE – uzupełnia litanię regulacji Błaszczykiewicz.

ILE JESZCZE PODROŻEJE?

Jednak podstawowy problem polega na tym, że brakuje ostatecznych miejsc przetwarzania odpadów nienadających się do recyklingu. Liczba spalarni i cementowni jest niewystarczająca do wyprodukowanej frakcji palnej. Według ministerstwa nadpodaż wynosi 2 mln t rocznie (według GUS w 2017 r. wszystkich odpadów było 12 mln t). Na dodatek zaprzestanie przyjmowania odpadów przez Chiny, Indie, Filipiny i Wietnam spowodowało, że część śmieci z Europy Zachodniej trafiła do Polski, rozszczelniając system.

Nadpodaż spowodowała, że cementownie każą sobie płacić za przyjęcie paliwa z odpadów. – My płacimy cementowani 10–20 zł za tonę paliwa alternatywnego, więc musimy brać więcej pieniędzy od tych, którzy nam dają odpady. Regionalne instalacje też muszą wziąć więcej od firm zwożących odpady. Cena może sięgnąć nieba, bo i tak nie ma instalacji, które ostatecznie mogłyby to przetworzyć. I szybko nie powstaną, bo prawo odnośnie do ochrony środowiska i prawo naszych wspaniałych związanych z tym instytucji ekologicznych i quasi-ekologicznych blokowania wydawania nowych decyzji powoduje, że czas oczekiwania na decyzję o postawieniu spalarni wynosi pięć lat, a do tego okres budowy – kolejne pięć. My, żeby tylko zwiększyć przerób, musimy spełniać skomplikowane wymogi i czekamy na pozwolenie od marszałka trzy lata – mówi anonimowo producent paliwa alternatywnego ze Śląska. – Elektrownie i elektrociepłownie też nie mogą spalać, bo nie mają pozwolenia od urzędu marszałkowskiego, a ten nie wydaje tych decyzji, bo nasz kochany rząd zdecydował, że tylko 30 proc. odpadów komunalnych ma zostać spalonych – dodaje przedsiębiorca.

Opłata marszałkowska za składowanie niesegregowanych odpadów komunalnych (wt)

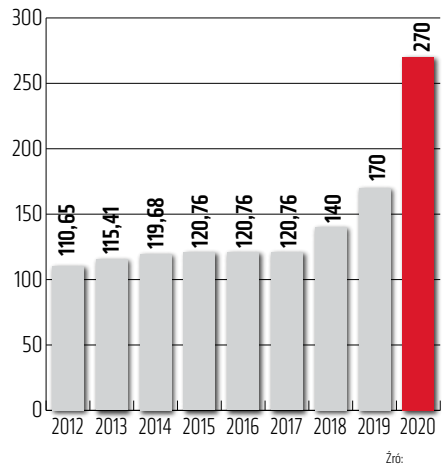

Co się dzieje z naszymi śmieciami? (dane za rok 2017) (w proc.)

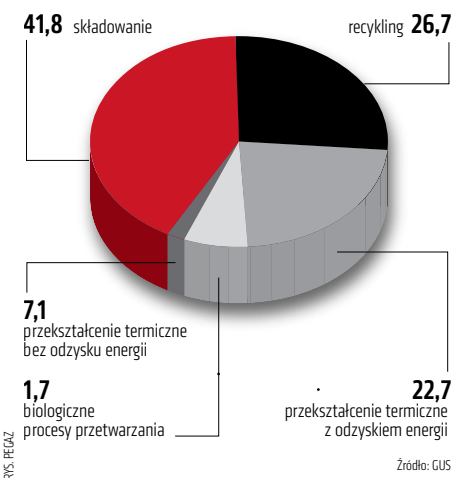

RYS. PEGAZ

Ponadto wszystkie firmy działające na rynku zmagają się ze wzrostem płacy minimalnej, cen paliw i energii elektrycznej, co siłą rzeczy powoduje, że muszą podnosić swoje ceny. – Koszt energii elektrycznej wzrósł z roku na rok z 220 zł do 340 zł/kWh – zauważa Szewczyk.

Zdaniem przedsiębiorcy ze Śląska są dwie możliwości rozwiązania problemu nadmiernej ilości śmieci: albo natychmiastowe przywrócenie możliwości składowania, albo otwarcie energetyki cieplnej na współspalanie odpadów. Należałoby też bez zbędnej zwłoki budować nowe spalarnie.

Jednak gminy już teraz mogłyby mniej płacić za odpady. – Za tonę odpadów selektywnie zebranych gminy płacą tylko złotówkę. Może być więc taniej, jeśli bardziej wzrośnie świadomość mieszkańców gmin, że im więcej odpadów będzie posegregowanych, tym więcej pieniędzy zostanie w gminach – tłumaczy Gęsicki. Oczywiście można też zrezygnować z recyklingu, jak robi to wiele miast w USA, bo jest on nieopłacalny. Plastik nadaje się do ponownego użycia ograniczoną liczbę razy. Jednak polskie gminy nie mogą tego zrobić, bo czekałyby nas kary ze strony UE. – Obecny rząd w projekcie ustawy proponuje deregulację: likwidacja monopolu RIPOK-ów, zlikwidowanie zakazu przemieszczania odpadów poza region gospodarki odpadami, dopuszczenie mniejszych instalacji do funkcjonowania. W nowym projekcie ustawy o utrzymaniu porządku i czystości w gminach jest pewien konsensus co do uwolnienia rynku – chodzi o ty, żeby małe i średnie przedsiębiorstwa mogły podpisywać bezpośrednio umowy z producentami odpadów komunalnych pochodzących z nieruchomości niezamieszkanych. To na pewno pozwoli na powrót tych firm do funkcjonowania w systemie gospodarki odpadami – uważa Dąbrowski. W świetle skomplikowania materii wydaje się, że zmiany pomogą, ale w niewystarczającym zakresie. Zamiast stawić czoło realnemu problemowi polegającemu na braku infrastruktury do zagospodarowania nadmiaru odpadów komunalnych, rząd prowadzi politykę w kierunku realizacji wyimaginowanych unijnych limitów recyklingu. A ilość produkowanych śmieci cały czas rośnie…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f336d80c7

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Poczta Polska

PARTNER GALI

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

eprasa.pl 0f336d80c7

TEST „DO RZECZY": OPPO RENO

Oryginalny, elegancki design, wysoka jakość wykonania i atrakcyjny wyświetlacz – to największe zalety modelu Reno firmy OPPO.

Średniak wyprodukowany przez chińskiego producenta – który w tym roku oficjalnie ogłosił, że ma ambicję stać się ulubioną smartfonową marką Europejczyków – wygląda ciekawie i elegancko. Ramka wokół ekranu jest bardzo wąska. Tylny panel został wykonany z odpornego na zarysowania, matowego szkła (z niewielkim paskiem z błyszczącego szkła pośrodku). Z przednim panelem łączy go zaś aluminiowa ramka.

Fajne wrażenie robi też elektrycznie wysuwany nad obudowę mechanizm przedniego aparatu fotograficznego, który przypomina grzbietową płetwę rekina.

Smartfon o sporych wymiarach (156,6 x 74,3 x 9 mm) pewnie leży w dłoni, jest jednak stosunkowo ciężki (185 g) i trudno byłoby obsługiwać go jedną ręką. Dodatkowy plus firmie OPPO należy się za dodawane w zestawie etui.

Na pochwałę zasługuje również wyświetlacz AMOLED o przekątnej 6,4 cala i rozdzielczości Full HD+ (1080 x 2340 pikseli; 403 ppi). Wyświetla intensywne, soczyste kolory, a chiński producent zapewnia, że wyświetlacz został skalibrowany zgodnie z wymogami kinowej przestrzeni barwowej DCI-P3.

Główny tylny aparat fotograficzny o rozdzielczości 48 MP (przysłona f/1.75) w dobrych warunkach oświetleniowych robi świetne, pełne szczegółów zdjęcia. Osiągnięcie tego efektu umożliwia drugi, 5-megapikselowy moduł, służący do pomiaru głębi ostrości. Niestety, na fotografiach wykonywanych w nocy pojawiają się już wyraźne szumy. Choć i tak OPPO Reno radzi sobie w tej konkurencji w miarę przyzwoicie.

Filmiki można nagrywać w rozdzielczości 4K, ale tylko z prędkością 30 kl./s. Wysuwany aparat przedni ma 16 MP rozdzielczości (przysłona obiektywu f/2.0) – jakość selfie jest co najmniej przyzwoita.

We wnętrzu urządzenia znajdziemy aż 6 GB pamięci RAM oraz 256 GB pamięci (czyli zostaje ok. 220 GB na zdjęcia, filmy czy muzykę). Szkoda jednak, że sercem urządzenia jest średnio wydajny procesor Qualcomm Snapdragon 710. Mimo to smartfon pracuje stabilnie i przyzwoicie radzi sobie z obsługą gier (choć w tej kategorii jest wyraźnie słabszy od flagowych modeli). W szybkiej obsłudze pomaga Reno sztuczna inteligencja, która po dwóch tygodniach współpracy z użytkownikiem zna już jego nawyki i jest w stanie zapewnić bardzo szybki dostęp do najczęściej używanych aplikacji.

Reno jest też wyposażony w moduł NFC, który umożliwia m.in. płatności zbliżeniowe.

Sprawnie działa również umieszczony pod powierzchnią wyświetlacza optyczny czytnik linii papilarnych. Zaletą tego modelu są także: czas pracy na baterii (o pojemności 3765 mAh), który wynosi od półtora dnia do dwóch dni, a także opcja bardzo szybkiego ładowania.

Wady? Po pierwsze brakuje wodoodporności. Po drugie za tę cenę można się spodziewać więcej niż pojedynczego, monofonicznego głośnika. Szkoda też, że smartfon nie obsługuje kart microSD, choć wbudowana pamięć powinna wystarczyć większości użytkowników.

Podsumowując, OPPO Reno to bardzo dobry średniak. Warto zapamiętać ten model, ale – biorąc pod uwagę ogromną konkurencję w tym segmencie – jego kupno rozważałbym dopiero, gdy cena spadnie poniżej 2 tys. zł. Obecnie kosztuje 2199 zł. ©℗

Jacek Przybylski

INTELIGENTNY GADŻET ROWEROWY

Już nie tylko kabiny samochodów zaczynają wyglądać jak kabina pojazdu kosmicznego, lecz także coraz bardziej nowoczesne i inteligentne stają się gadżety dla motocyklistów i rowerzystów. SmartHalo 2 dedykowany jest tym drugim. To niewielkie urządzenie z wyświetlaczem montowane na przedniej kierownicy, które dzięki synchronizacji ze smartfonowymi aplikacjami pozwala miłośnikom dwóch kółek odkrywać nowe trasy dzięki wyraźnym sygnałom nawigacyjnym, a także chronić rower za pomocą alarmu. Można też dzięki niemu sterować przednim światłem. A dla zwolenników analiz przydatne będzie także śledzenie i wyświetlanie wskaźników rowerowych: przejechanej trasy, prędkości, spalonych kalorii itd. W dodatku można te dane zsynchronizować z aplikacjami fitness.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SmartHalo 2 zamawiać można na Kickstarterze w cenie ok. 450 zł, dostawa w grudniu.

LATAJĄCY SELFIK

Zapowiada się bardzo ciekawie i całkiem niedrogo. AIR PIX to mieszczący się w dłoni gadżet, miniaturowy dron, który jest w stanie zrobić całkiem niezłe zdjęcie selfie z niewielkiej odległości i niewielkiej wysokości. Jak działa? Dzięki sterowaniu smartfonem – po włączeniu unosi się nad ziemią, na wysokości ok. 1,5–3 m, i „odfruwa" na odległość 2–30 metrów od właściciela gadżetu, robiąc zarazem zdjęcia. Później wystarczy go po prostu chwycić, wyłączyć i schować.

Cechy gadżetu: waga 52 g, Full HD 1920 x 1080 p, rozdzielczość 12 Mpix, zasięg do 30 m. Filmy wideo nie są najwyższej jakości, ale dla miłośników selfików wystarczy.

Zapowiada się, że cena też nie będzie wysoka – pierwsze modele, które do sprzedaży trafią w sierpniu, kosztować będą ok. 300 zł. Zamawiać można na Indiegogo.

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 0f336d80c7

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY

KGHM POLSKA MIEDŹ

Poczta Polska

GRUPA CEDROB

Grupa Inwest HM Inwest S.A.

eprasa.pl 0f336d80c7

PGE zasila kulturę

PGE Polska Grupa Energetyczna jest najbardziej rozpoznawalną marką w branży energetycznej. Będąc największą firmą tego sektora w kraju i jednym z liderów polskiej gospodarki, wspiera także wiele projektów z obszaru szeroko pojętej kultury i sztuki. Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu, Szalone Dni Muzyki, film „Kurier" i wiele innych większych i mniejszych inicjatyw artystycznych to przejaw zaangażowania Grupy w mecenat kultury na najwyższym poziomie

Od wielu lat PGE wspiera ważne inicjatywy kulturalne w Polsce, zarówno te skierowane do lokalnych społeczności, jak i te o zasięgu ogólnopolskim. Poprzez sponsoring kultury PGE aktywnie uczestniczy w rozwoju i ochronie kultury – tej polskiej i tej światowej.

– PGE jest jednym z filarów polskiej gospodarki, dlatego tak ważny jest dla nas aspekt prowadzenia biznesu w sposób odpowiedzialny. Jednym z przejawów takiej społecznie odpowiedzialnej postawy jest właśnie wsparcie różnorodnych projektów kulturalnych. Uznajemy to za nieodłączną część naszej misji – mówi Henryk Baranowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej.

Filharmonia Narodowa w Warszawie od lat nagradza PGE honorowym tytułem Mecenasa Roku w podziękowaniu za wspieranie koncertów muzycznych, jak również za wkład w muzyczną edukację dzieci i młodzieży poprzez autorski projekt Filharmonii Narodowej „Poranki i Popołudnia dla Małych Melomanów".

Ponadto PGE wspiera wiele innych muzycznych projektów, których ideą jest propagowanie muzyki poważnej. Wśród nich warto wymienić: Muzyczny Festiwal w Łańcucie, Szalone Dni Muzyki czy Festiwal Mozartowski. PGE obejmuje również patronat nad Wieczorem Poetyckim Zbigniewa Herberta oraz koncertem „Polska – Zasłużonym dla Ojczyzny", którego organizatorem jest Fundacja Cultura Memoriae.

Poprzez zaangażowanie w projekty muzyczne PGE kultywuje pamięć o wielkich twórcach światowej muzyki. Jednym z takich przedsięwzięć muzycznych wspieranych przez PGE jest też, organizowany od niedawna, Kromer Biecz Festival. Jest to święto muzyki dawnej, które ma na celu propagowanie m.in. utworów zapomnianych kompozytorów, przybliżając jednocześnie ich twórczość szerszemu kręgowi słuchaczy.

PGE jest również zaangażowana w Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu, który stanowi podsumowanie sezonu artystycznego polskiego środowiska twórców i wykonawców piosenek oraz jest jedną z najpopularniejszych imprez estradowych w Polsce. Od kilku lat PGE jest stałym sponsorem tego wydarzenia.

Grupa jest także sponsorem filmów, spektakli teatralnych i innych projektów artystycznych nawiązujących do

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE PGE

pozytywną energią

najważniejszych wydarzeń z historii Polski. Grupa została m.in. mecenasem filmu „Wyklęty" w reżyserii Konrada Łęckiego, którego premiera odbyła się w lutym 2017 r. i wpisała się w obchody Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych", jak również jednej z największych produkcji filmowych ostatnich lat – „Miasta 44" w reżyserii Jana Komasy. Ponadto, w 2018 r., PGE objęła główny mecenat nad filmem fabularnym o losach Jana Nowaka-Jeziorańskiego pt. „Kurier" w reżyserii Władysława Pasikowskiego. Film trafił na ekrany kin w tym roku.

Inną produkcją filmową dotyczącą tematyki historycznej, która została zrealizowana przy wsparciu PGE, jest film „Fajna ferajna" na podstawie książki Moniki Kowaleczko-Szumowskiej. Film opowiada o Powstaniu Warszawskim widzianym oczami jego najmłodszych uczestników.

W 2018 r., z okazji 100. jubileuszu odzyskania przez Polskę niepodległości, PGE wsparła wiele inicjatyw mających na celu uczczenie tego wydarzenia. Projekty te miały bardzo szeroki zasięg i zakres tematyczny. W partnerstwie z Grupą PGE zrealizowano łącznie 81 inicjatyw w ponad 50 miejscowościach na terenie 12 województw. Wśród nich warto wymienić m.in.: wakacyjne kino plenerowe „Polskie Drogi do Niepodległości" w Rzeszowie, Bydgoski Festiwal Muzyczny „Kontrasty-Niepodległa" czy transmitowany na żywo w studiu Radia Gdańsk koncert „Pusz & Soyka z okazji 100-lecia odzyskania Niepodległości".

Grupa PGE wsparła także wiele projektów o zasięgu ogólnopolskim. Jednym z takich wydarzeń była uroczysta premiera filmu „Niepodległość", która odbyła się w Teatrze Wielkim w listopadzie 2018 r. W filmie wykorzystane zostały nieznane dotąd materiały archiwalne z lat 1914–1923 pochodzące z Polski, Niemiec, Francji, USA i Rosji. PGE, w ramach rządowego programu „Niepodległa", była również sponsorem „Koncertu dla Niepodległej", który odbył się na PGE Narodowym. Podczas tego wydarzenia artyści zaśpiewali najważniejsze utwory muzyczne, które powstały na przestrzeni ostatnich 100 lat.

Dodatkowo, Fundacja PGE, w ramach jubileuszu 100-lecia odzyskania przez Polskę Niepodległości, wsparła finansowo prace konserwatorskie Sali Dębowej opactwa Cysterskiego w Henrykowie, w której eksponowana jest wierna kopia zabytkowej Księgi Henrykowskiej. Jest to kluczowy dla dziedzictwa polskiego i kultury europejskiej dokument historyczny, wpisany w 2015 r. na listę „Pamięć świata" UNESCO. W 2018 r. odbyła się także inauguracja wystawy w kaplicy zamkowej św. Marcina we Wrocławiu. Wydarzenie to również było wspierane przez PGE.

Ambicją Grupy PGE jest rozpowszechnianie dorobku kulturowego poprzez wspieranie różnorodnych inicjatyw artystycznych, zarówno tych ogólnopolskich, jak i lokalnych. PGE sponsoruje projekty innowacyjne, które mają walor edukacyjny oraz wywołują pozytywne emocje. Działania sponsoringowe wpisują się w misję prowadzenia biznesu w sposób odpowiedzialny, a także wzmacniają rozpoznawalność i pozytywny wizerunek marki.

eprasa.pl 0f336d80c7

Katarzyna Pinkosz

Obudzony do życia

Jeśli w ogóle udałoby mu się przeżyć, to miał nie chodzić, nie mówić, być jak roślina. Takie były pierwsze diagnozy po wypadku. Sześć lat później Dawid przygotowuje się do obrony dyplomu masażysty

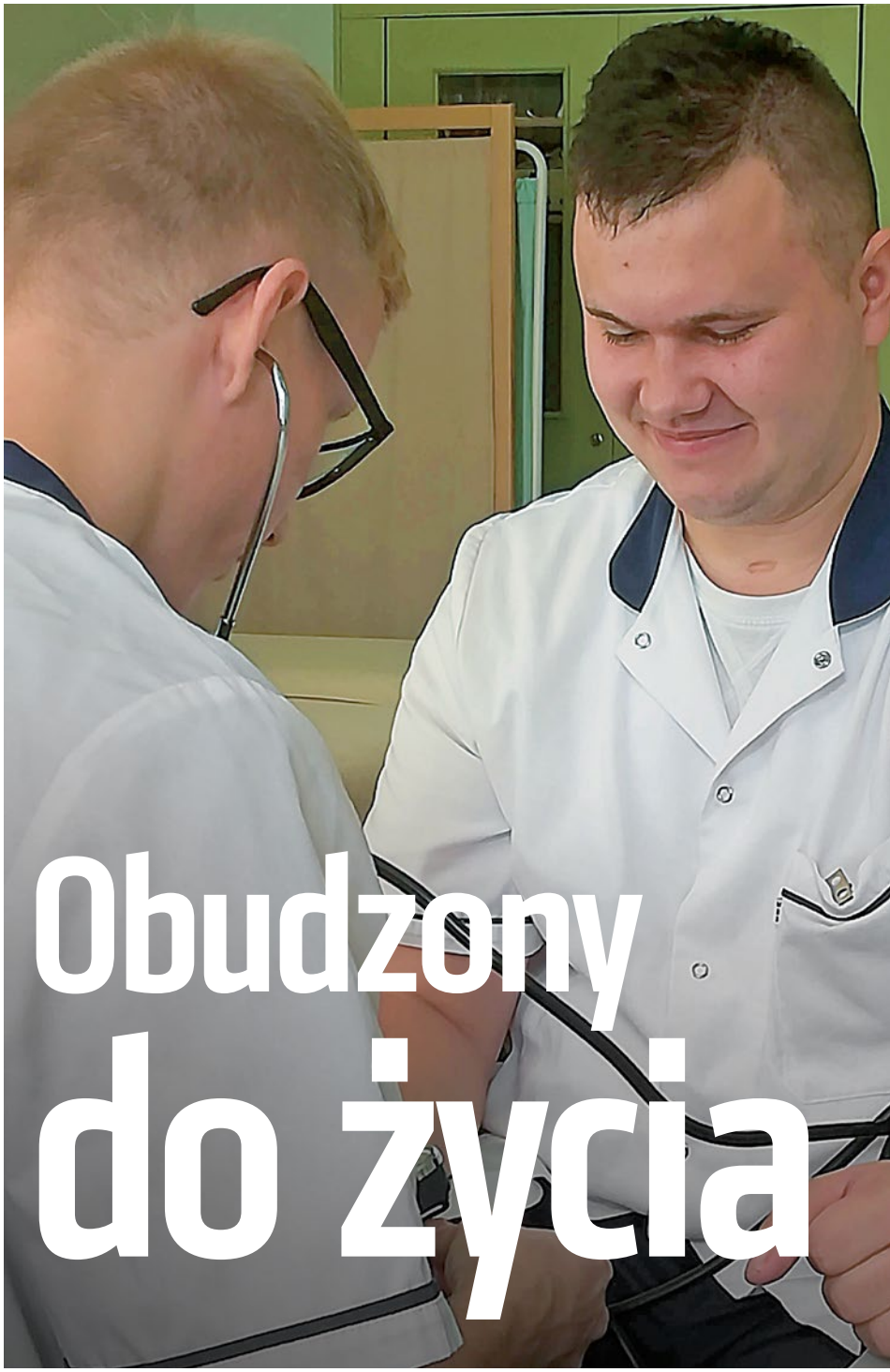

Gdy Dawid robi masaż, jest skoncentrowany, wyciszony i nie chce, by go odrywać od zadania. Najbardziej lubi pracować ze starszymi osobami. Może dlatego, że wydaje się to trudne. – Ja tak nie uważam, zresztą najważniejsze, żeby pomóc. Pamiętam, jak wiele dla mnie znaczyła rehabilitacja, gdy ze mną było źle. Dzięki niej mogłem wrócić do życia – mówi Dawid.

Pensjonariusze „Daru Serca" – zakładu opiekuńczo-leczniczego w Sztumie – uwielbiają Dawida. Radość była ogromna, gdy wrócił po dłuższej przerwie z powodu pobytu na turnusie rehabilitacyjnym. – Pielęgniarka mówiła, że gdy go nie było, jedna z podopiecznych w ogóle nie chciała jeść. Inna zawsze zwraca się do niego: „Panie doktorze" i nie jest dla niej ważne, czy on lekarzem jest, czy nie, tylko to, że przyjdzie, porozmawia, wysłucha – opowiada Bożena Jetke, mama Dawida. – Dla mnie największą zapłatą za masaż nie są pieniądze, tylko gdy ktoś potem mi powie: „Dziękuję, już mnie nie boli" – dodaje Dawid. Doskonale pamięta, co to ból, niemożność zrobienia kroku, samodzielnego pójścia do toalety, poczucie bezsilności i zależności od innych.

REHABILITACJA? GDY BĘDZIE SAMODZIELNY

Rok 2013: Dawid ma 21 lat, pracuje w policji w Sopocie, dział prewencji. Gdy w nocy wraca po pracy do domu, wjeżdża samochodem w nadjeżdżającego z naprzeciwka tira. Z poważnymi obrażeniami zostaje przewieziony do szpitala w Gdańsku. Lekarze ratują mu życie, nie udaje się im jednak wybudzić go ze śpiączki. Stan chłopaka niewiele się poprawia: nie oddycha samodzielnie, jest wspomagany respiratorem, żywiony poprzez sondę dojelitową (PEG).

Po miesiącu szpital stwierdza, że nic więcej już nie można zrobić: stan Dawida jest stabilny, nie wybudził się jednak ze śpiączki. Część lekarzy daje jeszcze nadzieję, przypominając, że „mózg jest nieprzewidywalny i wszystko może się zdarzyć", jednak większość mówi jednoznacznie: „Nie będzie chodził, mówił, siedział, do końca życia będzie jak roślina". Pada propozycja, by oddać go do hospicjum lub do zakładu opiekuńczo-leczniczego. Mama wie, że to oznaczałoby pogodzenie się z tym, iż stan Dawida już się nie poprawi.

Gdyby wypadek zdarzył się w 2019 r., Dawid mógłby trafić do działającego przy Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym w Olsztynie „Budzika dla Dorosłych", który powstał dzięki współpracy Fundacji „Akogo?" z prof. Wojciechem Maksymowiczem. Pod warunkiem że Dawid miałby szczęście i akurat zwolniłoby się miejsce, bo w olsztyńskim „Budziku" jest na razie osiem miejsc (od lipca ma ich być 15), co jest kroplą w morzu potrzeb. Podań o przyjęcie wpłynęło ok. 800.

eprasa.pl 0f336d80c7

Rokowania były bardzo złe, ale Dawid (na zdjęciu przodem) nie tylko wybudził się ze śpiączki po wypadku, lecz także dziś pomaga innym chorym odzyskać sprawność i pozbyć się bólu

FOT. ARCHIWUM DAWIDA JETKEGO

W 2013 r. jednak funkcjonuje tylko Klinika „Budzik" przy Centrum Zdrowia Dziecka, do której – zgodnie z prawem – mogą być przyjmowane tylko dzieci do 18. roku życia. Bożena Jetke szuka miejsca dla syna w całej Polsce. Najczęściej słyszy: „Tak, to możliwe, ale gdy będzie samodzielny, nie będzie miał rurki tracheotomijnej, PEG-a". – Przecież jeśli tego wszystkiego nie będzie miał i będzie samodzielny, to rehabilitacja nie będzie mu już potrzebna! – Bożena Jetke jeszcze dziś się denerwuje, gdy o tym opowiada.

Dzięki jej determinacji udaje się umieścić Dawida w toruńskiej Fundacji „Światło". To właśnie tam powoli zaczyna odzyskiwać świadomość: otwiera oczy, wykonuje pierwsze ruchy. Po raz pierwszy w „nowym życiu" mówi słowo: „Mama", a potem kolejne. Dalszą poprawę przynosi pobyt w klinice rehabilitacyjnej szpitala w Bydgoszczy. Ogromna praca lekarzy, fizjoterapeutów (i mamy) przynosi efekt: po dwóch miesiącach Dawid wychodzi do domu na własnych nogach.

Nie oznacza to, że jego stan jest taki jak przed wypadkiem. Dawid ma dalej problemy z płynnością mówienia, z chodzeniem, pamięcią. Po takich uszkodzeniach mózg budzi się bardzo powoli. Pojawia się też pytanie: Co dalej? Ma 21 lat. Do policji nie ma szans wrócić po wypadku.

DAĆ INNYM SIEBIE

Wypadek, śpiączka, wybudzenie – wszystkie te przeżycia powodują, że Dawid bardzo się zmienia. Wie, że dostał drugie życie. Pamięta też, jak się czuł, gdy trudno mu było ruszyć palcem, a największym marzeniem było samodzielne pójście do toalety. To, co dostał, gdy był w takim stanie, chce teraz oddać innym: postanawia zostać masażystą lub fizjoterapeutą, by pomagać odzyskać sprawność tym, którzy ją utracili. Zaczyna się uczyć w medycznej szkole policealnej: sztumskim Medyku. Po kilku miesiącach musi zrezygnować: nie jest w stanie przyswoić takiej porcji wiedzy z fizjologii i anatomii. – To trudny kierunek. Dawid był bardzo ambitny, nie potrafił jednak się odnaleźć, nie dawał rady – opowiada Barbara Borko, dyrektorka szkoły.

Dawid pracuje jako wolontariusz w „Darze Serca", dalej się rehabilituje, ćwiczy mowę, chód, chodzi na zajęcia z biofeedbacku. Pomagają, tyle że na to wszystko trzeba zdobywać pieniądze, bo NFZ takich zajęć nie refunduje. A dwutygodniowy turnus rehabilitacyjny to w jego przypadku 5–8 tys. zł.

Po dwóch latach czuje się mocniejszy, wraca do szkoły. – To był już całkiem inny człowiek. Nie zrażał się, chociaż czasem musiał na naukę poświęcić więcej czasu niż koledzy. Zawsze przychodził uśmiechnięty, nie widziałam, żeby na coś się złościł, choć wiem, ile go kosztowało przygotowanie do egzaminów. Czasem czuł się gorzej, musiał iść do domu, nigdy jednak nie wykorzystywał swojej choroby, nie chciał taryfy ulgowej – opowiada Barbara Borko. W sztumskim Medyku nie jest jedynym uczniem, który miał problemy. Dyrekcja jest zdania, że szkoła ma nie tylko uczyć, lecz także pomagać uczniom mającym deficyty. – Mamy uczniów z niepełnosprawnościami. Niech nauka będzie nawet dla nich terapią, ćwiczą pamięć, mają kontakty społeczne, cel w życiu. Wielu z nich pokonuje początkowe trudności, kończy szkołę, zostaje technikami masażystami, kosmetologami, pracuje z chorymi. Nie ma wątpliwości, że gdyby Dawid był w domu, gdyby nie czytał, nie przyswajał nowego słownictwa, nie miał tak wielu kolegów, dziś nie byłby tym, kim jest – mówi dyrektorka szkoły.

Dawid ma jeszcze momenty, kiedy musi dłużej się zastanowić, co chce powiedzieć. Miewa problemy z równowagą, dlatego potrzebuje rehabilitacji, ćwiczeń. Daleko mu jednak do pierwszych bardzo złych diagnoz lekarzy. Niektóre z nich wtedy słyszał, nie był jednak w stanie dać znaku, że nie zgadza się z diagnozą i chce walczyć. Jak czuje się osoba w takim stanie, która słyszy o swoim złym rokowaniu? – Nigdy nie mówcie w obecności osób nieprzytomnych, że ich rokowanie jest złe. Nie wiemy, co one słyszą, lepiej mówić o nadziei – powtarza często Barbara Borko swoim uczniom w szkole. Oni też, dzięki Dawidowi, uczą się empatii. Lubią go, bo zawsze jest uśmiechnięty, na nic nie narzeka.

Ma cel. – Nie poddaję się, bo wiem, że gdy dostanę dyplom, będę mógł robić w życiu to, co chcę: pomagać innym wracać do zdrowia – mówi. Ma plan: najpierw doskonalenie umiejętności jako wolontariusz, potem praca, samodzielność, własny gabinet, rodzina. Na wszystko przyjdzie czas – powrót ze śpiączki nauczył go, że marzenia się spełniają i nie mają granic.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Statystyk nie ma, szacuje się jednak, że **w przedłużającą się śpiączkę zapada rocznie w Polsce ponad 600 osób**; blisko trzy razy więcej dorosłych niż dzieci. Większość trafia do placówek opiekuńczych lub do domu. W olsztyńskim „Budziku" udało się do tej pory wybudzić 15 osób, w Klinice „Budzik" przy Centrum Zdrowia Dziecka – 54 dzieci, w toruńskiej Fundacji „Światło" – ponad 60 osób. Nie ma problemu z przyjęciem dziecka do Kliniki „Budzik" przy CZD, jednak w ośrodkach dla dorosłych na każde zwolnione miejsce czekają setki innych pacjentów.

eprasa.pl 0f336d80c7

FOT. ADOBE STOCK

Z prof. Jadwigą Nessler, pełnomocnik Zarządu Głównego PTK ds. Niewydolności Serca
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Niewydolność serca jest jak cichy nowotwór

KATARZYNA PINKOSZ: 60 tys. osób w Polsce umiera rocznie z powodu niewydolności serca: to więcej niż z powodu zawału serca czy udaru mózgu. Przyczyn tej choroby jest wiele, ale gdyby pani miała wymienić najważniejsze, byłyby to...

PROF. JADWIGA NESSLER: Choroba wieńcowa i nadciśnienie tętnicze – dwa główne schorzenia, które uszkadzają nasze serca. Dlatego tak ważne jest, żeby zwalczać czynniki ryzyka: uczyć już dzieci zdrowego odżywiania, przyzwyczajać do aktywności fizycznej, zniechęcać do palenia papierosów, czyli robić wszystko, by nie doszło do pojawienia się miażdżycy. A jeśli ona już występuje, to trzeba szybko ją zdiagnozować i wcześnie leczyć, by nie doszło do uszkodzenia serca. Równie ważne jest, żeby zapobiegać nadciśnieniu tętniczemu – czynniki ryzyka są podobne – a jeśli ono wystąpi: skutecznie leczyć.

Jeszcze kilka lat temu niemal nie mówiło się o niewydolności serca, dziś podkreśla się, że dotyka ona kilkuset tysięcy osób w Polsce. Co to za choroba?

Niewydolność serca to stan, kiedy serce nie jest w stanie dostarczyć organizmowi wystarczającej ilości tlenu do normalnego funkcjonowania. Pojawia się duszność: na początku po większym wysiłku, potem po coraz mniejszym, a z czasem także w spoczynku. Uszkodzone serce nie pracuje dobrze, a to prowadzi do niedotlenienia całego organizmu, wszystkich narządów. W Polsce nawet kilkaset tysięcy do miliona osób ma niewydolność serca, oczywiście w różnych stadiach. Konieczne jest jak najszybsze diagnozowanie i leczenie, by zapobiec zaostrzeniom, szczególnie takim, które wiążą się z tak silną dusznością, że wymaga ona pobytu w szpitalu. Każde zaostrzenie niewydolności serca, które powoduje konieczność pobytu w szpitalu, to pogorszenie stanu innych narządów z powodu niedotlenienia: mózgu, serca, nerek. Niewydolne serce uszkadza narządy, prowadząc do wyniszczenia organizmu. Ciężka niewydolność serca jest jak cichy nowotwór, który niszczy organizm.

Rokowania w ostrej niewydolności serca są takie jak w nowotworach?

Mimo postępu, który dokonał się w leczeniu niewydolności serca, dane mówią, że pięcioletnie przeżycia są gorsze niż w przypadku większości typów nowotworów – może z wyjątkiem raka płuca.

Jak ocenia pani sposób leczenia niewydolności serca w Polsce?

W wielu aspektach leczenie jest dobre, mamy możliwość stosowania wielu terapii. Jest jednak jeszcze wiele do zrobienia. Na pewno niewydolność serca powinna być wcześniej diagnozowana: ma to ogromny wpływ na dalsze losy pacjenta. Lekarze rodzinni, jeśli

eprasa.pl 0f336d80c7

podejrzewają tę chorobę, powinni mieć możliwość skierowania pacjenta na szybką ścieżkę diagnostyczną – tak jak to się dzieje w przypadku podejrzenia nowotworu. Diagnostyka i leczenie niewydolności serca powinny być zorganizowane tak samo jak pacjentów onkologicznych. Chory nie może czekać wiele miesięcy na niektóre zabiegi, np. powinna być większa możliwość wcześniejszego stosowania elektroterapii. Mamy dostęp do wielu terapii, takich jak inhibitory konwertazy, które wpływają na układ hormonalny, betaadrenolityki, antagoniści aldosteronu. To ważne grupy leków, które poprawiają rokowanie chorych. Chcielibyśmy mieć też możliwość stosowania terapii, która jest już dostępna właściwie we wszystkich krajach Europy co najmniej od dwóch lat. Działa inaczej niż dotychczas stosowane, mechanizm jest wielokierunkowy.

Przez wiele lat nie było leku, który w tak ewidentny sposób wpływałyby na zmniejszenie śmiertelności w niewydolności serca. To jeden z kamieni milowych w leczeniu tej choroby. Zastosowanie go zamiast inhibitora konwertazy poprawia rokowanie chorego. Badania kliniczne wykazały, że o ponad 20 proc. redukuje on śmiertelność z powodów sercowo-naczyniowych. A warto podkreślić, że jego skuteczność była oceniana nie w stosunku do placebo, tylko do leku, który od lat jest stosowany w niewydolności serca. Dzięki zamianie starego leku na nowy, o złożonym mechanizmie działania, zyskujemy spektakularną poprawę stanu pacjenta.

Stan pacjentów rzeczywiście tak bardzo się poprawia?

Mam kilku pacjentów, których w ten sposób leczyliśmy w klinice. Przykład: starszy pacjent, trafił na izbę przyjęć z powodu ostrej niewydolności serca. Miał ogromną duszność, z obrzękiem płuc – to stan zagrożenia życia. Bardzo długo nie mogliśmy go z tego stanu wyprowadzić, mimo podawania wszystkich klasycznych leków, także w formie dożylnej. Leżał u nas w szpitalu przez sześć tygodni. Gdy jego stan się poprawił, podaliśmy mu małe dawki leku sakubitryl/walsartan. Pozwoliło to na poprawę kurczliwości serca. Zaczęło ono lepiej pracować, zniknęły duszności, obrzęki. Chory wrócił do domu, normalnie funkcjonuje, od pół roku nie był w szpitalu, przychodzi tylko na kontrole. Widzimy, jak poprawia się funkcja serca. Mamy zresztą na to dowody: poprzez wykonywanie badań echokardiograficznych określamy, jak ono funkcjonuje. Prawidłowo frakcja wyrzutowa, która świadczy o dobrej kurczliwości mięśnia sercowego, powinna wynosić powyżej 55 proc. Gdy ten pacjent znalazł się w szpitalu, frakcja wyrzutowa jego serca wynosiła mniej niż 20 proc. Teraz ta kurczliwość mięśnia sercowego poprawiła się do 45 proc.: to prawie prawidłowe wartości. Sam przychodzi na kontrole do poradni, a wcześniej musiała mu towarzyszyć rodzina. Pacjent nie mógł nawet samodzielnie dawkować sobie leków.

Inny z naszych pacjentów znalazł się w szpitalu z powodu ciężkiej arytmii zagrażającej życiu. Miał wszczepiony kardiowerter-defibrylator, jednak arytmia często nawracała. Kardiowerter powodował przywrócenie prawidłowego rytmu, jednak częste jego stosowanie prowadziło do bardzo niekorzystnego dla serca stanu, który nazywamy „burzą elektryczną" – to ciągłe nawracanie arytmii i ciągła kardiowersja. Włączyliśmy u chorego ten lek w bardzo małej dawce. Po dwóch tygodniach stan pacjenta zaczął powoli się poprawiać, po trzech tygodniach został wypisany do domu. Arytmie ma sporadyczne, sporadycznie korzysta z kardiowertera-defibrylatora.

Jak widzi pani grupę pacjentów, którzy powinni mieć możliwość stosowania tego leku?

Na pewno chorzy, którzy przebyli co najmniej jedną hospitalizację z powodu ciężkiego zaostrzenia niewydolności serca: jest to sygnał, że nie sprawdza się leczenie, które dotychczas było stosowane. Jak wspominałam, każde zaostrzenie stanu chorego, gdzie pojawia się konieczność hospitalizacji, pogarsza stan wielu narządów. Hospitalizacja chorego z zaostrzeniem niewydolności serca jest też bardzo kosztowna, więc naprawdę nie opłaca się oszczędzać na wcześniejszym leczeniu. Koszty leczenia niewydolności serca w Polsce są ogromne, najwyższe w Unii Europejskiej, i systematycznie rosną o 10 proc. rocznie, a są to głównie koszty hospitalizacji. Co czwarty chory wraca do szpitala przed upływem 30 dni od wypisu, a 11 proc. pacjentów umiera w ciągu pierwszego roku po hospitalizacji. Jeśli ten lek się zastosuje, to jest szansa, że stan pacjenta będzie na tyle stabilny, iż długo nie pojawi się kolejne zaostrzenie wymagające pobytu w szpitalu.

Już kilka miesięcy temu miał wejść w życie pilotaż KONS – kompleksowej opieki nad osobami z niewydolnością serca, na wzór już funkcjonującego KOS, czyli programu zapewniającego kompleksową opiekę nad chorymi po zawale serca. Program KONS, unikalny w skali świata, to w pewnym sensie pani „dziecko". Kiedy ma szansę wejść w życie?

W Polsce bardzo dobrze leczy się ostre incydenty wieńcowe, czyli zawały serca: jeśli popatrzeć na efekty, to na pewno jesteśmy światowym liderem. Kulała jednak opieka po zawale serca, co powodowało, że wielu chorych umierało w ciągu kilku miesięcy po wyjściu ze szpitala. Program KOS (program Kompleksowej Opieki po zawale Serca), który już ruszył, pozwala na zaopiekowanie się pacjentami po pobycie w szpitalu z powodu zawału serca. Równie potrzebny jest program KONS (program Kompleksowej Opieki nad chorymi z Niewydolnością Serca), nad którym jako Polskie Towarzystwo Kardiologiczne pracujemy od wielu lat. Miał ruszyć kilka tygodni temu, jego wejście w życie przeciąga się ze względów proceduralnych. Mam nadzieję, że już wkrótce minister zdrowia podpisze rozporządzenie, które da możliwość działania prezesowi NFZ. Po to, żeby program był efektywny, konieczne jest jego odpowiednie finansowanie. Jako Polskie Towarzystwo Kardiologiczne mamy nadzieję, że po wakacjach program ruszy – dzięki temu pacjent będzie objęty lepszą opieką. Chcemy, by od początku było dobrze zorganizowane funkcjonowanie koordynowanej opieki.

Uważam, że w leczeniu niewydolności serca wiele już w Polsce się zmieniło. Jeszcze trzy lata temu nikt nie mówił o takiej chorobie, a dziś jest ona zauważana: dzięki temu na pewno więcej pacjentów będzie szybciej diagnozowanych i leczonych. Myślę, że gdyby udało się rozpocząć KONS, poprawić dostęp do elektroterapii, a ministerstwo dałoby zielone światło dla refundacji nowego leku, byłby to przełom w leczeniu niewydolności serca w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

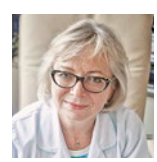

prof. Jadwiga Nessler
– kardiolog, specjalista chorób wewnętrznych, pełnomocnik Zarządu Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego ds. Niewydolności Serca, kierownik Kliniki Choroby Wieńcowej i Niewydolności Serca Collegium Medicum UJ, Krakowski Szpital Specjalistyczny im. Jana Pawła II.

eprasa.pl 0f336d80c7

GRZECHY PIASTÓW

Prosto w serce wielkiego mistrza

JACEK KOMUDA

Pierwszy korek drogowy na ziemiach obecnej Polski utworzył się wieczorem 15 lipca 1410 r. po bitwie pod Grunwaldem: przy stawie młyńskim spiętrzonym na strumieniu wpadającym do jeziora Mała Dąbrowa. W miejscu określanym wtedy i dziś jako Stare Miasto, na zachód od pola bitwy. Uciekający Krzyżacy i ich sojusznicy dosłownie zakleszczyli się w wąskim przejeździe, a zatorowi położyli kres dopiero nadciągający polscy rycerze, po prostu kładąc trupem spanikowanych wrogów. Podobne sceny działy się wszędzie, gdzie uchodzący z pola bitwy napotykali mosty, groble albo spiętrzenia wód.

Bitwa pod Grunwaldem stanowiła bowiem prawdziwą hekatombę dla przywódców zakonu krzyżackiego. Jak oblicza Andrzej Nadolski, zginęło tam 203 braci zakonnych, na ogólną liczbę ok. 250 uczestniczących w bitwie. Było to bowiem starcie ideologii zakonnej z ideologią polską – tworzącą poprzez propagandę dworską i kościelną obraz Krzyżaków jako największego i znienawidzonego wroga. Spowodowała ona, że nasi rycerze, jak również Litwini i Rusini, raczej zabijali oraz dobijali rycerzy zakonnych, niż brali ich do niewoli. „Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że sprzymierzeni nie dawali pardonu rycerzom-zakonnikom, łatwym do rozpoznania dzięki białym jakom opatrzonym czarnym znakiem krzyża i brodom zapuszczanym zgodnie z nakazami krzyżackiej reguły zakonnej" – napisał Nadolski. Po pierwsze z powodu wściekłości i chęci odwetu za kłamstwa i zdrady Krzyżaków. Drugą prawdopodobną przyczyną śmierci tak wielu zakonnych dostojników, wśród których byli mistrz Ulryk von Jungingen, wielki komtur Kuno von Lichtenstein, marszałek Fryderyk von Wallenrode i cała rzesza

FOT. WIKIPEDIA

innych, stała się ich słaba sprawność bojowa. Komturzy, wójtowie i inni urzędnicy przez większość czasu zajmowali się zarządzaniem dobrami zakonnymi, rokowaniami i polityką, zaniedbując rycerskie ćwiczenia. Tymczasem polscy rycerze, już wówczas nieźle wyćwiczeni na turniejach, bez trwogi godzili w nich kopiami, rąbali mieczami, dobijali uciekających jak wściekłe psy, choć za pojmanie do niewoli komtura mogli spodziewać się znacznego okupu.

Kto jednak zabił wielkiego mistrza zakonu Ulryka von Jungingena? Jak zwykle możemy się tego tylko domyślać. Otóż, jak podaje Długosz, po bitwie jeden z rycerzy, Mszczuj ze Skrzynna herbu Łabędź: „Doniósł królowi, że wielki mistrz pruski poległ, i na dowód jego śmierci pokazał królowi pełen świętych relikwii złoty pektorał, który sługa wspomnianego Mszczuja imieniem Jurga zdarł z zabitego". Dariusz Piwowarczyk, na którym w sprawach rycerstwa polskiego można polegać jak na Zawiszy, uważa, że to właśnie Mszczuj powalił wielkiego Ulryka. Przemawia za tym to, iż jego sługa odnalazł miejsce, gdzie spoczywał mistrz – a takich właśnie służących rycerze zwyczajowo wysyłali po bitwie, aby odnaleźli ciała pokonanych przez pana i przynieśli ich rynsztunek. Mszczuj ze Skrzynna walczył w chorągwi nadwornej, która pierwsza zwróciła się przeciwko nieprzyjacielowi obchodzącemu prawe skrzydło polskie. Tym manewrem wielki mistrz na czele odwodowych oddziałów, w których znalazła się cała „wierchuszka" zakonu, zamierzał uderzyć z flanki na polskie oddziały – zaciskające już pierścień wokół pozostałych sił krzyżackich.

W starciu – a więc szarży Krzyżaków i odwodowych polskich chorągwi na siebie – do którego doszło, jak podaje „Kronika konfliktu", już w pierwszym skruszeniu kopii: „Padli mistrz, marszałek, komturzy całego zakonu". Mszczuj najprawdopodobniej ugodził Ulryka kopią, był bowiem przedchorągiewnym – to znaczy szarżował na czele klinowo-kolumnowego szyku chorągwi. Uderzenie w piersi zapewne wysadziło mistrza z siodła; później prawdopodobnie otrzymał cięcie lub pchnięcie w głowę – być może już nie przez Mszczuja, ale przez jego giermka lub pachołka z pocztu. Tak czy owak, żadna kronika nie przekazuje wprost, kto pod Grunwaldem powalił Ulryka von Jungingena – może dlatego, że zwalony z konia został po prostu dobity.

Jest jeszcze jedna ciekawa poszlaka wskazująca na Mszczuja. Otóż Długosz w „Banderii Prutenorum" pisze na samym wstępie, że kościół parafialny w Kijach posiada szatę wierzchnią wielkiego mistrza zakonu. Tymczasem świątynia owa została ufundowana właśnie przez ród Łabędziów, z którego wywodził się Mszczuj. Niestety, wspomnianej szaty wierzchniej od dawna nie ma w kościele – zaginęła w czasie licznych klęsk i wojen, być może nawet została zrabowana przez wojska szwedzkie po bitwie pod Kliszowem w 1702 r., która toczyła się koło Kijowa. ©℗

eprasa.pl 0f336d80c7

NA ŚLĄSKIM OBIEDZIE U KRZYSZTOFA HANKEGO

Niestety, nie należę do ludzi, których można nazywać mistrzami patelni. W odróżnieniu od koleżanek i kolegów, którzy biorą udział w wielu programach kulinarnych, nie potrafię zaskakiwać w kuchni. Moje potrawy charakteryzują się prostotą i krótkim czasem przygotowania. Jestem natomiast wielbicielem smaków kuchni śląskiej w wykonaniu mojej mamy. Nie będę oryginalny, gdy powiem, że tradycyjna śląska rolada, szare kluski i modro kapusta są u mnie na szczycie wysublimowanych dań, które trafiają do mojego podniebienia. Proponuję coś z kuchni regionalnej, śląskiej, czyli panczkrauta i karminadle. W tłumaczeniu na polski to gotowana kapusta kiszona wymieszana z ziemniakami i sznycel.

Składniki:

- ziemniaki
- kiszona kapusta
- mielone mięso
- bułka
- jajko
- cebula
- bułka tarta
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Gotujemy ziemniaki i osobno taką samą ilość kapusty kiszonej. Ziemniaki po ugotowaniu odcedzamy, kapustę również. Dodajemy drobno pokrojoną cebulkę i zaparzamy kilka minut w kapuście. Ziemniaki rozgniatamy tłuczkiem i dodajemy kapustę. Wszystko razem ucieramy. Do smaku dodajemy sól i pieprz. Karminadle robimy, jak wszystkie tego typu potrawy, z mielonego mięsa. Dodajemy rozmoczoną bułkę, przeciskamy przez praskę lub drobno kroimy cebulę. Dodajemy jajko, wszystko dokładnie ze sobą mieszamy w misce i formujemy karminadle. Obtaczamy w bułce tartej i smażymy na gorącym oleju, który możemy wykorzystać do polewania panczkrautu. Smacznego. ©℗

oprac. raw

Krzysztof Hanke jest kabareciarzem, satyrykiem, aktorem, liderem śląskiego Kabaretu Rak.

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Flower power

FOT. ADOBE STOCK

Nie jestem chyba jedyną osobą, która uwielbia mieć w domu świeże kwiaty. Niezależnie od tego, czy mamy rośliny doniczkowe, czy nie, kwiaty w wazonie są wesołym akcentem wiosny, szczególnie pożądanym w ponurym listopadzie.

W zimie kupuję najczęściej cudowne alstremerie, które przylatują do nas z Chile i potrafią stać w wazonie nawet dwa tygodnie. Na ich długich i mocnych gałązkach z mnóstwem zielonych liści tkwią wielobarwne kiście kwiatów, z płatkami nakrapianymi plamkami w innym kolorze. Są od białych poprzez żółte, pomarańczowe, różowe, purpurowe aż do ciemnego fioletu. Jak to możliwe, że po przebyciu swojej długiej drogi i postoju w Holandii potrafią wytrwać tak długo, to ich tajemnica. W grudniu i styczniu zdarza mi się dostać lub kupić amarylisy – to monumentalne kwiaty zimy. Najbardziej lubię białe, choć czerwone też są piękne. Chciałoby się mieć ich cały pęk, niestety to droga impreza.

Prawdziwa feeria barw zaczyna się wiosną. W marcu, ostatnio już nawet w lutym, nadchodzą tulipany i zaraz zarzucona jest nimi cała Warszawa. Potem nastają jaskry, frezje. Czekam na kwiaty z ogrodu. Pierwsze będą irysy. Są mało u nas popularne, z dwóch powodów: mają krótki okres kwitnienia, tylko parę dni na przełomie maja i czerwca, a do tego są bardzo nietrwałe. Właśnie za to można je kochać, a ich kwiaty bywają szokująco piękne. Kosaćce (czyli irysy) mają dziesiątki odmian; niektóre rzadkie i cenne cebulki kosztują nawet 150 zł. Prawie jak w Holandii za czasów Vermeera, gdy za cebulkę można było kupić obraz. Może i dziś by można, ale raczej nie Vermeera. Polecam wizytę w ogrodzie botanicznym w Powsinie, mają tam całe łany kosaćców.

Po irysach królowa chińskiej porcelany, peonia. Mam je w ogrodzie, w tym roku wyjątkowo długo kazały na siebie czekać, mimo wysokich temperatur i podlewania, ale gdy zakwitną, wynagrodzą to sowicie. Równolegle z peoniami pojawiają się majestatyczne mieczyki, czyli gladiolusy. Trzeba mieć do nich duże wazony, ale będą nam towarzyszyć aż do września, prawie do października.

A potem to już tylko astry w niezliczonych odmianach, uwertura do chryzantem, do których niektóre odmiany są zresztą bardzo podobne.

Ani słowa nie było o różach, one wymagają osobnej laurki. Bukiet róż niesie ze sobą duży ładunek uczuciowy, ale do mnie nie przemawia ich dostojna, wyniosła uroda. Co innego na krzaku. Ogród różany jest chyba marzeniem każdego ogrodnika amatora. Moim też, na razie nieosiągalnym. ©℗

eprasa.pl 0f336d80c7

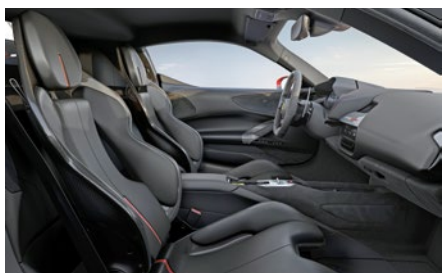

FERRARI Z CZTEREMA SILNIKAMI

SF90 Stradale. Najmocniejszy model w historii tej słynnej firmy to superhybryda typu plug-in, czyli z możliwością ładowania ze zwykłego gniazdka elektrycznego.

Auto, którego nadwozie zostało wykonane z aluminium i włókna węglowego, napędza czterolitrowy silnik V8 o mocy 780 koni mechanicznych i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 800 Nm, wspierany przez trzy silniki elektryczne, które dostarczają w sumie 220 KM (według producenta nowy model wyłącznie na prądzie może przejechać maksymalnie 25 km).

Ogromna moc oraz karoseria zaprojektowana tak, aby auto musiało pokonywać jak najmniejsze opory powietrzne, sprawiają, że ważące 1570 kg hybrydowe ferrari – z napędem na wszystkie koła – od zera do pierwszej setki przyspiesza zaledwie w 2,5 s, a od zera do drugiej setki w 6,7 s.

Prędkość maksymalna została elektronicznie ograniczona do 340 km/godz.

Ośmiobiegowa dwusprzęgłowa skrzynia biegów DCT została przeprojektowana tak, aby mogła zmieniać biegi szybciej niż jakakolwiek inna przekładnia w historii włoskiej marki. Ulepszone zostały też hamulce.

Niestety, cena tego cuda nie została jeszcze oficjalnie ogłoszona. Z pewnością będzie ona jednak wysoka, mimo że produkcja tego modelu nie ma być limitowana. Pierwsze sztuki na europejskie drogi mają wyjechać już w przyszłym roku.

POLICJANCI BARDZIEJ FORMALNI

Po skargach od kierowców Biuro Ruchu Drogowego Komendy Głównej Policji pod koniec maja zaleciło policjantom ruchu drogowego, aby podczas kontroli przestali zwracać się do ludzi per „Pani Anno" czy „Panie Andrzeju". Jak poinformowała gazeta.pl, w dokumencie rozesłanym do komend wojewódzkich policji w całym kraju wzbogacanie formy Pan/Pani imieniem danej osoby może wzbudzać „w kontrolowanym dyskomfort i poczucie zmniejszonego dystansu między nim a policjantem w sytuacji i tak często mało komfortowej dla kontrolowanego". W razie czego atmosfera będzie bardziej urzędowa. Raczej odpada więc już tłumaczenie w stylu: „Spieszę się, bo teściowa rodzi".

TURCY TEŻ CHCĄ MIEĆ SWOJEGO „ELEKTRYKA"

Władze w Ankarze ogłosiły plany stworzenia tureckiego samochodu elektrycznego. Według ministra przemysłu Mustafy Varanka auto ma mieć 500 km zasięgu. Prototyp ma być zaprezentowany jeszcze w tym roku, a do seryjnej produkcji samochód ma trafić w drugiej połowie roku 2022. W projekt zaangażowanych jest pięć wielkich tureckich firm, które wspólnie utworzyły Turkey's Automobile Joint Venture Group. ©℗

Jacek Przybylski

PODRASOWANE AMG GT 63

Specjaliści z niemieckiego przedsiębiorstwa tuningowego Brabus znów wzięli na warsztat supersamochód z gwiazdą na przedzie. Chociaż Mercedes-AMG GT 63 S już w wersji standardowej ma 630 KM, to po odpowiednich przeróbkach udało się wycisnąć z czterolitrowego silnika V8 dodatkowe 159 koników. Co więcej, maksymalny moment obrotowy zwiększono do 1000 Nm. Sportowe cacko po przeróbkach od zera do pierwszej setki rozpędza się w zaledwie 2,9 s (0,3 s szybciej niż standardowa wersja). Prędkość maksymalna w wersji standardowej i tuningowej pozostaje taka sama i jest elektronicznie ograniczona do 315 km/godz.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (5)

eprasa.pl 0f336d80c7

REPUBLIKA

Poniedziałek godz. 21:00

tweetup

#TweetupRepublika

WŁĄCZ SIĘ W DYSKUSJĘ
NA ŻYWO

Emilia Pobłocka

Łukasz Jankowski

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 0f336d80c7

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Tylko nie przychodź do mnie w sutannie

W mojej książce „Biografie odtajnione" odtajniłam m.in. wyjątkowo zakłamaną, a wartą dziś przypomnienia postać Jerzego Zawieyskiego, ikony środowiska tzw. postępowych katolików: „Znaku", „Więzi", „Tygodnika Powszechnego", Klubu Inteligencji Katolickiej (którego był prezesem), katolickiego pisarza i moralisty, upamiętnionego w kościele św. Marcina tablicą z napisem: „Swoim życiem i twórczością dawał świadectwo prawdzie". Po październiku 1956 r. komuniści mianowali Zawieyskiego – słabego, naiwnego, z homoseksualnymi „hakami" – pierwszym pokazowym katolikiem na tak wysokich stanowiskach: posła na Sejm z ramienia katolickiego koła „Znak" i członka fasadowej Rady Państwa. Miał w związku z tym, jak sam przyznawał, „zawrotne pobory", mieszkanie na Starówce, willę w Konstancinie z wielkim ogrodem, ogrodnika, gosposię, szofera, służbową limuzynę, przywilej korzystania z lecznicy rządowej. Odbywał podróże zagraniczne tak często, że nazywał je udrękami. Bankiety i cocktaile w ambasadach.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Oczywiście obserwowała go też SB, a ponieważ zachowywał się wyjątkowo bezkarnie, przez telefon kłapał dziobem o wszystkim – jak powiedziałby „Kisiel". Doczekał się wieloletnich, kilkutomowych materiałów ze swojej inwigilacji, nie tylko z podsłuchu, lecz także kontroli korespondencji, raportów TW z najbliższego otoczenia (m.in. TW „Anny" – Wacława Auleytnera, sekretarza generalnego KIK), pokazujących przede wszystkim sekretne drugie życie reprezentanta katolików, tak różne od jego oficjalnego wizerunku. Życie prominentnego homoseksualisty, który dzięki swojej władzy i pieniądzom wykorzystywał, wciągał w homoseksualne relacje młodych pisarzy, aktorów, księży. Deprawował ich, płacąc za seks i milczenie. Andrzej Friszke, autor hagiograficznego wstępu do wznowionych niedawno „Dzienników" Zawieyskiego, nawet się o tych materiałach nie zająknął.

Władza uderzyła prezesowi KIK do głowy. Już nie wystarczał mu Staś Trębaczkiewicz, wieloletni kochanek – bierny, słaby, z ubogiej wiejskiej rodziny, którego uwiódł, zdominował. Miał więc też dwóch stałych wieloletnich kochanków – „Szczygiełka", czyli Romana Szczygła, księdza pallotyna, swego prywatnego spowiednika, który zawsze mu dawał rozgrzeszenie. Miał też socjologa Marcina Czerwińskiego. A oprócz nich licznych, coraz to nowych młodych „syneczków, kochaneczków, smokusiów" – jak ich nazywał. „Pamiętaj, przyjdź do mnie po cywilnemu, nie w sutannie" – przypominał przed randkami. Zapraszał ich m.in. do klasztoru ss. Franciszkanek w Laskach, gdzie miał własny pokój. Tam urządzali alkoholowe seanse, podczas których kpili z „ograniczonego polskiego kleru, kołtuństwa, zacofania i ciemnoty polskich katolików, fanatycznego prymasa Wyszyńskiego, kochającego rozmodlone tłumy idące na Jasną Górę".

Za seks płacił, ale najczęściej, jak chcieli kochankowie, pomagał im w karierze. Dzwonił, rekomendował, polecał, umawiał, „interweniował poselsko". Załatwiał paszporty, wizy, klerykom – studia i stypendia w Rzymie, a także trudno wtedy dostępne dobra: telefony, przydziały na mieszkania. Pisarzom – jako wiceprezes Związku Literatów i członek komisji stypendialnej – załatwiał stypendia, pożyczki, zasiłki, „popychał" w wydawnictwach i pismach ich tomiki oraz teksty. Młodych aktorów „wsadzał" do filmu kręconego według jego „Prawdziwego końca wielkiej wojny".

Teczka Zawieyskiego nosi tytuł „Informator pseudonim Teozof", bo swoim „synkom" nie tylko pomagał, lecz także straszliwie im szkodził – pogrążał ich, naganiał w sieć SB, zwłaszcza właśnie młodych księży, na których zbierano haki ułatwiające werbunki i szantaże. Narobił wiele zła. ©℗

eprasa.pl 0f336d80c7

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Prezydent Dulkiewicz i zielony słoń

Nie, nie, nie i raz jeszcze stanowcze nie! Nie wolno pod żadnym pozorem porównywać prezydent Gdańska pani Aleksandry Dulkiewicz z groupies. Nie! Nie ma na to zgody. Owszem, trochę zza tłumów ochroniarzy, podskakując, krzyczała w celu obrócenia ku sobie uwagi bardzo ważnej osoby, ale przecież nawet mimowolne porównywanie pana premiera do gwiazdy rocka też bardzo jest niestosowne (choć szczupłością nie odstaje od Jaggera, dajmy na to w biodrach). Owszem, summa summarum, udało się pani prezydent tym wykrzykiwaniem wymusić zaproszenie i będzie gościć u premiera (na kawie), ale mimo to uważam, że nie można całej sprawy spłycać oraz deformować do happeningów, które robią groupies w całym wszechświecie, nie tylko w USA.

Gdybym ja państwu napisał tu słów kilka, co robiły najsłynniejsze groupies, to by się stało oświetlone, że nie można całej tej sytuacji tak przedstawiać nawet w żartach. Dlatego właśnie nie mam zamiaru pisać tu choćby o najsłynniejszej groupies Cynthii „Plaster Caster" Albritton. Ani słowa nie będzie o jej niby-artystycznej działalności, a już na pewno nie w tym personalnym zdarzeniu, że pani prezydent. Zresztą kogo obchodzą jakieś aberracje fanki gwiazd rocka, która choćby męskość Jimiego Hendrixa uwieczniła w odlewie na wieki w naturalnych rozmiarach, ocalając dla pokoleń kawał historii (tak, słowo „kawał" może tu być nieco sugerujące i słusznie).

Nie ma sensu żadnego pisać tutaj o tej przedziwnej kolekcji różnych odlewów męskości, które pani „Plaster Caster" robiła własnymi dłońmi, naocznie nad tym czuwając. Chore byłyby to skojarzenia, chore. A już wspominanie pewnego ekscesiku, w trakcie którego pani prezydent była łaskawa własnymi dłońmi kupować butelkę wódki w sklepie z trzema ochroniarzami i dwoma colami, byłoby wypominaniem. To znaczy, nie że sklep był z trzema ochroniarzami, tylko pani prezydent, a wódkę sama osobiście trzymała, może i rockandrollowo, ale nie można zarzucić, że wykorzystała ochroniarzy jak jakaś gwiazda rocka!

Moim zdaniem, nie ma nic złego w tym, że kobieta osobiście kupuje wódkę własnymi rękami, chyba że wódka byłaby ciepła. Nie, nie, nie i jeszcze raz stanowcze nie. Kobieta nie powinna kupować ciepłej wódki. W naszym kręgu cywilizacyjnym są jednak pewne zasady. Ale dobra tam, państwo są przecież ciekawi, o co chodzi z tym bezsensowym nieporównaniem pani prezydent z groupies, a przede wszystkim, o co chodzi z tym zielonym słoniem w tym kontekście w tym tytule. Rozwiązanie jest proste: proszę nie myśleć o zielonym słoniu. I z jakim obrazem państwa mózgi zestawiły ten zakaz? Tak, to niestety działa również z groupies... ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Obranduj to na LGBT

Pamiętam, że z okazji mistrzostw Europy Polska–Ukraina 2012 na Facebooku furorę robił profil zatytułowany „Obranduj to na Euro". W galerii pęczniejącej wprost proporcjonalnie do czasu pozostałego do inauguracji turnieju prezentowano zdjęcia wszelkiej maści produktów, które chciały podłączyć swój wagonik do marketingowego pociągu imprezy. Mogliśmy zobaczyć zwykłe kiełbasy, które z dnia na dzień stały się „kiełbasami kibica". Słonecznik został oczywiście „przysmakiem kibica". Na wszystko, od tacek na grilla do letniego płynu do spryskiwaczy, ładowano piłki nożne i piłkarzy. Oczywiście kto mógł, ten umieszczał oficjalny logotyp. Bazary zaroiły się od koszulek, sale lekcyjne od „obrandowanych" piórników, zeszytów i plecaków.

W czerwcu, oficjalnym miesiącu „dumy LGBT+", sytuacja się powtarza, tyle że nie chodzi już o piłki, lecz o tęczę. Nie jest tajemnicą, że od wielu lat w środowisku marketingowym, które grupy odbiorców określa i „targetuje" precyzyjniej od polityków, społeczność LGBT oraz jej sympatycy zostali uznani za atrakcyjnych pod względem zasobności portfeli „ewangelizatorów" idei. Mówiąc brutalnie, przy użyciu miękkiej presji na marki oraz obiektywnie istniejącego trendu zakupowego stworzono modę na tęczowe trampki, koszulki, kurtki, parasolki, breloczki etc. Chcesz być „fajną" firmą? Zaprezentuj kolekcję na „miesiąc dumy", wyraź wsparcie, wystaw uśmiechniętą delegację na paradę. Inaczej dostaniesz w Dolinie Krzemowej puchar obciachu.

Jeśli właśnie od tej strony spojrzymy na współczesną ofensywę ideologiczną, to wiele rzeczy stanie się zrozumialszych. „Niech mi ktoś wyjaśni. Jest aplikacja do oceniania piwa. Wrzucasz piwo i swoją ocenę. Aż tu nagle pojawia mi się odznaka »PRIDE 2019«. Może mi ktoś powiedzieć: Po co? Potem się środowiska LGBT+ zżymają, że nie chodzi o nachalną propagandę" – napisał na Facebooku mój przyjaciel, wklejając screena z „odznaką", pod którą zamieszczono podziękowanie za wsparcie dla mniejszości seksualnych oraz pochwałę ich wpływu na „społeczność producentów piwa".

Podobna sytuacja nie jest dzisiaj na Zachodzie wyjątkiem, ale wśród największych marek staje się regułą. Wróciłem niedawno z Florydy, gdzie z wystaw sklepowych H&M czy Levisa kupujących witały specjalne kolekcje ubrań związane z miesiącem „dumy". Disneyland w Paryżu kolejny raz zorganizował z okazji dnia dziecka Magical Pride – paradę LGBT z czołowymi postaciami z animacji Disneya, które głosiły główne hasło imprezy: „Miłość przytrafia się we wszystkich kolorach". „Na Paradzie Równości w Warszawie będzie można otrzymać kod na prenumeratę. Od 5.06 do 9.06 będzie wychodził specjalny newsletter LGBT+. Razem możemy więcej!" – tweetnęła jedna z redaktorek „Wyborczej". I tak to się kręci. ©℗

eprasa.pl 0f336d80c7

OKIEM BLOGERKI

Wolność Elizy

KATARYNA

***ADAM BODNAR:** Odejście Elizy Michalik z Superstacji to niezwykle ważny powód do refleksji nad stanem wolności mediów w Polsce. Redaktor Michalik sobie zawodowo poradzi. Ale czy nie kurczy nam się kolejny raz przestrzeń debaty publicznej?*

Czy dobrowolne odejście Elizy Michalik z niszowej telewizji o oglądalności na poziomie 0,15 proc. to rzeczywiście ważki powód do refleksji nad wolnością mediów? Nie została z pracy wyrzucona ani nawet wypchnięta, właściciel po prostu zmienił profil jednej ze swoich dwóch telewizji. I, jak przyznaje sam rzecznik, zawodowo na pewno sobie poradzi, bo przecież nawet po zmianach w Superstacji Michalik ze swoimi poglądami będzie mile widziana w TVN, Polityce, „Newsweeku", „Gazecie Wyborczej", o mniejszych mediach nie wspominając. Nie ma więc obawy, że widzowie i czytelnicy zostaną trwale pozbawieni tego, co do debaty publicznej wnosiła Michalik. Może nawet jest szansa, że po odejściu z Superstacji będzie to wnosić przed szerszym audytorium, gdy już ją przygarnie któreś z większych antypisowskich mediów. Zaniepokojenie decyzją właściciela o zmianie profilu jednej z jego dwóch telewizji, na dodatek tej naprawdę niszowej, bo mającej mniej widzów niż ja czytelników, wydaje mi się więc mocno przesadzone, zwłaszcza jeśli nie ma żadnych dowodów na to, że stało za nią coś innego niż względy biznesowe. Takie same, które powodowały właścicielami Agory, gdy w tym samym czasie zwalniała ona kolejną grupę dziennikarzy, rozstając się z takimi swoimi gwiazdami jak Wojciech Tochman czy Wojciech Orliński.

„W 1999 r. brałem udział w operacji ratunkowej związanej z »golenią« prezydenta Kwaśniewskiego. Po przylocie z Katynia i Charkowa w mroku alejek Ogrodu Saskiego przekonywałem Zygmunta Solorza i Piotra Nurowskiego, aby Polsat nie emitował zdjęć zataczającego się prezydenta. W końcu uzyskałem deklarację, że jeśli inne stacje nie podejmą tematu, Polsat też tego nie uczyni. Inni wysłannicy prezydenta przynieśli podobne ustalenia" – tak były premier Leszek Miller wspominał akcję systemowego ukrywania przed społeczeństwem faktu, że jego prezydent zataczał się po pijaku nad grobem poległych bohaterów. I prawie się udało, bo polskie media okazały się zadziwiająco solidarne z władzą. Gdyby nie BBC i rodziny katyńskie, charkowska taśma do dzisiaj spoczywałaby w sejfie Waltera, który się bał, że jej opublikowanie „wysadzi mu stację w powietrze". Dzisiaj to nie do pomyślenia, prawda? Zmowa TVN i Polsatu z władzą już by nie pomogła w utrzymaniu tajemnicy, bo w międzyczasie pojawiły się inne media. A właściciele TVN już się nie muszą bać, że nawet najbardziej kompromitująca dla obecnej władzy taśma zagrozi bytowi całej stacji. Przestrzeń debaty publicznej jest szeroka jak nigdy, i oby tak zostało. Mam nadzieję, że Eliza Michalik będzie już zawsze się cieszyć wolnością głoszenia swoich poglądów szerokiej publiczności, dużo większą, niż miała jako prawicowa dziennikarka „Gazety Polskiej".

Z perspektywy osoby pamiętającej, jak wyglądały media w III RP, rozpaczanie z powodu dobrowolnego odejścia z niszowej stacji jednej dziennikarki trochę bawi. Jednak też trochę smuci, gdy niedawne zapowiedzi antypisowskiego profesora masowych zwolnień z mediów publicznych nie tylko dziennikarzy źle wykonujących swój zawód, lecz także hurtem każdego, kto w nich pracował za czasów PiS, nie doczekały się krytycznego komentarza. Nie każdemu ta sama wolność? ©℗

PODSŁUCHANE

Szczególne szczęście

Panie Jacku, pan to już od tak dawna w tym parlamencie siedzi... Pan mi powie, czy tam to trzeba dużo po angielsku? Bo ja z angielskim to tak jakby...

Pani Elu, jak z angielskim nie najlepiej, to w kuluarach można na przykład po francusku. Ja na przykład wolę nawet po francusku niż po angielsku.

No, wie pan, ja to tak chyba nie bardzo po francusku.

No to może po niemiecku?

A po polsku to można?

Można, ale poza Polakami nikt pani nie zrozumie.

A wie pan, może to i lepiej, bo jeszcze by mi ktoś w głowie zawrócił, jakiegoś fejkniusa mi sprzedał. A tak to nawet jakby chciał, to nie da rady. Tak mi prezes powiedział: żeby najlepiej nie słuchać, tylko swoje robić.

Aha. No tak, tak...

A jakbym sobie chciała w barze kawę kupić, to jak powiem „kafe" to mi dadzą?

Dadzą.

A tam długo trzeba w tej Brukseli siedzieć? Bo ja to tak latać za bardzo nie lubię...

Pani to chyba nie jest jakoś szczególnie szczęśliwa?

No nie. Czy ja się prosiłam? Cichutko sobie wystartowałam z trójeczki, kampanii nawet nie robiłam, żeby nie wejść, a tu bach – jakoś się te 70 tys. głosów uzbierało, a co gorsza, te nasze 43 proc. i weszłam. No, ciężko, ciężko. Ech, życie. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zostawiam wam syna, który ma kontynuować moje dzieło".

***LECH WAŁĘSA**, były prezydent, na wiecu w Gdańsku 4 czerwca 2019 r.*

eprasa.pl 0f336d80c7

fot. Jerzy Gumowski

Powyborczo

Trzej królowie, którzy przybyli do żłobu III RP, aby dać PiS–owi wielkie zwycięstwo w majowych eurowyborach, to Jarosław Kaczyński, Jacek Kurski i Grzegorz Schetyna. Pierwszy jako *„playmaker”* (maszynista), drugi jako *„pijarowiec”* (propagandysta), trzeci jako *„szpenio”* (trzykartysta). Stanisław Huskowski, długoletni członek Platformy Obywatelskiej (od samego jej założenia), były wiceminister w rządzie Tuska, mówiąc o Schetynie używa dwóch słów: *„toporny bufon”* (2019), a spora część elektoratu jest, jak widać, tego samego zdania. Zaś lider Wiosny osiągnął zupełnie gówniany rezultat, mimo iż stał się faworytem damulek salonowych. Rasputin lubił czarować panie z petersburskiego towarzystwa demonstrując im na salonach swój megaprzyrząd penetracyjny, a Biedroń lubi czarować panie z priwiślińskiego Salonu posyłając im na wiecach swój megauśmiech waginalny, choć nawet nie wie jak wygląda damskie krocze, chyba że się obejrzał wychodząc z niego przy połogu.

W trakcie kampanii wyborczej salonowcy natrętnie przekonywali rodaków, że reformistyczny mesjanizm partii *„Kaczora”*, strugającej formację ideową, pod naciskiem realiów zaznał głębokiej, destrukcyjnej korozji. I że upragnione przez PiS prawdziwe władanie (realizowanie ważnych pomysłów, kreowanie, uzdrawianie) sparciało do poziomu kulejącego administrowania. I że zamiast solidnej sanacji państwa, PiS praktykuje jałowy dryf. I że co prawda gospodarka ma się nieźle, ale to sukces piechura, któremu udało się nie przewrócić na gładkiej drodze, jaką zbudowały wcześniej rządy PO–PSL oraz nurty stymulujące koniunkturę światową. Etc., etc., etc. — zupełnie bez skutku, bo nawet prości ludzie rozumieli, że ta pseudokrytyka to wyborczy kit, produkowanie bzdur. Nic też Salonowi nie dały rzekomo obciążające pisowców *„skandale”/„afery”*, wyciągane co tydzień niby pijane króliki ze sparciałego kapelusza opozycyjnego. I wreszcie rzecz najciekawsza: przy tych wyborach nie zaszkodziły PiS–owi jego autentyczne wady, wpadki, niedociągnięcia, nawet uporczywa bessa służby zdrowia i polityka zagraniczna do luftu.

Symbolem niemocy władz wobec upadku rodzimej służby zdrowia jest satyryczny rysunek Jujki — małżeństwo stoi koło grobu na cmentarzu i ona mówi: *„ — Biedaczek! Już tylko pół roku zostało mu w kolejce do specjalisty...”* (2019). Szydzą karykaturzyści, szydzą też publicyści wszelakiego sortu. Robert Mazurek: *„Szpitale, kolejki, endokrynolog w 2024, a proteza już za sześć lat”* (2019). Igor Zalewski: *„Z jakichś powodów nie daje się służby zdrowia w Polsce odmienić. Wielu już próbowało i wszyscy ponieśli klęskę”* (2019). Tyle że do *„Prezesa”* słowo *„klęska”* pasuje jak nieumiejętność miauczenia do kota. Jeżeli Kaczyński nie miauknie miauknięciem uzdrawiającym służbę zdrowia — będzie to kiedyś przyczyna odebrania mu (przez elektorat) posady.

Mniej wyborczo groźna jest dla rządzących druga ich *„Achillesowa pięta”*: sprawy zagraniczne. Główne *„wilcze doły”*, w jakie PiS tu wpada, wykopali mu Żydzi (przeczołganie Polski *„nowelizacją ustawy o IPN”*, nonsensowny warszawski *„szczyt bliskowschodni”*, który miał być imprezą antyirańską, zaś stał się hecą antypolską, itd.). Szkolne alibi dla dyplomacji polskiej brzmi tak: cokolwiek byśmy nie zrobili — geograficznie i geopolitycznie mamy przerąbane. Od zachodu sąsiadujemy z perfidnymi nienawidzącymi nas Szkopami, od wschodu z barbarzyńskimi nienawidzącymi nas Kacapami i Kozakami, od południa z wrednymi nienawidzącymi nas Pepikami, a nasz główny sojusznik i militarny obrońca to mocarstwo, którym kręci nienawidzące nas żydowskie lobby, silnie dbające o interesy nienawidzącego nas Izraela, więc musimy się modlić, by przynajmniej Pan Bóg okazał się, jeśli nie Polakiem, to chociaż Węgrem. Takie alibi jednak nie rozgrzesza nas z wielu — mówiąc językiem sportowym — *„niewymuszonych błędów”* w polityce zagranicznej, czego bolesnym przykładem jest choćby durna *„spolegliwość”* wobec dawnych naszych Kresów.

∞ *Trauma Salonu i sport* ∞

O tym, że Ukraina zagraża nam dziś bardziej niż Rosja (która nie ma wobec nas żadnych żądań/zakusów terytorialnych, a Kijów zgłasza bez ogródek pretensje do dużych obszarów na wschodzie III RP) — pisałem nie raz. O permanentnej wrogości Litwy wobec III RP również napomykałem, a niedługo poświęcę jej cały felieton. Teraz natomiast kilka słów o Białorusi. Mimo wszelkich umizgów i prysiudów naszej dyplomacji (identycznych jak wobec Ukraińców i Litwinów) — Białorusini konsekwentnie pokazują nam zgięty łokieć oraz środkowy palec. Wśród tych afrontów jest też *„ofensywa pomników”*, trochę inna aniżeli ukraińska, gdyż Zaporożcy mnożą pomniki zwyrodniałych kontrpolskich ludobójców czczonych przez nich jako bohaterowie, tymczasem Białorusini gdzie tylko mogą — od Mińska do szwajcarskiej Solury — stawiają pomniki Tadeusza Kościuszki z bezczelnymi napisami: *„Wybitny Syn Białorusi”*, *„Wielki Syn Białorusi”*, itp., a gramotni pupile pani Romaszewskiej, wyhodowani za pieniądze polskich podatników przez jej Biełsat (jak Staś Karpau czy Aleś Astrouski), piętnują Polskę publicznie ile wlezie. Lata temu ostrzegałem PiS przed członkiem tej partii, Kazimierzem Ujazdowskim, perswadując, że to kryptosalonowiec, ale nie chciano mnie słuchać, i później zrobiło się nieprzyjemnie dla PiS–u. Teraz przestrzegam (z tego samego powodu) przed panią Romaszewską, pytając przy okazji: jakie plany ma TVP wobec antypolskości Biełsatu?

Kapelusze trzeba wszakże przed panem Kurskim zdejmować gdy idzie o jego udział w majowym triumfie wyborczym PiS–u. Nie przejmując się zmasowaną salonową nagonką (że TVP uprawia tępą proreżimową propagandę typu pałkarskiego) — dzielnie przeciwstawiał się szczujni TVN–owskiej, odkłamując manipulacyjne kuglarstwo wrogów, i przekonał elektorat. Osobiście nie mam zastrzeżeń do komentatorów czy interpretatorów TVP, przynajmniej politycznych i polityczno–społecznych. Jeśli już — to tylko do sportowych. Żenujące włazidupstwo tych ostatnich, praktykowane przez nich wówczas kiedy cudzoziemscy sportowcy naszych sportowców leją, obraża zdrowy rozsądek i ciężko wkurza. Przykładów bez liku, weźmy bardzo świeży:

Grając przeciwko nam (Liga Narodów) w Katowicach 2 czerwca 2019 brazylijscy siatkarze wręcz ośmieszyli polską drużynę (lansowaną tubami rodzimych tromtadrackich jako potęga), wprost zmietli ją z parkietu. Nasi reprezentanci serwowali oraz atakowali dysponując siłą i precyzją małych dziewczynek, a tymczasem sprawozdawcy TVP relacjonujący mecz klarowali przez cały czas, od początku do końca, że właściwie fajnie jest, polskie chłopaki to znakomici gracze, lada moment pech nas opuści i sytuacja się odwróci, etc. Szczytem kuriozalności było zapewnianie telewidzów, że zdobycie 17 punktów podczas całego seta to wynik bardzo dobry (sic!!!), bo w poprzednim secie zdobyliśmy tylko 16 punktów! Ni jednego słowa krytyki — nul! To nie przypadek — to syndrom.

Czy lizusowskie (wobec szefostwa TVP) relacje z wydarzeń sportowych, w których nasi reprezentanci się kompromitują, a nasi sprawozdawcy ich chwalą, lukrując katastrofalny *„real”*, to wynik prikazu ze strony prezesa Kurskiego, zakazującego jakiejkolwiek (nawet delikatnej) krytyki *„biało–czerwonych”*? A może to nacisk reklamodawców i sponsorów na TVP? Tak czy owak — stosowana maniera komentowania przegrywanych meczów budzi odruchy wymiotne. Przybiera ona szczególnie rażący poziom wazeliniarskiego idiotyzmu na meczach dyscyplin sportowych rekordowo popularnych (piłka nożna, siatkówka, koszykówka), kiedy brakuje już tylko jednego: przekonywania widowni, że *„dając ciała”* odnieśliśmy *„moralne zwycięstwo”* (w podtekście, w duchu tych sprawozdań, taka nutka jednak brzmi). To mi się, moi Państwo, diabelnie nie podoba. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 0f336d80c7

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE **KSIĄŻKA**

ANNA POPEK „PIĘKNA 50-TKA"

~~619 ZŁ~~ > **235,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 384 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 0f336d80c7